

Tytuł: "Tylko cisza"
Autor: Bohdan Petecki

Opracowanie graficzne: Kazimierz Hałajkiewicz Redaktor: Zenaida Socewicz-Pyszka
Redaktor techniczny: Elżbieta Kozak Korektor: Jolanta Rososińska
Wydanie II poprawione i uzupełnione
ISBN 83-207-0789-7
(c) Copyright by Bohdan Petecki, Warszawa 1974
Printed in Poland
Państwowe Wydawnictwo "Iskry", Warszawa 1986 r.
Wydanie II. Nakład 49 700+300 egz.
Ark. wyd. 9,9. Ark. druk. 10,5.
Papier offset, kl. V, 70'g, 61X86 cm.
Opolskie Zakłady Graficzne.
Zam. nr 1779/85. N-58.

Rozdział I

Haleb utkwiał wzrok w milczącym głośniku i pochylił się do przodu. Twarz mu ściemniała. Jego dłoń powędrowała w stronę pulpitu łączności, zatrzymała się w pół drogi, po czym opadła.
- Zbudź ich - mruknął. - Będą ci wdzięczni... Przebiegłem wzrokiem ekrany.

Tak, to już dom. Układ Słoneczny. świadczy o tym ten szarawy nalot na czerni przestrzeni. Aby nauczyć się go dostrzegać, trzeba mieć za sobą ładne parę lat pracy.

Tylko że ten dom był inny niż zwykle. Niemy. Odczekałem chwilę i powtórzyłem wezwanie. Zielona nitka na ekranie kontrolnym zafalowała, a następnie wróciła do dawnego położenia. Cisza.

Osiągnęliśmy orbitę Marsa. Od dwudziestu minut komputer prowadził statek korytarzem wytyczonym przez automaty nawigacyjne bazy. Uczucie lekkości i rozluźnienia, zawsze towarzyszące przejmowaniu sterów przez fotolatarnie, tym razem kazało na siebie czekać. Czujnik potwierdzający odbiór wezwania przez największą stację Centrali pulsował nieprzerwanie zielonym światłem. Od dwunastu minut identyczny sygnał przyzywał do pulpitu łączności dyżurnego koordynatora lądowiska. Cisza.

Rozłączyłem tor fonii i zamknąłem go ponownie. Powtórzyłem to kilkakrotnie. Następnie przesunąłem do oporu suwak modulatora i powiedziałem:

- "Dyna" do dyżurnego bazy. Piloci Haleb i Ornak na kursie bezpośrednim. Odbiór.

Nitka namiaru przesunęła się odrobinę w prawo. Wykres drogi osiągnął połowę podłużnej tarczy. Czujniki zarejestrowały zmianę natężenia wiatru słonecznego.

Milczenie przeciągało się.

- Mogłeś sobie darować - odezwał się AI. - Państwo wyszli i nie wiem, kiedy wrócą...

Potrząsnął głową. Chwilę siedział bez ruchu, po czym mruknął coś niezrozumiale i poprawił się w fotelu. Przygłodził włosy, sięgnął za siebie po kask i zaczął go wkładać.

Nie odpowiedziałem.

Wykorzystanie strumieni tachjonowych otworzyło ludziom drogę do gwiazd. Ale gwiazd najbliższych. Nasz obecny lot na drugą planetę Proksimy i z powrotem trwał niespełna dziewięć lat. I tak będziemy mieć dość kłopotów z uzupełnianiem luk w technice pilotażu, w informatyce, w życiu prywatnym. Nie znałem nikogo, kto skończywszy szesnaście lat życia myślałby poważnie o lotach do centrum Galaktyki.

Ludzi wracających z gwiazd witają ludzie. Po dwudziestu minutach wpatrywania się w milczący głośnik Haleb miał prawo powiedzieć, co o tym myśli. Namiar działał normalnie. Fotolatarnie prowadziły "Dynę" nieomylnie do celu. Nie było najmniejszych powodów do niepokoju.

Równocześnie jednak narastało w nas przekonanie, że za tym milczeniem kryje się coś więcej niż roztargnienie dyżurnego koordynatora.

- Za sześć minut powtórzmy wezwanie - powiedziałem spojrzawszy na liniowy wskaźnik

relacji czasów. - Jeżeli i wtedy nie raczą się odezwać... - urwałem. Chciałem dodać, że jeśli za sześć minut baza nie przemówi, wywołam centralną rozdzielnię na Ziemi, ale w tym właśnie momencie głośnik ożył.

- Zmiana kursu! - rzucił Haleb.

- Cicho! - syknąłem.

- ...bezpośrednio na orbicie - dobiegło nas zakończenie zdania, którego początek zagłuszył okrzyk Ala. - Do lądowania dwieście pięćdziesiąt, dwieście czterdzieści dziewięć, dwieście czterdzieści osiem...

Zielona nitka dotknęła na moment krawędzi ekranu, po czym wróciła, dzieląc tarczę na dwie idealnie równe części. Punkciki znaczące tor statku na wykresie współrzędnych ścięły się w wąski łuk. Tylko załamane paraboli świadczyło o zmianie kursu. Nasze ciała pozostały nieruchome, nie odczuliśmy najślabszego bodaj wzrostu ciężenia.

Głośnik odliczał czas pozostały do lądowania. Niebawem przemówią dysze hamownic.

Także i teraz malejących liczb nie podawał głos człowieka. Impulsy płynęły z komputera stacji orbitalnej, który zaprogramował korytarz i przygotował lądowisko.

Zniecierpliwienie Haleba ulotniło się bez śladu. Siedział bez ruchu, wpatrzony w ekrany, z miną człowieka, któremu setny raz opowiadają tę samą anegdotę. Od kiedy stało się jasne, że główna stacja na orbicie Luny jest wyłączona z ruchu, nie odezwał się słowem.

Przeszliśmy tak blisko macierzystej bazy, że niewiele brakowało, by znalazła się w bezpośrednim zasięgu naszych obiektów. Tarcza Ziemi rozrosła się, zasnuła kolorowymi pasmami.

- ...pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć...

Teraz. Oparcie fotela pchnęło mnie lekko do przodu. Na ekran wystąpiła mgła, w której przeskakiwały szybko gasnące iskierki. Ściany kabiny zabręczały stłumionym rezonansem. Wskaźnik szybkości ożył, liczby zaczęły się zmieniać, podobnie jak ich tło, pocięte w kalejdoskopowe figurki. Sprężarki przyspieszyły. Zawartość tlenu w wypełniającym kabinę powietrzu zaczęła wzrastać. - ...dwanaście, jedenaście, dziesięć...

"Dyna", posłuszna nakazom płynącym z pola startowego, przystąpiła do manewrów poprzedzających lądowanie. Ekran załśnił czernią przemieszana już z granatem. Przez moment mignęły nam przed oczami skrajne tarasy stacji z zakończonymi ostro łukami wysięgników, po czym znowu ukazały się gwiazdy. Usłyszeliśmy suchy zgrzyt. Statek się zakołysał, pierwszy wyczuwalny ruch po czteroletnim trwaniu w galaktycznej pustce, gdzie tylko meldunki czujników informują człowieka, że pokonuje drogę od gwiazdy do gwiazdy z szybkością nadświatlną. Ruch, od którego odwykło się do tego stopnia, że teraz żółdek podchodzi do gardła.

Jeden, ostatni wstrząs, złagodzony przez amortyzatory. Urwane miauknięcie silnika po zamykającym sprawę "zerze" i nagła cisza. Zdjąłem dłonie z pulpitu i położyłem je na poręczach. Haleb westchnął i przeciągnął się.

- Spytaj, jak długo podoimy - powiedział niedbałym tonem, wskazując głową przejście do włazu. - Czy zdążymy wyjść na papierosa. Oczywiście, jeżeli tam jest ktoś żywy... - dorzucił. Nie poruszyłem się. Czekałem. Pierwsze słowo należy do załogi stacji. Automaty zrobiły swoje.

Zegary nie działały. Wskaźnik relacji czasu do szybkości lotu przestał być aktualny.

Wróciliśmy do zacych, szkolnych wymiarów. Jeśli nawet wydaje mi się, że wylądowaliśmy godzinę temu, to tak właśnie wygląda normalna reakcja po locie pozaukładowym.

Jesteśmy gotowi. Lampki sygnałowe pod okapami hełmów pozostają niewidoczne. Skafandry są szczelne.

Sekundy płyną. Sytuacja zaczyna zakrawać na dramat, z którego robi się farsa, ponieważ wszyscy aktorzy nagle zapomnieli tekstu.

- No dobrze - otrząsałem się wreszcie. - Zaczynamy bez nich...

Wstałem i bez pośpiechu ruszyłem w stronę korytarza. W przejściu stanąłem i nie odwracając się skinąłem na Ala, żeby szedł za mną. W tej samej chwili głośnik zatrzeszczał. Jakby czekali tylko na ten moment.

- Uwaga Ornak i Haleb! Mówi Tarrowson. Mamy trochę kłopotów z łączami. Jesteśmy tutaj we dwóch z Oneską. Możecie wychodzić, ale zabierzcie skafandry i tlen. Nie rękę za korytarz. Minęła chwila, zanim Haleb położył dłoń na pulpicie łączności. Wyglądało, jakby każdy ruch rozkładał sobie na raty.

- Załoga "Dyny" - powiedział półgłosem. - Jesteśmy w skafandrach. Wychodzimy.

Stacja, do której nas skierowano, należała do największych ziemskich obiektów orbitalnych. Każdy taki zawieszony w próżni kombinat musi mieścić kilkanaście dużych pracowni pomiarowo-badawczych, mieć własne grupy techniczne i ekipy obliczeniowe, park raket bliskiego zasięgu, służby łączności, biotechniczne, pomocnicze... Razem, lekko licząc, ze stu ludzi.

Teraz było ich dwóch. Z całym tym kramem i awarią łączy.

Zostaliśmy w tyle o dziewięć lat. Niespodzianki przy powrotach są solą życia pilota. W czasie lotów z szybkością tachjonową, dwustronna łączność pozostaje jedynie wizją cybernetyków - optymistów. Ci zawsze zapewniają, że tym razem to już na pewno. Wszyscy inni zacierają ręce, jeśli meldunki z przestrzeni docierają w zrozumiałym kształcie na Ziemię. I jeśli załogom wracającym w płaszczyznę ekliptyki udaje się bez kluczenia złapać namiar macierzystej bazy.

- Mówi Oneska. Dzień dobry, Ornak. Dzień dobry, Haleb. Zaraz się zobaczymy. Przykro mi... Zatrzasnąłem drzwi śluzy. Głos profesora złapał nas, kiedy byliśmy już w przejściu. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym czekać, aż skończy nas przepraszać. A jeśli chodzi o niezbędne wyjaśnienia, to na nie i on, i my będziemy potrzebować więcej czasu.

Elastyczny korytarz, który połączył właz "Dyny" z wysuniętym przedsionkiem stacji, wbrew obawom Tarrowsena był nie uszkodzony. Szliśmy powoli, co kilka kroków sprawdzając zachowanie czujników. Sygnał alarmu nie odezwał się ani razu.

Za to automat śluzy funkcjonował jak żywy zaspany portier. Staliśmy pół minuty, zanim w ścianie zarysowała się szczelina. Kłapa pełzła niechętnie, z suchym chrobotem, jakby musiała pokonywać opór zardzewiałych przewodnic. Z kolei za nami spadła tak gwałtownie, że ledwo zdążyłem uciec z piętami.

Dalej wszystko poszło normalnym trybem. Sprężarki wyrównały ciśnienie i oczyściły atmosferę. Trwało to dość długo. Komora śluzy była obliczona na odbiór pasażerów i załóg dużych statków łącznikowych.

Wreszcie nad wejściem do hollu zapaliło się zielone światło. W otwartych drzwiach ujrzeliśmy Tarrowsena.

- Nareszcie jesteście - powiedział takim tonem, jakbyśmy te dziewięć lat spędzili w ogródku jordanowskim.

Uścisnąłem jego dłoń tkwiącą w grubej, szorstkiej rękawicy i przyjrzałem mu się.

Był ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiałem przed startem. To zresztą zrozumiałe, kierował zespołem pilotów od niepamiętnych czasów, w każdym razie niepamiętnych dla mnie.

Dziewięć lat zrobiło swoje. Włosy mu pobielewały, zmarszczki nad brwiami utworzyły głębokie bruzdy. Był w kompletnym skafandrze próżniowym. Z kaskiem pod pachą wyglądał jak pilot przed odprawą. Uśmiechał się ściskając dłoń Haleba, ale oczami wodził po ścianach korytarza, jakby w każdej chwili oczekiwał uderzenia meteorytu.

- No, chodźcie - powiedział wreszcie, cofając się. Mineliśmy go bez słowa. Korytarz prowadzący do kabin był nie oświetlony. W pewnej chwili odruchowo sięgnąłem do kasku, żeby zapalić umocowany tam punktowy reflektorek.

- Przeszliśmy na własne zasilanie - wyjaśnił Tarrowsen. - Oszczędzamy...

Miało to zabrzmieć dowcipnie. Bezwiednie ściągnąłem wargi.

- Naprawdę? - rzucił Haleb tonem uprzejmego zdziwienia.

Od kilkudziesięciu lat wszystkie sztuczne satelity w obszarze pierwszej strefy planetarnej otrzymywały energię z zewnątrz. Działa laserowe, rozlokowane na zastrzeżonych orbitach, okazały się wielokrotnie wydajniejsze od tysięcy generatorów instalowanych w poszczególnych obiektach. Koszty spadły o połowę, a straty energii przesyłanej skupionymi wiązkami promieni równały się praktycznie zeru.

Drzwi do centralnego pomieszczenia, które nazywano nawigatorią, choć oprócz stacyjki wewnętrznej łączności nie było tam ani jednego pulpitu sterowniczego, stały otworem. Przy nerwowym stole siedział starszy mężczyzna, który na nasz widok podniósł się i wyprostował. Był to Oneska, biomatematyk. Jego równaniom zawdzięczają tacy jak ja przesunięcie proggu przeciążenia do przyśpieszeń, pozwalających serio myśleć o gwiazdach, przynajmniej najbliższych. Stulecie profesury Oneski, zapowiadane jeszcze przed startem "Dyny", wypadło akurat w czasie naszej nieobecności.

- świetnie, że jesteście - powiedział mocnym, niskim głosem, w którym jednak pochwyciłem nutkę tłumionego napięcia. - Czekaliście już tylko na was...

Zmierzył wzrokiem kolejno Ala i mnie, westchnął, po czym pochylił się nad stołem, jak starożytny wódz nad sztabową mapą.

- Przede wszystkim - zaczął rzeczowym tonem - nie myślcie, że stało się coś złego. Wręcz przeciwnie... ale o tym później. Po prostu wycofaliśmy załogi ze wszystkich obiektów pozaziemskich. Dlatego nikt was nie przywiatał na granicy układu. My jesteście ostatni. Od przedwczoraj, poza czekaniem na was, nie mamy nic do roboty. Za dziesięć minut opuścimy stację. Energia nie będzie jej wtedy potrzebna, podobnie jak pozostałym konstrukcjom orbitalnym. Dlatego Ziemia wygasła baterie.

Haleb odchrząknął. Oneska posłał mu krótkie spojrzenie, potrząsając głową. Al zamknął usta.

- Realizujemy pewien stary plan - ciągnął profesor - nawiasem mówiąc, musieliście o nim słyszeć. Powstał na długo przed waszym odlotem, tylko wtedy nie było technicznych

możliwości jego realizacji. Sytuacja zmieniła się siedem lat temu, kiedy Hanek ze swoim zespołem ogłosili nową teorię pola, zwaną teraz nad systemem pola wielkiego. Na liczne warianty praktycznych zastosowań nie trzeba było długo czekać. No i dzisiaj... - urwał. - Tak czy inaczej - podjął po chwili - pozostaniemy w kontakcie. Musicie wiedzieć - wyprostował się i spojrzał na nas z uśmiechem - że jestem jednym z autorów tego, co teraz wszystkich nas, Ziemiaków, czeka. Jako biomatematyk, oczywiście. No tak... to na dziś byłoby wszystko. Nie miałem nic do powiedzenia.

- Możemy już lecieć? - spytał Haleb.

Oneska rozejrzył się po kabinie.

- Tak... - bąknął, jakby zaskoczony. - Tak... naturalnie. Tarrowsen podszedł do pulpitu i przejechał dłonią po klawiaturze. Światelka centrali komunikacyjnej zmatowiały, po czym zgasły.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę korytarza. Przekroczyłem próg i pograżyłem się w mroku. Teraz dopiero spostrzegłem, że zapomniałem zgasić reflektor przy kasku. Patrząc na Oneskę i Tarrowsena świeciłem im prosto w oczy. Chyba tego w ogóle nie zauważyli.

Cisza. Martwota. Nasze kroki w opancerzonym tunelu brzmiały jak uderzenia młotem w pień drzewa.

"Dyna" zostaje tutaj, przycumowana do stacji. Nie wiedziałem jeszcze nic, poza tym, że nieprędko zobaczę ją znowu. Poczciwy statek, który wyniósł nas między gwiazdy, a potem żywych i całych oddał Starej Ziemi. Czy rzeczywiście starej? To znaczy tej, którą żegnaliśmy dziewięć lat temu?

W tej chwili żegnamy "Dynę". Zostaje tu jak stara panna, trochę już zapewne śmieszna, a zarazem dziewiczo czysta. Zespoły pamięciowe jej pokładowej aparatury są wymiecione do ostatniego bitu. Czy kiedyś jakaś inna załoga zapisze w niej swoje własne ośnienia i łąki? Należało w to wątpić. Konstruktorzy także chyba znaleźli już swoje "warianty zastosowań" tej jakiejś nowej teorii pola.

Oczywiście komplet meldunków i danych dotyczących zakończonego dopiero co lotu przesłaliśmy na Ziemię natychmiast po wyjściu z hibernatorów. Przedtem zrobiły to pokładowe automaty. A ponadto komputer Centrali zapisywał wszystkie nasze obserwacje, rozmowy i czynności, przekazywane w ciągu całego lotu, bez chwili przerwy.

Na platformie startowej czekała rakietka typu "Cerera", przystosowana do lądowania w atmosferze; Bez trudu mogła pomieścić szkolną wycieczkę. W jej sterowni stał jeden płaski pulpit z zespołem przystawek, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

W czasie podróży nie dali nam spokoju. Tarrowsen chciał wiedzieć, jak spisuje się antykorozyjne tworzywo, którym powleczono aparaturę zainstalowaną na planetach Proksimy. Oneska pytał, czy nie mieliśmy snów świadczących o zaburzeniach nerwowych. A także, co odczuwaliśmy w momencie przekraczania bariery światła. Było aż nadto widoczne, że chodzi tylko o odwrócenie naszej uwagi od tego, o czym nie chcieli bądź nie mogli mówić. Przebieg ekspedycji znali przecież nie gorzej od nas. Wiedzieli nawet więcej. Otrzymywali meldunki przez wszystkie lata, które my spędziliśmy w hibernatorach.

W ostatecznym rachunku nasza wyprawa okazała się zwykłym lotem inspekcyjnym, tyle że do najdalszej ziemskiej stacji obserwacyjnej.

Swego czasu start "Dyny" stanowił sensację. Towarzyszyła mu atmosfera powszechnego entuzjazmu, niekiedy wręcz euforycznego. W sygnały, przekazywane z bezludnej bazy w rejonie Proksimy, wmieszał się obcy kod. Ururomiono całą ziemską sieć informacyjną. Powołano kilkusetosobowy sztab specjalistów. Ulice opustoszały, bo ludzie nie chcieli odchodzić od odborników. Wszyscy czekali na doniesienia o spełnieniu wizji setek pokoleń: spotkaniu z kosmitami.

Czekanie przeciągało się. Minęły miesiące, zanim ostatecznie stwierdzono, że przechwycone sygnały, chociaż nie pochodzą ze źródeł naturalnych, są alogiczne. Wszelkie próby odczytania ich jako kodu komunikacyjnego pozostały bez rezultatu.

Pomimo to, kiedy zdecydowano się wysłać patrol w celu zbadania sprawy na miejscu, żegnały nas tłumy. Wyruszyliśmy obciążeni dziesiątkami specjalnie dla nas wymyślonych selektorów i dodatkowym komputerem z przystawkami, mieszczącymi wszelkie możliwe kombinacje programów kontaktowych. Kiedy po czterech latach budziliśmy się w pobliżu celu, nie wiedzieliśmy, co naprawdę zastaniemy na globach Centaura.

Ujrzyliśmy dobrze znane konstrukcje automatycznej stacji, upstrzone talerzami i kratownicami anten, z których najmniejsza liczyła sześćset metrów średnicy. Sporo trudu i jeszcze więcej czasu kosztowało nas odszukanie miejsca, w jednym z setek tysięcy węzłów światłowodowych, gdzie trafienie meteorytu spowodowało powstanie swoistego rezonansu, czegoś w rodzaju echa magnetycznego. I to było wszystko.

Ziemia знаła prawdę od trzech z górą lat. Strumienie tachjonowe będą szybciej niż pędzone nimi statki. Nawet Tarrowsen i Oneska zdawali się nie pamiętać, po co nas właściwie wysłano

i jak wyglądało pole startowe, kiedy zajmowaliśmy miejsca w kabinie promu. Na temat awarii stacji, bo w końcu była to tylko awaria, oraz sposobu jej usunięcia, nie zająknęli się słowem. To już historia. Jeden z zabawniejszych może, ale nic nie znaczących epizodów w dziejach eksploracji kosmosu.

Ostatni kwadrans lotu minął już w milczeniu. Patrzyłem na rozbiegające się w dole kontury kontynentu i pierwszy raz tego dnia pomyślałem o Avii. Jej delikatna twarz o drobnych, wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych, stanęła mi przed oczami, jakby od chwili naszego rozstania minęły nie lata a godziny.

Nic tak jak tęsknota nie unaocznia człowiekowi spójności czasu i przestrzeni. Ciążył mi każdy tysiąc kilometrów pogłębiający przepaść dzielącą "Dyne" od Ziemi. Ale przed rozpamiętywaniem rozłąki bronił mnie instynkt pilota. Instynkt samozachowawczy. Nie chciałem tęsknić. Miewałem godziny, a nawet doby, kiedy to mi się udawało.

Jest jeszcze te dziewięć lat, które dla mnie, pędzącego przez próżnię w wąskiej puszczy hibernatora, zbiegły się do niespełna dwunastu miesięcy. Stanie się to zapewne żelaznym tematem naszych żartów i przekomarzań, ale podświadomie Avia nigdy nie przestanie oczekiwać potwierdzenia swojego kobiecego niepokoju.

Włożyła dzisiaj tę samą sukienkę co wtedy, kiedy mnie odprowadzała. Nie jestem sentymentalny, ale nad kimś, kto teraz powiedziałby mi, że to tylko gest, mógłbym się litować do końca życia. Stała samotnie, pośrodku ogromnej hali portu orbitalnego.

Idąc rozejrzałem się mimo woli, zaskoczony pustką panującą w tym, zwykle tak ruchliwym miejscu. Wtedy spostrzegłem, że podczas naszej nieobecności dworzec pozbawiono ścian i w ogóle jakichkolwiek konstrukcji nośnych. Pozostała jedynie zawieszona na nie istniejących nitkach płaszczyzna dachu.

Ale teraz była przede wszystkim Avia. Nie poruszyła się, kiedy szliśmy w jej stronę. Moi trzej towarzysze pozostali nieco z tyłu, jakby nagle odkryli, że mają sobie mnóstwo do powiedzenia. Pozostała milcząca i bierna także wtedy, kiedy stanąłem przed nią i pocałowałem ją w usta. Chciałem ją przyciągnąć, ale cofnęła się. Utkwiła wzrok w moim czole uważnie badając każdą zmarszczkę. Patrzyła tak dłuższą chwilę, aż wreszcie usłyszałem jej śmiech. Położyła mi dłonie na piersi. Uniosła głowę. - Jakiś ty młody - powiedziała. Z tyłu dobiegło westchnienie. Oneska. Nie wiem, czy bezwiednie dał wyraz swojemu zniecierpliwieniu, czy też słowa Avii poruszyły w nim jakąś bardzo osobistą, wrażliwą strunę.

Rezerwa, z jaką myślałem o pierwszych chwilach po powrocie, okazała się zdumiewająco bezsensowna. Nie ma reporterów, ciekawskich, nie ma nawet garstki entuzjastów. Wszystko wygląda inaczej. Dlaczego ten hali jest pusty jak cmentarz nad ranem? Dlaczego Avia przyszła sama? Gdzie są moi najbliżsi? Nie stało się nic złego. Tarrowsen powiedział to wyraźnie, zresztą dość spojrzeć na Avię. Więc co, u licha? Zaśmiała się znowu.

- Załatw szybko swoje sprawy. W domu nie mogą się doczekać... Wzruszyłem ramionami. Równie dobrze jak ja wie, dokąd teraz pójde. Weryfikacja przekazów informatycznych - tak to się nazywało w regulaminie Centrali. Potem "medycyna". W sumie kilka, jeśli nie kilkanaście godzin.

- Lepiej nie czekajcie z obiadem - mruknąłem, dając znak Halebowi, który przywitał się krótko z Avią, po czym od razu ruszył w kierunku wyjścia.

Dopiero z odległości kilkunastu metrów od zewnętrznego tarasu dostrzegłem sterczące wzdłuż obrzeża dawnej konstrukcji portu małe, czarne główce emitorów. Oto i przykład zastosowań nowej teorii pola. Oneska i Tarrowsen byli niedorzecznie wstrzeźliwi, ale to tutaj mówiło wiele. Doskonale przezroczyste tworzywo nie istniało nadal. Ścian po prostu nie było. Płaszczyzna dachu spoczywała na polu siłowym, stymulowanym z wbudowanych w fundamenty aparatów. No cóż. Ja sam, jeszcze jako stażysta, poznałem kilka dość mglistych teorii, proponujących zastąpienie najrozmaitszych konstrukcji i materiałów "budulcem" siłowym. Byłem świadkiem dwóch czy trzech pomyślnie zakończonych eksperymentów. Próby te jednak nigdy nie wyszły poza progi placówek badawczo-doświadczalnych. To znaczy do momentu naszego startu.

Możliwości tkwiące w świeżo odkrytym "nadsystemie" istotnie mogły oznaczać prawdziwą rewolucję matematyczno-inżynierską, skoro w ciągu kilku lat ludzie potrafili nie tylko uporać się z geometrią, to jest z problemami zasięgu stymulatorów, modulacji i wzajemnego przenikania płaszczyzn, lecz także przejść do stadium zastosowań na taką skalę jak tutaj, w tym porcie.

Powtórzyłem sobie w duchu, że człowiek nie może dwa razy wejść do tej samej rzeki, przeszedłem przez szerokie drzwi wytyczone słupami ostrego, pomarańczowego światła i znalazłem się na placu dworcowym.

Stanąłem jak porażony. Moim pierwszym odruchem było uciec. Skryć się napowrót w zaciszu portu przed koszmarnym hałasem, przewiercającym czaszkę, paraliżującym mięśnie i nerwy. Z całej siły przycisnąłem dłonie do uszu. Potrzebowałem dobrej chwili, żeby jako tako

ochłonać.

Miasto nie było głośniejsze niż dziewięć lat temu. Najwyżej odrobinę. Ale tło akustyczne jest ważnym elementem procesów przystosowawczych. Można się odzwyczaić. Nie mówiąc o naturalnym sojuszu człowieka z ciszą.

Sojusz człowieka z ciszą. Tak. Tak właśnie wtedy pomyślałem.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się. Oneska patrzył na mnie ze zrozumieniem i poruszał wargami. Oderwałem ręce od głowy i usłyszałem jego ostatnie słowa:

- ...każde bzyknięcie muchy w sąsiedniej dzielnicy...

Czułem, że powinienem spytać, o co chodzi z tymi muchami, ale

przekrzyczenie miasta wydało mi się zadaniem ponad siły. Zresztą Oneska nie czekał na odpowiedź. Skinął na Tarrowseña i szybkim krokiem ruszył w stronę parkingu. Haleb poszedł za nimi. Spojrzałem na Avię i wciąż oszołomiony hałasem pociągnąłem ją za sobą, jak obcy turysta, który boi się stracić z oczu przewodnika.

Dwie minuty później wyprostowałem się i odetchnąłem z ulgą. Przecież to po prostu wielkie miasto. Moje miasto. Należę do niego, a nie do gwiazd. Miasto nie może być nieme.

W otwartym pawilonie, zastrzeżonym dla Centrali, ujrzałem pojazd, przypominający płaską łódź o niskich burtach, z sześcioma fotelami zamocowanymi w trzech rzędach. Nie okazując zdziwienia wysforowałem się do przodu, uniosłem nogę i skoczyłem, chcąc jednym rzutem ciała ulokować się w fotelu. Usłyszałem stłumiony okrzyk, a potem uderzyłem ramieniem o niewidoczną ścianę, ześliznąłem się po niej, na próżno szukając oparcia rozczapierzonymi palcami i z impetem usiadłem na ziemi. Natychmiast wstałem i kopnąłem szpicem buta pozornie nie istniejącą obudowę pojazdu, kilka centymetrów nad podstawą foteli. Moja noga przeniknęła do wnętrza. Straciłem równowagę i byłbym poleciał po raz drugi, gdyby nie podtrzymała mnie Avia.

- Czy nigdy ci nie mówiono - zabrzmiał za moimi plecami głos Haleba - że jeśli ktoś nie wie, co zrobić z kaczką po chińsku, powinien poczekać i podpatrzeć bywalców?

Wyprostowałem się.

- Zabawne - przyznałem. - "Wariant zastosowania nadsystemu teorii pola" - zacytowałem. -

Czy pomyśleliście także o dzieciach? O nowej generacji zabawek? Przecież to lepsze niż czapka-niewidka.

- Dobrze, dobrze - powiedział Tarrowseñ. - Za parę godzin dowiecie się o wszystkim. Także o dzieciach. Co do mnie, czuję się dostatecznie dorosły, żeby nie tracić czasu na wyęczenie da torów. Zrobią to tysiąc razy szybciej i dokładniej. Chodźcie już - podszedł do czółnowatej konstrukcji w jej najszerszym miejscu. Wykonał ręką ruch, jakby przecierał szybę, po czym najspokojniej usiadł w fotelu. Obok niego zajął miejsce profesor. Z tyłu usadowił się Haleb, pozostawiając środkowy rząd mnie i Avii. Niby grzeczny uczeń, po raz pierwszy przychodzący do nowej klasy, usiadłem, gdzie mi kazano.

Pojazd ruszył i z miejsca nabierając prędkości skierował się ku estakadzie prowadzącej na drugi poziom miasta.

Natężenie ruchu ulicznego wzrosło chyba dwukrotnie. Zmieniła się moda. Nowinki poszły dalej, niż mogłem się spodziewać. Dalej, a także wyżej. Opanowały frontony budowli, okna, latające tarasy, wieże dworców i obrzeża mostów. Niebo ginęło za serpentynami barwnej, świecącej folii. Im bliżej centrum dzielnicy, tym większe stawały się holograficzne obrazy rozpięte w poprzek ulic, jakieś sielskie pejzaże, gigantyczne wiązanki kwiatów, najzupełniej chybione z punktu widzenia reklamy, bo pozbawione treści. Tak samo prezentowały się witriny salonów handlowych na obu dolnych poziomach. Jakby obowiązująca od wieków zasada "towar kupca chwali" ustąpiła nagle innej: "nie pokażę, zanim nie kupisz". Lub też, jakby wszystkie magazyny, od wieżowców do najmniejszych pawilonów zostały doszczętnie ogołoczone z towarów.

Ale mieszkańcom, którzy wylegli na chodniki i eskalatory, to najwidoczniej nie przeszkadzało. Łódkowaty wehikuł niósł nas zbyt szybko, bym mógł obserwować twarze mijanych ludzi, jednak ci, których udało mi się wyłuskać z tłumu, byli uśmiechnięci. Sprawiali wrażenie podnieconych, jak w wigilię święta, zapowiadającego moc radosnych niespodzianek.

Przyłapałem się na tym, że zaczynam snuć jakieś pierwsze domniemania, a nawet teoryjki.

Było to przedwczesne. Nie ma najmniejszego sensu łamać sobie głowę, zanim nie przejdę przez tryby maszyny informatycznej Centrali w jej Ośrodku Aktualizacji Przystosowawczej.

Nazwa tego ośrodka od lat była przedmiotem drwin i ataków językoznawców, ale na co dzień nikt z nas jej nie używał, tak że teraz z trudem przypominałem sobie jej brzmienie.

Zerknąłem na Avię. Patrzyła na mnie z tym swoim uśmieszkiem, który tak dobrze

zapamiętałem, opuszczając Ziemię. Jej oczy mówiły, że cieszy się czymś, co nastąpi. A także tym, że ja nie wiem, co to mianowicie będzie.

Odwróciłem głowę i przyjrzałem się burcie pojazdu w miejscu, gdzie przechodziła w niewidzialną karoserię. Ostrożnie dotknąłem palcami gładkiej, twardej płaszczyzny.

Nacisnąłem, najpierw bardzo delikatnie, potem trochę mocniej. Nie poddała się. Cofnąłem rękę i przypomniałem sobie swoje pierwsze, niefortunne podejście do pojazdu. Usiadłem głębiej w fotelu i z rozmachem uderzyłem pięścią, starając się trafić w miejsce, którego dotykałem przed chwilą. Przez moment moja ręka szła swobodnie dalej, pokonując niewyczuwalny zrazu, ale szybko rosnący opór. Jakbym napinał niesłychanie elastyczną błonę. Zanim zdołałem wyprostować ramię, ściana stwardniała. Nacisnąłem mocno, bez skutku. Jeszcze sekunda i wypchnięty fragment karoserii rozpoczął ruch powrotny, napierając na moją pięść z siłą dryfującego tankowca.

Spojrzałem na profesora Oneskę. Pochwyciwszy mój wzrok skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Rozbolał mnie kark. Mięśnie miałem napęczniałe jak drewno. Normalna reakcja po długim locie. W dalszym ciągu nie próbowałem silić się na zgadywanie. Mówiąc ściślej, myśleć o czymkolwiek. Nic prostszego. Tak mogłoby się zdawać. Przynajmniej komuś, kto jak ja nawykł do klasyfikowania rzeczy, spraw i uczuć według czasu. Problem stary jak świat. Komtredans niecierpliwości i doświadczenia. Coś, co dzieje się w każdym człowieku. Ale gdyby nie ten wewnętrzny ruch, nie byłoby pilotów. Nie tylko pozaukładowych.

Wzruszyłem ramionami i ponownie skupiłem uwagę na wyglądzie mijanych ulic. Zanim jednak z uczuciem dalekim od podziwu zdążyłem zmierzyć wzrokiem rozmiary kolejnej kwiatowej piramidy, wszystko znikło. Przed nami zapłonęły szpalery ksenonowych świateł. Wpadliśmy w tunel.

- Myślałeś o mnie? - usłyszałem przyciszony głos Avii. Siedziała wygodnie w miękkim fotelu i uśmiechała się. Ciągle się uśmiechała.

Objąłem ją ramieniem.

- O co chodzi? - spytałem równie cicho.

Nie odpowiedziała. Nie gorzej niż my musiała wyczuwać fałsz w atmosferze towarzyszącej powrotowi "Dyny", od wejścia w płaszczyznę ekliptyki do jazdy tym czółnem, zbudowanym z niewidzialnej gumy. Ale nic sobie z tego nie robiła. Jej uśmiech mówił dobitnie, że teraz przynajmniej nie dowiem się od niego niczego.

Tunel został za nami. Budynek rozbiegł się, jechaliśmy chwilę szeroką szosą przypominającą stary pas startowy, po czym skręciliśmy w lewo, między wysokie drzewa, otaczające pawilony Centrali.

Rozdział 2

W gabinecie lekarskim panował półmrok. Ekrany z wijącymi się sinusoidami zapisów przywodziły na myśl kabinę statku. Ale tu była Ziemia. Z przestrzenią te wykresy miały tyle wspólnego, że pilot Centrali mógł z nich wyczytać, czy jeszcze choć raz w życiu poleci do gwiazd. Albo przynajmniej na najbliższą stację orbitalną.

Kounrida wyprostował się i odsunął fotel. Szybkim ruchem wygasił monitory. W pokoju pojaśniało.

- W porządku - powiedział sennym, jakby znużonym głosem. - Zawsze jesteście w porządku. Nikt nie chce wierzyć, kiedy mówię, że praca tutaj to zwykła synekura - uśmiechnął się.

- Możesz się przekwalifikować - poradziłem uprzejmie. - Niektóre załogi narzekają na częste awarie stymulatorów psychicznych. W końcu, co za różnica, dbać o prawidłowy obieg bioprądów w żywych organizmach, czy o aparaturę sterującą samopoczuciem... to znaczy - dodałem po chwili - o tych awariach słyszałem, rzecz jasna, dziewięć lat temu...

Bezwiednie ściszyłem głos. Poczułem się znudzony i zniechęcony. Nagle zatęskniłem do miasta, z jego zgiełkiem i ruchem. Zapragnąłem znaleźć się znowu wśród tych idiotycznych dekoracji, zgubić w rozradowanym z niewiadomego powodu tłumie.

- To już wszystko? - spytałem. Sam się zdziwiłem, ile zniecierpliwienia zabrzmiało w moim głosie.

Kounrida przyjrzał mi się uważnie, po czym westchnął i pokręcił głową. Przeszedł przez pokój i przystanął przed białym zasobnikiem wbudowanym w ścianę. Odwrócił się i podał mi fiolkę z pomarańczowymi pigułkami.

- Weź to - powiedział. - Zażyjesz dzisiaj trzy, a jutro pięć.

Ostatnią wieczorem. Zanim zaśniesz - dodał z naciskiem.

- Nie mam zwyczaju jeść pigułek przez sen - wyjaśniłem. - Co to jest?

- Homeotal.

- Co?

- Mówię przecież, tabletki homeotalu. To nowy środek stosowany przed... no, mniejsza z tym. My tutaj zażywamy to od dwóch tygodni...

- Co za "my"? Lekarze?

- Wszyscy - odrzekł spokojnie. - Wy przejdziecie teraz przyśpieszoną kurację. Nie zapomnij... W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie, które powinienem potraktować z całą powagą.

Kounrida nie należał do lekarzy lubujących się w opisywaniu pacjentom okropności, jakie ich czekają, gdyby ściśle nie przestrzegali przepisanej kuracji. A swoją drogą, że też oni zawsze tak święcie wierzą w zbawcze działanie wszystkiego, co tylko uda się wysmażyć w syntetyzatorach.

Nie pozwoliłbym zbyć się tym wyjaśnieniem, które niczego nie wyjaśniało, ale w tej właśnie chwili do gabinetu wszedł Tarrowson.

- No i co? - rzucił od progu.

- To co zawsze - powiedział Kounrida, odwracając się twarzą do aparatury. - Już po wszystkim. Możecie iść.

Tarrowson przeniósł spojrzenie na mnie.

- Idź teraz do domu przywitać się z rodziną. Ale nie wdawaj się w żadne dyskusje. Nie żądam wyjaśnień. Od nikogo - podkreślił - o dziesiątej wieczorem przyjdiesz do Centrali na nocleg. Będę na ciebie czekać. Rano obudzisz się już jako człowiek współczesny - zmusił się do uśmiechu, ale jego oczy pozostały poważne.

- A Haleb? - spytałem.

- Rozumiem - zakpił. - Zabrakło wam kilku minut na uzgodnienie poglądów. Przerwaliście w najciekawszym miejscu. Trudno. Teraz musicie uzbroić się w cierpliwość.

Przeszedłem obok niego i skierowałem się do wyjścia. Przez chwilę walczyłem z podejrzeniem, że wszystko to nie dzieje się naprawdę, że tkwię jeszcze w hibernatorze, mam awarię sprężarek i niedostatek tlenu sprowadza na mnie nedorzeczne sny.

Ale to nie był sen. Przynajmniej do tej pory.

Dom moich rodziców, na trzecim poziomie Dzielnicy Żeglarzy, oparł się modzie, poczętej zapewne w euforii, jaką wzbudziło odkrycie nadsystemu pola wielkiego oraz jego późniejsze zastosowania. W każdym razie zachował zwykłe, uczciwe ściany. Żadnej z nich nie zastąpiono siłową płaszczyzną, jak w wielu okolicznych budynkach, których wnętrza stały się dzięki temu eksponatami, dostępnej dla ogółu, wystawy z cyklu "urządzamy mieszkanie".

Niemniej i z jego płaskiego dachu sterczał nowy maszt, ozdobiony pękiem cieniutkich skrawków folii, nieskończonej, zdawało się, długości. Wielobarwna, migocąca kita falowała na sztucznym wietrze, splatając się z serpentynami wywieszonymi przez sąsiadów. Wzdłuż gzymsu biegł rząd małych reflektorów. Wyobraziłem sobie, jak ten dom wygląda wieczorem. Z moją matką czas obszedł się łagodnie. Tylko zmarszczki wokół jej oczu, kiedy się uśmiechała, były odrobinę głębsze. Ojcu pobielały skronie, lecz poza tym sprawiał wrażenie młodszego niż wówczas, kiedy odlatywałem. Był rozmowny i ożywiony. Nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego, ale od pierwszej chwili wyczułem, że jego ruchliwość niewiele ma wspólnego z moim powrotem. Przyglądałem mu się, kiedy mówił. Sprawiał wrażenie człowieka, który ma coś do ukrycia, ale nie na długo.

W pewnym momencie odechciało mi się opowiadać. Historię lotu "Dyny" każde z nich i tak znało przecież na pamięć. Dorzuciłem jeszcze kilka nieistotnych szczegółów i przeszedłem do pytań. Po godzinie potrafiłbym powtórzyć imiona, jakie nadano urodzonym w ciągu tych dziewięciu lat dzieciom naszych sąsiadów.

Zapał zmierzch. Spytałem, czemu nie zapalają reflektorków na dachu, jeśli już tak się napracowali, żeby je tam umieścić.

- Poczekamy do jutra - powiedział ojciec.

- A więc to od jutra - skinąłem głową. - Od jutra - powtórzyłem po chwili - czy tylko jutro?

Zapanowało milczenie. Uśmiechnąłem się. Patrzyłem na nich z miną człowieka, który nie

odpowiada za siebie, ponieważ nic nie wie i niczego się nie domyśla.

- Tylko jutro - bąknął wreszcie ojciec.

- Warto było się trudzić dla jednodniowej iluminacji? - spytałem naiwnie.

- Warto - odpowiedzieli równocześnie ojciec i Ren, mój najmłodszy brat. W ich głosach brzmiała niewzruszona pewność.

Avia spojrzała na zegarek. Następnie wstała, poprawiła włosy i podeszła do mnie.

- Musisz już iść - powiedziała. - O dziesiątej masz być w Centrali, prawda?

- Skąd wiesz? - spytałem spokojnie. Nie było jej, kiedy Tarrowsen umawiał się ze mną na "nocleg".

Zmieszała się. Spuściła głowę i utkwiała wzrok w czubkach swoich pantofelków. Pierwszy raz widziałem ją taką.

- ja... - zaczęła i urwała. Chwilę milczała, jakby nabierając odwagi, wreszcie wyprostowała się, odwróciła do mnie profilem i patrząc w okno powiedziała: - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dowiesz się tam, od nich. Zresztą, prosili o to. Rzecz jest dość skomplikowana... zwłaszcza dla kogoś, kto...

- ...przerwał naukę dziewięć lat temu? - podsunąłem. Spojrzała mi w oczy.

- Nie złość się. Oni chcą wam wszystko wytłumaczyć w sposób maksymalnie uporządkowany. To podobno bardzo ważne. Chodzi o wasze nastawienie, rozumiesz?

Pokiwałem głową.

- Rozumiem - powiedziałem słodkim tonem. - Odnoszę wrażenie, że nadchodzi pierwsza rocznica mojej śmierci. Wszyscy myślą o mnie z czułością. Jeszcze trochę, a się popłaczę.

- Och! - wykrzyknęła i odwróciła się szybko.

Miałem serdecznie dość tej całej ciuciubabki. Jakbym był czteroletnim dzieckiem, któremu właśnie rodzi się braciszek.

Ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Obejrzałem się gwałtowniej niż należało. Za mną stała matka.

- Nie przejmuj się - powiedziała niemal wesoło. - Zobaczysz, wszystko się wyjaśni. A potem dłużej będziemy razem...

Po raz pierwszy tego dnia wstrząsnęła mną świadomość, że naprawdę nic nie wiem.

Zbudziłem się z uczuciem, że w czasie snu urosłem o kilka centymetrów. Z wysiłkiem uniosłem głowę, po czym z największą uwagą obmacałem ją palcami.

Nagle, w ułamku sekundy, oprzytomniałem. Usiadłem nie spuszczać nóg z rozłożonego fotela i wpatrzyłem się w stojącą obok mnie aparaturę.

Ekraniki datorów były ciemne. Liczby w okienkach wskaźników świadczyły o wyczerpaniu programu. Skupiłem myśli i przypomniałem sobie wzór rozszerzonego pojęcia pola, o którego istnieniu nic nie wiedziałem jeszcze sześć godzin temu, kiedy układałem się do snu w gabinecie informatycznym. Tarrowsen nie kłamał. Stałem się na powrót człowiekiem współczesnym.

Nie ze wszystkim jednak. W programach datorów zabrakło informacji, tłumaczących okoliczności powrotu "Dyny", zagadkę nieobecności ludzi, a w każdym razie ich milczenia w bazach komunikacyjnych Luny i lądowania bezpośrednio na stacji orbitalnej, z załogą składającą się jedynie z Oneski i Tarrowsena.

Mało tego. Bez odpowiedzi pozostały pytania, jakie musiały mi się nasuwać wobec ich niedopowiedzeń, odkładania wszystkiego na później, wreszcie cudacznego wyglądu miasta.

Wstałem, pchnąłem oparcie fotela, aż stuknęło o statyw najbliższego projektora i ruszyłem ku drzwiom. Postanowiłem odszukać Tarrowsena i rozmówić się z nim definitywnie. Bez względu na jego obawy, humory, czy co tam wreszcie.

Korytarz był nie oświetlony. Przeszedłem kilka kroków i zatrzymałem się. Chwilę nasłuchiwałem. Dłużej niż chwilę. Gmach milczał. Znikąd nie dochodził najcichszy szmer.

Jakby w setkach gabinetów i pracowni nie było żywego ducha. Przyszło mi na myśl, że wpadłem w pułapkę. Że sprowadzono mnie nie do Centrali, a skopiowanego z jej architektury statku kosmicznego, który wystartował, kiedy spałem i teraz mknie ku gwiazdom ze mną, samotnym, na pokładzie. Odruchowo przesunąłem dłoń po czole. Zacerpnałem powietrza i wziąłem się w garść. Mimo wszystko wiedziałem już dość, żeby nie dać za wygraną. W końcu dopadnę któregoś z nich. Nie tutaj, to w klubie, w mieście, choćby w mieszkaniu. Poszukałem kontaktu. Korytarz wypełnił się blaskiem, do złudzenia naśladowującym światło dnia przy bezchmurnym niebie. Nie ma nic lepszego na chandrę niż ksenonowe lampy.

Wsiadłem do windy i wjechałem na najwyższe piętro, gdzie w półkolistej nadbudówce, nawiązującej wystrojem wnętrza do baz planetarnych, mieścił się gabinet Tarrowsena i rozdzielnia łączy komunikacyjnych. Wszedłem na środek hollu i rozejrzałem się. Także tutaj wszystkie drzwi były zamknięte.

Postałem dwie minuty, nie myśląc o niczym, wreszcie wzruszyłem ramionami i skierowałem się ku najbliższemu gabinetowi. Mocno pchnąłem drzwi, pewny, że napotkam opór zamka, i

poleciałem z rozpędu do przodu, omal nie przewracając siedzącego na wprost wejścia Oneski. Złapałem równowagę i prostując się wykrztusiłem coś, czego profesor szczęśliwie nie dosłyszał. Kąciki moich warg powędrowały do góry. Zawsze tak się dzieje, kiedy wpadam w pasję.

- Przepraszam, że wchodzę bez pukania - warknąłem. - Takie tu tłumy, że i tak nikt by nie usłyszał. Zaraz sobie pójdę. Mam tylko dwa pytania. Po pierwsze, czy Centrala jeszcze istnieje? I po drugie, czy ja nadal w niej pracuję?

Musiałem przerwać, żeby zaczerpnąć tchu. Przeszedłem kilka kroków i zatrzymałem się w rogu gabinetu, pod kontrolnym ekranem sieci awaryjnej. Z tego miejsca można było w ułamku sekundy zarządzić ciszę radiową w obrębie całego Układu Słonecznego. Albo wywołać pilota, patrolującego w jednoosobowej rakietce obszar asteroidów. A także wykonać całą masę innych czynności. Nie można było natomiast odgadnąć, czy ten stary mężczyzna, siedzący spokojnie w fotelu i nie spuszcający ze mnie wzroku, zechce wreszcie przemówić.

Wskazał mi miejsce naprzeciw siebie.

- Siadaj - powiedział.

Nie poruszyłem się. Odczekał chwilę, po czym skinął głową jakby przyjmując propozycję i wstał również. Założył ręce na plecy i zaczął chodzić po pokoju. Nie ponaglałem go. Byłem już spokojny.

- Oczywiście, że musimy porozmawiać - odezwał się w końcu. - Właśnie teraz. Wczoraj - uśmiechnął się przelotnie - byłoby to przedczesne. Przede wszystkim - podniósł głos - przepraszam cię. Powinienem być siedzieć przy tobie w kabinie datorów, kiedy się budziłeś. Tylko w tym celu przyszedłem dzisiaj do Centrali... no i żeby pomówić potem z tobą, rzecz jasna. Ale... - odwrócił głowę - postanowiłem zajrzeć jeszcze tutaj, pożegnać się... i przegapiłem właściwy moment. Zamyśliłem się... nie miej mi tego za złe - ponownie patrzył mi w oczy. - A teraz powiedz, jak oceniasz programy?

Zrozumiałem, że chodzi mu o datory.

- Jeszcze nie wiem. To zależy, czego dowiem się tutaj. Od pana. Uśmiechnął się.

- Rozumiem - rzucił pojednawczo. - Mnie samego ogarnia czasem wrażenie, że siedzę na jakimś nedorzecznym spektaklu fantomatycznym. Już teraz - dodał półgłosem. - Jeśli chodzi o ciebie - ciągnął - i, oczywiście, o Haleba, gdybyśmy od razu wyłożyli całą sprawę, pomyślelibyście, że macie do czynienia z szaleńcami. Z szaleńcami - podkreślił. - Bo to, co robimy, dotyczy... - zawahał się - krótko mówiąc ogółu ludzi. Wszystkich, ilu nas jest. Zatrzymał się przy jednym z pulpitów, pogładził go i pochylony nad klawiaturą mówił dalej, jakby do siebie:

- Jednolita teoria pola... marzenie Einsteina. Zapamiętałeś dobrze, co zrobiliśmy z nią przez ten czas?

Wzruszyłem ramionami.

- Dokładnie tak samo jak ja wie pan, co zapamiętałem. A ponadto, czego nie mogłem zapamiętać, ponieważ ktoś, programując datory, przeoczył kilka drobiazgów.

Nie zareagował. Może w ogóle nie słyszał, co powiedziałem. Odszedł od pulpitu i stanął na wprost mnie.

- Początkowo nie ogarnialiśmy perspektyw, jakie otwały się przed nami - podjął jakby nigdy nic. - Powołano specjalistyczne komisje i podkomisje... było ich ponad tysiąc. Do opracowania wariantów i harmonogramów zastosowań w poszczególnych dziedzinach. W pierwszym etapie zamierzano skoncentrować się na likwidacji skutków napięć cywilizacyjnych. Przecież nadsystem Hanka z łatwością da się przekształcić w całkowicie zintegrowane modele procesów, które toczą się od wieków i od wieków decydują o życiu ludzkiej zbiorowości. Tym samym o życiu każdego z nas. Dysponując takimi modelami i rozwiniętą informatyką oraz nowoczesnymi technologiami, możemy te procesy nareszcie w pełni świadomie kształtować. A zapewniam cię, że owe matematyczne modele są nie mniej realne i praktyczne, niż sporządzony przez zawodowego architekta projekt nowego przedszkola. Nie mniej praktyczne i - z zachowaniem stosownych proporcji - równie proste w realizacji. Zresztą, sam się przekonasz. Tak więc początkowo chciano jedynie rozwiązać pozostałości napięć cywilizacyjnych w sferze stosunków społecznych związanych z produkcją, gospodarką i konsumpcją. Cóż, kiedy zaraz po dokonaniu wstępnych przysmiarek okazało się, że jesteśmy w położeniu mrówki, przed którą otwarto bramę wjazdową dla ciężarówek. Trudno doprawdy opisać komuś, kto tego nie widział, rozmiary powszechnej euforii. Pisano, że ludzkość przechodzi bezprecedensową metamorfozę, że wступujemy na jakościowo nowy stopień rozwoju, z którego będziemy patrzeć na naszych ojców tak, jak dotąd patrzyliśmy na jaskiniowców. Odrzucano wszelkie ograniczenia sprowadzające działanie człowieka do obszaru czasu i przestrzeni. Cała logika progowa została uznana za relikw przeszłości, świadectwo ubóstwa myślowego naszych przodków.

Uśmiechnął się. Chwilę czekał, aż odwzajemnię ten jego uśmiech, kiedy wreszcie dotrze do

mnie, jak zabawne jest to, o czym mówi.

Ale ja także tylko czekałem.

- Żadna z komisji nie zdążyła przedstawić swojego opracowania - oświadczył już bez uśmiechu. - Nie doszło nawet do wstępnej selekcji materiałów. Zaraz w drugim czy trzecim tygodniu pewien biomatematyk z Instytutu Bałtyckiego odgrzebał projekt, złożony w jakimś urzędzie prognozowania jeszcze w połowie dwudziestego pierwszego wieku. Wtedy była to czysta utopia. Osobiście uważam, że autorzy owego projektu wcale nie liczyli na jego realizację, nawet w nieokreślonej przyszłości. Sądzę, że wówczas chodziło im tylko o wstrząśnięcie opinią publiczną, o zaktywizowanie społeczeństwa do walki z zagrożeniem biosfery. W końcu były to szczytowe lata kryzysu cywilizacyjnego. Ale mniejsza z tym. Nawiasem mówiąc, nie dałbym głowy, czy uczyony, który teraz wygrzebał tę historię ze starych zapisów, sam traktował sprawę serio. Przynajmniej w chwili, gdy z nią występował. Rzecz nawet dzisiaj zakrawa na parafrazę bajki o śpiącej królewnie...

Urwał i stał bez ruchu zapatrzony w okno.

To dopełniło miary. Od kiedy dotknąłem stopą stacji orbitalnej, stale ktoś zapowiada, co to się jeszcze nie stanie.

- A propos bajki - powiedziałem. - Kiedy byłem mały, odwiedzał nas pewien fotonik, daleki kuzyn ojca. Za każdym razem przynosił mi coś w prezencie. Stawał w progu, trzymał ręce za plecami i kazał mi zgadywać, co tam ma. Trwało to czasem i dwadzieścia minut. Doszło do tego, że na jego widok uciekałem przez okno. Ten gabinet mieści się na siódmym piętrze i...

- Przestań - Oneska machnął niecierpliwie ręką. - Już kończę. Otóż projekt, o którym mówiłem, przedostał się do publicznej wiadomości. Bywa czasem, że coś, nie wiedzieć jak i kiedy, staje się nagle tematem dnia i to tematem bulwersującym wszystkie środowiska. Przypuszczam, że nasz biomatematyk poczuł się zaskoczony nie mniej od pozostałych specjalistów, zgrupowanych w zespołach. Kiedy pojął, co się święci, był już na ustach wszystkich. Pierwsi podchwycili jego ideę ekolodzy z nieprzebranymi zastępami sympatyków. Zawtórowali im, rzecz jasna, biochemicy i bionicy, ci od procesów przystosowawczych, a tych z kolei poparli biomatematycy, którzy ujrzeli szansę sprawdzenia swoich teorii na skalę nie spotykaną w historii cywilizacji. Potem głos zabrali ekonomiści i lekarze. Od tego momentu, niepostrzeżenie, projekt wszedł w fazę realizacji. Grubo przed debatą w Radzie i oficjalnymi decyzjami. Nie, żeby ktoś świadomie działał metodą zaskoczenia. Powtarzam, nie potrafię wyjaśnić, jak właściwie toczyły się losy całego przedsięwzięcia. W pierwszej fazie bieg wydarzeń był tak niewiarygodnie szybki, że wszelkie postanowienia zapadały po konkretnych faktach, zamiast je wyprzedzać. Sam niezbyt dobrze rozumiem...

Mogłem mu wierzyć. Całe jego zachowanie świadczyło wyraźnie, że jest coś, czego nie rozumie. Lub nie chce rozumieć.

Dochodziła dziesiąta. W mieście od kilku godzin panuje normalny ruch. Ulice wyglądają jak zamknięte w kręcącym się kalejdoskopie.

Za oknem sunęły chmury. Na ich tle ostro rysowały się poważne sylwetki transportowców i niezliczone przecinki żyrolotów.

Milczeliśmy obaj dłuższą chwilę. Wreszcie Oneska zdecydował się oderwać wzrok od krajobrazu za oknem. Westchnął i wymruczał:

- Przynajmniej odeśpię wszystkie przepracowane noce, ziemskie i kosmiczne... no dobrze - powiedział już normalnym tonem. - Odpowiednio zaprogramowane pole siłowe zastępuje w praktyce każde tworzywo konstrukcyjne, łącznie z takimi, o których dopiero marzyli nasi technologowie. Umożliwia na przykład pokrycie kuli ziemskiej dachem nieprzenikliwym dla cząstek elementarnych, dla każdego promieniowania, jakie uznamy za niepożądane. W ten sposób do pomyślenia jest, uważaj teraz - podniósł głos - przekształcenie planety w jedną wielką sypialnię. Budowa domów mieszkalnych stałaby się anachronizmem i człowiek mógłby zrealizować swoje odwieczne marzenie o zespoleniu z przyrodą. Tylko jaką przyrodą? Mamy kilkaset rezerwatów, a poza tym? Każde dziecko wie, jak wyglądają nasze lasy i rzeki. Co z tego, że od stu lat utrzymujemy w dynamice biosfery bilans zerowy? Powstrzymany został proces niszczenia. Jednak na wyrównanie strat poniesionych w poprzednich epokach nie możemy sobie pozwolić, nie chcąc osłabiać tempa rozwoju cywilizacji, co w praktyce równałoby się regresowi. W szczytowej fazie kryzysu, w dwudziestym pierwszym wieku, ten uczyony, o którym mówiłem, wystąpił z przekorną raczej niż konstruktywną propozycją, żeby po prostu wszystkich ludzi położyć spać na kilkadziesiąt lat. Zdaje się, że wtedy właśnie zaczęto szerzej stosować hibernację, przynajmniej w lecznictwie. Lasy odrosną - argumentowali projektodawcy - odrodzi się życie w wodach, nastąpi rekonstrukcja gleby i cała biosfera odzyska dziewiczą świeżość. Oczywiście, nikt nie potraktował tego serio. Nawet gdyby już wtedy urodził się taki Hanek i wystąpił ze swoją teorią pola, a następnie obliczył jej zastosowania, współcześni konstruktorzy nie mogli marzyć o budowie komór hibernacyjnych

dla setek ludzi. Co dopiero miliardów. Tak... - urwał i zamyślił się.

- A my dysponujemy już zarówno teorią - powiedziałem cicho - jak i określoną swobodą technologiczną...

W gabinecie powiało chłodem. Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść stąd, zanim ten człowiek powie swoje do końca.

Oneska zmierzył mnie spojrzeniem.

- Tak - rzekł twardo. - Teraz mamy wszystko, co trzeba, aby zrealizować ten stary projekt.

Oczywiście, nie będziemy budować pola wokół całej Ziemi. To już nie kwestia technologii, lecz bezpieczeństwa. Stymulatory muszą być zaprojektowane na podstawie matematycznego modelu niezawodności. Ich zasięg nie może przekraczać ściśle określonego obszaru. Poza tym świat odcięty od wolnej gry sił natury nie odzyskałby owej dziewiczości, o której wspominałem. No i wreszcie nie wolno ryzykować awarii, która mogłaby ludzkości przynieść totalną zagładę. Będzie kilkanaście centralnych hibernatorów, w rejonach najgęściej zamieszkałych. Realizacja projektu równowagi biologicznej, bo tak brzmi jego oficjalna nazwa, rozpocznie się...

- Kiedy? - przerwałem.

- Dziś wieczór.

Dłuższą chwilę panowała cisza.

- A gdybyśmy my, ja i Al, wylądowali jutro? Pojutrze? Wzruszył ramionami.

- Ktoś musiałby zostać, żeby was przyjąć. Ale wylądowaliście wczoraj. Trzymajmy się faktów.

- Dobrze - skinałem głową. - Zasną... wszyscy?

- Uhm... Praktycznie wszyscy. Poza kilkoma... ale o tym może za chwilę.

- Jak to zostało przyjęte? Zawahał się przez moment.

- Co masz na myśli?

- Nic ponad to, co powiedziałem. Czy nie było jakichś protestów, czy wzięto pod uwagę ewentualne kontrargumenty...

- Protestów?... No, oczywiście, tu i tam odzywały się pojedyncze głosy... A co się tyczy kontrargumentów, czy chciałbyś może dołożyć coś od siebie?

W jego głosie zabrzmiało ożywienie.

- Jeżeli nadal ma pan zamiar odpowiadać mi pytaniami, to lepiej skończmy z tym od razu.

Dlaczego właściwie nie wprowadziliście informacji o tej "równowadze biologicznej" do programu datora?

- Uważano, że lepiej będzie, jeśli dowiecie się ode mnie. Trudno o wymianę myśli z datorem... a rzecz jest istotnie szokująca. Nie da się przewidzieć reakcji człowieka, który wraca z gwiazd i od razu wpada w sam środek całego zamieszania...

- To jest i zamieszanie? Wyprostował się.

- Lepiej rzeczywiście skończmy jak najprędzej. Słuchaj: dziś wieczór zmieniamy czasową relację rozwoju naturalnego środowiska planety i ewolucji naszej cywilizacji. To znaczy, zatrzymujemy tę ostatnią, żeby dać szansę biosferze. W sąsiedztwie wielkich skupisk ludności zainstalowano generatory pól siłowych, które na wydzielonych obszarach stworzą zamknięte kopuły. W ich wnętrzu będą panować warunki identyczne jak w każdym większym hibernatorze. O dziesiątej wieczorem ludzie opuszczają swoje domy, zbierają się na terenach otoczonych emitarami pola i zostaną izolowani od powierzchni gruntu płaszczyzną, taką, z jakich buduje się, powiedzmy, ściany domów. Albo karoserie pojazdów... widziałem, że w drodze do miasta nie dawało ci to spokoju. Następnie utworzymy nad sobą parasole siłowe. I to wszystko. Za osiemdziesiąt lat... początkowo była mowa o okrągłym stuleciu, ale obliczono, że proces utleniania wód będzie przebiegać w postępie geometrycznym, więc można ten okres skrócić. Zresztą, to nie ma znaczenia. Za osiemdziesiąt lat - powtórzył - ludzie zbudzą się jak codziennie po dobrze przespanej nocy i przystąpią do normalnych zajęć. Czas, jaki stracimy na niezbędne uruchomienia i remonty, nie odgrywa w tej kalkulacji żadnej roli.

Energetyka nie przerwie pracy ani na chwilę. Tym zajmą się automaty... zbudowane także na podstawie matematycznych modeli niezawodności. Inne przypilnują porządku w miastach, fabrykach, na drogach, lotniskach... wszędzie. W świadomości pokolenia Ziemian .nie może dojść do najmniejszych zaburzeń. Najwyklesza noc. Rankiem zbudzimy się jako gospodarze doskonale zregenerowanej biosfery, z jej naturalną dynamiką. Wszystkie środowiska odzyskają pierwotną rozrodność. Z bibliotek lekarskich znikną całe opasłe tomy poświęcone chorobom postresosom, nękającym już chyba dziesiątą populację. Ziemia zdąży zasymilować miliardy ton odpadków, tamujących teraz przepływ tlenu między powierzchnią a warstwą skał macierzystych. Obecnie nie zatruwamy już atmosfery, ale nie jesteśmy w stanie zlikwidować skutków wielowiekowego pochodzenia cywilizacji. Jonosfera jest dziurawa jak sito. Dwutlenek węgla i kurz, czyli kombinacja śmierci cieplnej ze śmiercią lodową, wciąż unoszą się nad nami niby wizja okrutnego boga wieszczącego zagładę. Zbudzimy się w powietrzu doskonale czystym. To samo dotyczy wód. A poza tym... Urwał. W jego oczach zapalił się przekorny

błysk.

- Jesteśmy sami, prawda?

Drgnąłem. Przyszło mi na myśl, że cały czas mówi o wieczorze. To nie tłumaczy, dlaczego teraz prócz nas nie ma w Centrali żywego ducha...

Poczułem, że na czoło występują mi 'kropelki potu. Odruchowo spojrzałem w stronę drzwi. Jeśli...

- Widzisz - ucieszył się profesor. Najwidoczniej opacznie wytłumaczył sobie moje milczenie. - Jesteśmy sami - powtórzył. - Od wieków szukamy w kosmosie istot, które zechciałyby skonfrontować swoje osiągnięcia z naszymi.

Odetchnąłem. Nonsens. Po prostu, jestem wytrącony z równowagi tym, co usłyszałem. Tą całą tajemniczością, tą nieustającą serią rewelacji, niedopowiedzeń, uśmieszków, wszystkim, czym powitała mnie Ziemia. Jestem poruszony stanowczo bardziej, niż przystoi staremu wydze, który ma za sobą pełne szkolenie, wszelkie możliwe sprawdziany i, wreszcie, prawdziwe gwiazdy. Przez chwilę myślałem, że...

- Przyjeliśmy zasadę, zgodnie z którą nie wysyłamy ludzi w kosmos poza czasowe ramy jednego pokolenia - ciągnął Oneska. - Ile to jest parseków? Osiem? Dziesięć? Sam wiesz najlepiej. Jak i to, że w spenetrowanym przez nas obszarze nie ma nikogo. Czy z tego wynika, że jesteśmy jedyną rozumną rasą w Galaktyce? Nie wiem. Nikt nie wie. A warto się przekonać. Z pewnością myślałeś o tym wiele razy, pilocie...

- Rozumiem - powiedziałem. - Teraz możemy się utrzymać w granicach pokolenia, a równocześnie sięgnąć dalej. Ponieważ to pokolenie...

- ...będzie żyć dwa razy dłużej - dokończył. - Oczywiście w kategoriach aktualnych dla warunków pozaziemskich. Czyli...

- Mam lecieć? - przerwałem. Wyprostowałem się odruchowo, jak człowiek, który po długim kluczeniu przez bagna poczuje wreszcie twardy grunt pod nogami. Czekają mnie rozczarowanie.

- Już poleciecieli..

Trwało chwilę, zanim zdołałem spytać:

- Kiedy?

- Cztery dni temu. Tysiąc statków. Z zasięgiem do stu lat światła. W tym promieniu leży, jak wiesz, około tysiąca słońc mających planety, które mogą być dla nas interesujące. Zrozum - dodał tonem perswazji - niezbędne były ogromne przygotowania. Ty i Haleb nie braliście w nich udziału, więc...

- Proszę niczego nie tłumaczyć - przerwałem szorstko. - To może pan dla mnie zrobić.

Umilkł.

Tysiąc załóg. Co najmniej dwa tysiące ludzi. Wreszcie staje się jasne, czemu ten gmach wygląda jak ratusz wymarłego miasta. Poleciał każdy, kto choć raz w życiu prowadził dziecinny stateczek. W epoce wszechobecnych automatów szkolenie nieprzebranych rzesz żywych pilotów byłoby niedorzecznością. No, a ci, co zostali, przenieśli się do węzłów komunikacyjnych na oceanach. Skoro ściągnięto załogi z obiektów pozaziemskich...

- Pięknie - oderwałem się. - A co z łącznością? Nią także zajmą się automaty? Tylko automaty?

- Nie. Nie tylko.

- Czyli że - powiedziałem cedząc słowa - ja nie pójdę spać z innymi...?

Oneska zmarszczył brwi. W jego oczach odbiły się niepewność i zatroskanie.

- Dobrze - wycofałem się. - Nie mówmy o tym teraz. Poczekam.

Przyglądał mi się jakiś czas, po czym znowu pochylił głowę nad najbliższym pulpitem.

Przebiegł palcami klawisze, jakby mu przeszkadzało, że tkwią stale w tej samej pozycji.

Zgadza się. Spenetrujemy Galaktykę w promieniu stu lat świetlnych. Piloci wrócą do ludzi, którzy ich wysłali, a nie do ich dzieci czy wnuków. Jedni nie będą się starzeć zamknięci w hermetycznych kokonach pokładowych hibernatorów, a drudzy w niewidocznych półkulach pół siłowych. Już dla tego samego warto położyć do łóżka naszą cywilizację. Choćby i na dłużej niż osiemdziesiąt lat. To zresztą bez znaczenia, skoro tak czy owak w relatywnych miarach minie zaledwie jedna noc. A do tego jeszcze pełna regeneracja biosfery. Nieziszczalne, zdawałoby się, marzenie pokoleń.

Pięknie pomyślane. Czyściutko. Rozwiązać kilka teoretycznych problemów z zakresu teorii pola, obliczyć zastosowania i pójść spać. Tylko tyle.

Zabrzmiały mi w uszach słowa mojej matki: "dłużej będziemy razem..."

Naturalnie. Dlatego witali mnie z takim roztargnieniem. Byli pochłonięci tym, co ma nastąpić. Avia, ojciec, oni wszyscy. Wiedzieli, że kiedy się zbudzą, ja będę starszy o osiemdziesiąt lat.

Starszy od matki. "Dłużej będziemy razem..."

Przez plecy przemaszerowały mi mrówki. Zrozumiałem prawdziwy sens tych słów. Jako rówieśnik moich rodziców nie będę żył dłużej od nich. Kiedy realizacja "projektu" dobiegnie

końca, Avia, po powrocie "Dyny" starsza ode mnie o kilka lat, stanie się przy mnie podlotkiem. Pojąłem, co oznaczał jej śmiech.

Moje miejsce jest tu, na Ziemi, wśród ludzi. Tak myślałem przez całe życie. Teraz je tracę. Miałem także swoje miejsce w przestrzeni. Zajęli je inni. Trudno. W końcu mogłem po prostu nie wrócić. Nie zawsze wraca się z międzygwiazdnej przestrzeni. Równie skutecznie jak przestrzeń, drogę powrotu zagrozić może czas. Osiemdziesiąt lat...

Przeszedłem na środek pokoju, usiadłem i rozpiąłem bluzę na piersi.

- Czy teraz - spytałem półgłosem - mógłbym się dowiedzieć, co pan naprawdę myśli o tym wszystkim? Nie jako współtwórca teorii, profesor, a po prostu człowiek?

Nie odpowiedział. Cisza przeciągała się.

Czekałem spokojnie. Po dłuższej chwili uniosłem głowę i spojrzałem w róg pokoju.

Nie było go tam. Nie słyszałem, kiedy podchodził do okna. Stał odwrócony tyłem i patrzył w niebo.

Minęła minuta. Może półtorej. To już była odpowiedź. W każdym razie coś, co mogło ją zastąpić.

Zabrział sygnał i w aparacie ukazała się twarz Tarrowsena. Profesor drgnął, odwrócił się, spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, po czym mruknął coś niezrozumiale i szybkim krokiem podszedł do biurka.

- Skończyliście? - padło z głośnika.

- Tak... Chyba tak...

- Gdzie on jest?

- Tutaj - powiedział profesor. Wstałem i ustawiłem się na wprost ekranu.

- O co chodzi? - spytałem.

- Czekam na was. Zdażycie przed nocą?

- Masz coś do załatwienia? Mogę ci pomóc. Na przykład wyprasować piżamę. Bo nie wiem, co jeszcze mogłeś odłożyć na ostatnią chwilę. A testamentu i tak nie ma komu zostawić.

Niepotrzebnie dałem się wyprowadzić z równowagi. To dlatego, że robił wrażenie człowieka pochłoniętego bez reszty własnymi sprawami. Nie lubię tego u siebie i u innych. Skąd niby miałem wiedzieć, że czeka.

- Jedziemy do ciebie - uciał Oneska.

Miłałem przez całą drogę. Skupiłem uwagę na ruchu ulicznym. Po tym, czego nauczyłem się w czasie snu, w kabinie datorów, przyjmowałem bez emocji niezliczone sytuacje, z których każda dziewięć lat temu musiałyby znaleźć epilog w szpitalu. I to przy pewnej dozie szczęścia. Uświadomiłem sobie, że uwierzyłem obliczeniom, jakie legły u podstaw zastosowań teorii Hanka. Podobały mi się nagłe, ostre łuki, kreślone przez pojazdy mijające przeszkody w odległości milimetrów.

Przelecieliśmy tunel prowadzący na jedno z podmiejskich lotnisk i wjechaliśmy w górzysty obszar Parku świateł. Estakada spłynęła łagodnie na poziom zerowy. Otoczyły nas drzewa, zrazu niskie, między którymi przeświecały golizny nagiego gruntu. Po upływie kilkunastu minut pojazd zwolnił i skręcił w boczną drogę, a raczej wznoszącą się stromo leśną przecinkę. Przed nami wyrosło dość długie zbocze. Była to najwyższa i najmniej uczęszczana część parku, rozciągającego się na obszarze kilku tysięcy hektarów.

Wtedy dopiero Oneska przemówił.

- Pójdiesz spać z innymi - rzucił. - Ale nie na osiemdziesiąt lat.

Te słowa padły zbyt nagle, abym potrafił od razu pojąć ich sens. Mimo to przymknąłem oczy i zagryzłem wargi.

- Miałem ci tego nie mówić - ciągnął profesor. - Ale w duchu przygotowałeś się już przecież na całą osiemdziesiątkę... więc jednak zaskoczyliśmy cię w końcu jakąś dobrą wiadomością. O to tylko chodziło. O twoje nastawienie do sprawy.

Nastawienie. Tak. O tym nastawieniu słyszałem już od Avii.

Uniosłem powieki. Las gęstniał. Obejrzałem się i zobaczyłem widniejące w dole miasto. Do szczytu pozostało najwyżej sto metrów. Coś zaśniło. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem majaczące za drzewami zarysy półkolistej budowli, jakby powleczonej szklivem.

"Nie na osiemdziesiąt lat" - powtórzyłem sobie w duchu.

Rozdział 3

- Nie wiesz, czym jest cisza... na Ziemi - powiedział Tarrowsen. - Nikt tego nie wie. Człowiek, nawet wszechstronnie wyszkolony, sprawdzony w skrajnych sytuacjach, nie jest maszyną. Podlega nastrojom, emocjom... psychozom. W tym właśnie rzecz. Jeden żywy, czujący człowiek w sąsiedztwie hibernujących milionów, stanowi dostateczne ryzyko. Dwóch - to szaleństwo. Psychomatematycy poddali badaniu kilkaset osób. Wiem, co mówię...

- Dlatego - wtrącił Oneska - sięgnięto po pracowników naszej Centrali. Sam najlepiej wiesz, na czym polega trening psychiczny, jakim próbom poddawane są nerwy, zanim powierzy się wam statki. Teraz powierza wam się ludzi... ludzkość. Dlatego ci, którzy zostają, przeszli dodatkowe szkolenie. Ty w nim nie uczestniczyłeś, ale jak mało kto jesteś obyty z ciszą... No cóż, prawie wszyscy piloci są obecnie w przestrzeni. To prawda, że i nasi ludzie podlegają emocjom i tak dalej. Jednak są otrząskani z samotnością i pustką. To zwiększa szansę. Rachunek prawdopodobieństwa, nic więcej...

- Będę sam - powiedziałem spokojnie - i to mi wystarczy. Nie musicie się tłumaczyć. Chciałbym tylko wiedzieć, ile jest takich... strażnic i jak wygląda sprawa kontaktów? Wymienili spojrzenia. Minęła dobra chwila, zanim Tarrowsen podszedł do stojącego pośrodku salki pulpitu. Oparł dłoń na klawiaturze i ruchem głowy wskazał mi niebieskawy, matowy ekran.

- Z aparaturą nie będziesz miał kłopotów - oświadczył. - Linie sygnalizujące pracę poszczególnych generatorów, zasilających pole hibernacyjne, są zablokowane. Tak samo przekazy dotyczące sterowania automatami, utrzymującymi energetykę i gospodarkę komunalną. Tutaj - wskazał sąsiednie urządzenie - jest centralka łączności. Jeden rzut oka na wskaźniki powie ci wszystko.

- Chcesz mi to sprzedać? - spytałem. - W takim razie powinieneś obiecać coś więcej. Na przykład, czy na tym ekranie będę mógł oglądać wnętrze waszej sypialni? Popatrzeć, jak uśmiesz się przez sen? Kiedy pomyślę, że będziesz tak leżał lata, nie odzywając się słówkiem, żadna cisza mi nie obrzydnie...

Przy ostatnim zdaniu mimo woli odwróciłem głowę. Bałem się, że znowu nie zapanuję nad głosem.

- Proszę cię - odezwał się bardzo cicho Oneska - spróbuj nas zrozumieć. To ty zostajesz tutaj. Nie my.

Wiedziałem już, że postanowili podzielić osiemdziesięcioletnie czuwanie na cztery wachty. Miałem pełnić drugą. Po dwudziestu latach zbudzę się tutaj, na szczycie parkowego wzgórza, pod kopułą stacji kontrolno-komunikacyjnej i przejmę opiekę nad otaczającym mnie rejonem z kilkudziesięciomilionowym hibernatorem opodal stolicy kontynentu. Przejmę także nadzór nad łącznością z załogami penetrującymi gwiazdne szlaki w poszukiwaniu istot, które być może tak pokierowały swoim rozwojem, że teraz nie musiały pójść do łóżka na bez mała stulecie. Ale sprawa tej łączności, przynajmniej dla Oneski, Tarrowsena i im podobnych, stanowiła margines. Powiedzieli dostatecznie dużo, żebym zrozumiał, co naprawdę ich dręczy. Nie mogli zostawić śpiących bez opieki. Musieli uwzględnić każdą ewentualność, choćby najmniej prawdopodobną. Pomyśleli, na przykład, o ingerencji czynnika pozaziemskiego. W końcu zdarzały się upadki wielkich meteorytów. Nie da się zaprogramować automatów tak, aby były gotowe do podjęcia celowego działania w obliczu każdej nie przewidzianej przez ludzi sytuacji. Co innego żywy pilot. Podlega emocjom, funkcjonuje nieskończenie wolniej i z marginesem błędu, ale nigdy nie przegrywa bez walki.

Tylko że każdy pozostawiony na pastwę upływu czasu człowiek stanie się po tych osiemdziesięciu latach czynnikiem dezorganizującym nowy układ sił w biosferze. Będzie miał przewagę czasu aktywności. Prześcignie swoich współczesnych sumą doświadczeń i przemyśleń. Licho wie, co może z tego wynikać.

Jest jeszcze coś. Za dwadzieścia lat obudzę się i ujrzę nad sobą rączkę awaryjnego wyłącznika. Jeden ruch - a ludzie się obudzą. Runie cały plan "równowagi biologicznej". Nadto będę mógł przeprogramować automaty. Powiem sobie, że samotność plus cisza to jest właśnie to, i pozostawię ich w uśpieniu na zawsze. Przedtem odszukam i zlikwiduję sąsiednie strażnice. Wraz z moim śpiącym jeszcze następcą i już śpiącym poprzednikiem. Rzecz jasna, nie zrobię tego od razu po przebudzeniu. Nie za dwadzieścia lat. Ale za trzydzieści?

Trzydzieści pięć? Po piętnastu latach samotności i owej ciszy... na Ziemi? Podlegam przecież tym emocjom. Nastrojom. Ba, nawet psychozom.

Dlatego będę sam. Dlatego zbudzą się we wnętrzu tej stacji na sygnał odpowiednio zaprogramowanej aparatury, nie wiedząc ani czego doświadczył mój poprzednik, ani nawet gdzie mieści się strażnica, w której pracował. Dla każdego przygotowali osobne stanowisko, zapewniając tylko automatyczny przepływ informacji pomiędzy przystawkami rejestrującymi sumatorów. Już po pierwszych słowach Tarrowseña wiedziałem, że nie pozwolą także kontaktować się ze sobą pilotom czuwającym równocześnie, w sąsiedztwie różnych skupisk ludności. Nie zdradzą w ogóle, ilu nas jest.

Chciałem jednak, żeby mi to powiedzieli wprost. Bo co innego zabezpieczenie ludzi przed niemożliwymi do przewidzenia czynnikami zewnętrznymi, a co innego szukanie źródeł zagrożenia w reakcjach tych, których zostawia się na straży. To znaczy w moich reakcjach. Dlaczego, samotny, mam być mniej niebezpieczny, niż gdybym czuwał wespół z Halebem? Czy ci tutaj myślą, że stała obecność kogoś drugiego mogłaby po latach stać się powodem napięć, potęgujących niepożądane stany emocjonalne? Czy przyszła im do głowy wizja zmowy szaleńców? Co na to psychologia? Przecież w najdłuższe nawet rejsy gwiazdne nie wysyła się samotnych pilotów. No tak, w rejsy gwiazdne. "Nie wiesz, co to jest cisza... na Ziemi".

Właśnie.

Reszta się, nie liczy. Nawet jeśli wmawiają sobie, że jest inaczej. □ ródło ich rozterki tkwi w strachu przede mną. Przed tym, co zrobię, wydany na pastwę ciszy. Będę ich miał w ręku. Miliardy ludzi. Po prostu ludzkość. Ja i tych kilku pozostałych, o których nie chcą powiedzieć, gdzie ich szukać.

Do licha, powinienem wiedzieć, ile w tych obawach rzetelnej wiedzy, a ile asekuranctwa, wynikającego po prostu i tylko z tego, że natrafili w końcu na coś, czego nie można obliczyć z pomocą aparatury informatycznej.

- Czekam na odpowiedź - rzuciłem.

Z zewnątrz dobiegł cichy szelest, jakby przesypywanego ziarna. Zerwał się wiatr.

- Szczegółowe instrukcje znajdziesz po przebudzeniu w przystawce pamięciowej - powiedział sucho Tarrowseñ. - Przesłuchasz także zapis przebiegu służby twojego poprzednika.

- Nie pytaj o nic więcej - dodał stłumionym głosem Oneska. - Nas też obowiązują ustalenia...

- Trzymaj się, synu - rzekł ojciec, kiedy stanęliśmy przy eskalatorze. Zapadł mrok i nad miastem zapłonęły miliony krzyczących różnymi barwami światła. Avia zatrzymała się nieco poniżej. Widziałem jej profil, jakby wycięty w tarczy błękitnego słońca.

Ojciec nie wypuszczał mojej dłoni. Spojrzałem w górę. Matka, brat i siostra stali nieruchomo w drzwiach domu, tam gdzie wymieniliśmy kilka ostatnich zdań. To było moje pożegnanie. Nie ich. Oni zobaczą mnie jutro rano. Ja ich - po dwudziestu latach.

- Udobruchaj go jakoś - ojciec uśmiechnął się do Avii. - A ty -puścił moją rękę i uderzył mnie lekko w ramię - pamiętaj, że potem dłużej będziemy razem...

Tak. Musieli sobie nieraz powtarzać to zdanie. Potrzebowali tego. Co do mnie, o wszystkim miałem się dopiero przekonać. Stojąc już na taśmie eskalatora krzyknąłem:

- Spokojnych snów!

Tam gdzie przed chwilą widniała sylwetka ojca, leżał już wąski pas cienia, nad którym załśnił rzucony z tysięcy reflektorów gigantyczny napis: "dobranoc".

Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się w centrum dzielnicy akademickiej, na trzecim piętrze. Kilkrotnie pochylałem głowę, dotykając niemal uchem ust Avii. Za każdym razem spotykałem jej zdziwione spojrzenie. Milczała. To co brałem za jej słowa, było jednym więcej dźwiękiem w wibrującym akordzie głosów metropolii.

Dalej szliśmy pieszo. Zaraz za rotundą Rady Naukowej Rządu zaczynał się nieduży śródmiejski park. Wkroczyliśmy w pustą modrzewiową alejkę, czując pod stopami ledwo uchwytny drżenie gruntu. Tak dawały o sobie znać dwie niższe, tętniące życiem, kondygnacje miasta. Wszelkobecny hałas złagodniał nieco, upodobił się do huku przyboju, dolatującego spod wysokiego, skalistego brzegu.

Tradycyjne oświetlenie ścieżek sprawiało, że park pogrążony był w półmroku. Tym ostrzej lśniły na niebie, rozpięte od dachów do zenitu, obrazy i napisy. Wszystkie miały coś wspólnego ze snem. Jedyna w swoim rodzaju sceneria. Fantastyczna. Fantastyczna, ale nie baśniowa. Nieliczni jeszcze przechodnie zmierzali w jednym kierunku. Miasto ruszało z wolna w stronę sypialni. To dopiero początek. Termin mijał o dwudziestą trzecią. W tym czasie będę już tkwił w hibernatorze, po raz pierwszy w życiu nie po to, by przenieść się wraz z nim w obce światy, lecz by przetrwać czas na Ziemi.

- Karnawał - mruknąłem. - Nie cieszysz się?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Jak będzie... z nami? - odezwała się po chwili.

- Co chciałabyś usłyszeć? Potrząsnęła głową.

Nie jesteśmy dziećmi. Dwadzieścia lat samotności, to nie lot do najbliższej gwiazdy. Zapewnianie, że ten czas spłynie po człowieku jak woda, byłoby albo dowodem braku wyobraźni, albo kłamstwem.

Kiedy się zbudzi, będę od niej starszy o czternaście lat. Drobiazg, wobec tej osiemdziesiątki, której widmo wywołały pierwsze słowa Oneski, gdy wprowadzał mnie w szczegóły planu "równowagi", ale zawsze rzecz godna uwagi.

- Myślisz o tym, jak będzie, czy jak ja bym chciał, żeby było? - spytałem wreszcie.

- Nic już nie mów - szepnęła. - Spójrz - dodała szybko, nienaturalnie ożywionym tonem. - To miał być normalny wieczór, jakby nigdy nic. Żadnych zabaw, dekoracji i tak dalej. Ale trudno się dziwić...

- Co do mnie, nie dziwię się już niczemu. Najzabawniejsze, że to święta prawda - pomyślałem. Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Ostatnie dziesięć minut. Potem zacznę się śpieszyć.

- Tak - powiedziała. - Trzeba iść...

Nie poruszyła się. Staliśmy w miejscu, gdzie parkowa ścieżka tworzyła rozszerzające się półkole. Wysokie drzewa pozwalały na chwilę zapomnieć o rozpasanym szaleństwie światła nad miastem.

Jej pocałunek był krótki. Jakby myślała o tych, które przyjdą po latach. Jakby dzień dzisiejszy przestał się liczyć albo nie należał już do nas.

Przytrzymałem ją mocno i przytrzymałem dłoń jej głowę.

- Tylko to jest ważne - powiedziałem. - Chcemy, żeby tak było. Ale niezależnie od wszystkiego, nie będziemy mieć do siebie pretensji...

Minęła dobra chwila, zanim usłyszałem:

- Nie...

Ktoś szedł alejką. Nie odwracając się pociągnąłem Avię głębiej w cień. Odgłos kroków przybliżył się i nagle ucichł.

- Przepraszam...

- Profesor! - zawołała Avia, odsuwając się ode mnie.

Spojrzałem za siebie. W kręgu słabego światła zobaczyłem charakterystyczną sylwetkę Marteau, egzobiologa, u którego zdawałem jeden z egzaminów przed końcowym stażem.

- Dzień dobry, profesorze - powiedziałem, robiąc krok w jego stronę. - A właściwie - dobry wieczór.

- Dobranoc - mruknął niechętnie, witając się z Avią. - Dobranoc. To teraz jedyne życzenie, jakie zachowało odrobinę sensu. Dawniej mówiono: "niech ci ziemia łebka będzie..."

- Aż tak? - spytałem.

W jego głosie było coś, co kazało podejrzewać, że nie żartuje. Pomiął to milczeniem.

- Wróciłeś? - rzekł zbliżając się, aby lepiej widzieć moją twarz. - W samą porę. Zdążył przynajmniej odpocząć. Przed sezonem.

- O czym pan mówi? - zaśmiała się Avia.

- O polowaniu - mruknął. - Na bizona, mamuty, niedźwiedzie jaskiniowe. Może pterodaktyle.

Nie wiecie, że wszystko będzie jak wtedy, kiedy biosfera Ziemi oddawała się młodzieńczej pasji tworzenia, bez ładu i umiaru? A co, nie zapolowalibyście sobie?

Tak, on nie żartował.

- A pan, profesorze?

Poruszył bezgłośnie wargami, po czym ocknął się nagle i uniół ramiona jakby w geście obrony.

- Jestem stary osioł - wyznał. - Łapię w parku młodą parę i opowiadam jej o pterodaktylach.

No, nic - dodał z ironią. - Prześpię się, to mi przejdzie...

- Pytałem serio - powiedziałem spokojnie. Spoważniał od razu.

- Nie wolno ingerować w czynnik czasu, gdy w grę wchodzi ewolucja całej cywilizacji i jej środowiska - rzekł z przekonaniem. Nawet gdyby te osiemdziesiąt lat miało okazać się tylko czasem straconym, to cena już będzie szaleńczo wysoka. Nigdy nie spłacimy takiego długu. Jak moglibyśmy go spłacić? Kiedy będziemy dysponować nadmiarem czasu?

- Cena, owszem - wtrąciła Avia. - Ale człowiek płacił i płaci za swój każdy najmniejszy kroczek do przodu...

- Tym razem chodzi o skok do tyłu.

- Nie jest pan entuzjastą projektu "równowagi biologicznej" - zauważyłem. Żachnął się.

- Na pewno nie poczuwam się do duchowego pokrewieństwa z tymi biednymi zapaleńcami, którzy teraz wypisują na niebie różne bzdury. Chociaż do nich nie mam pretensji. Oni są od tego, żeby nie wiedzieć. Ale uczeni? Twórcy i organizatorzy tej wiwisekcji, dokonywanej na życiorysie ludzkości? Z nimi jest inaczej. Wiedzieć, to ich obowiązek. Wiedzieć albo siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Powtarzam: nie wolno puszczać się na takie totalne eksperymenty, jeśli nikt nie ma pojęcia, co z tego może wynikać. Skutki uboczne, rozumiecie? Coś, o czym

wie każdy student pierwszego roku medycyny. Tymczasem tu sędziwi luminarze nauki... e, szkoda gadać. A pomyślcie przez chwilę - zapalił się - o tych, co zostaną. Bo będą i tacy. Chciałbym spotkać choćby jednego z nich...

- Profesorze... - zaczęła Avia, patrząc na mnie z uśmiechem. - Niech pan mówi dalej - przerwałem jej. Posłała mi zdziwione spojrzenie i umilkła. - Chciałby pan spotkać kogoś, kto zostanie - przypomniałem, widząc, że Marteau się zawahał. Ale był zbyt poruszony, żeby coś zauważyć.

- Zapewne nie powinniście mnie traktować poważnie - wzruszył ramionami. - W końcu to tylko mój prywatny pogląd... raczej odosobniony - dodał z goryczą. - No więc chciałbym popatrzeć w oczy człowiekowi, który zdany na swój żywy mózg, na swoje uczucia i zmysły, a równocześnie wyposażony w całą światową technikę, stanie na straży sypialni opatrzonej etykietą: ludzkość. Nie po to, by szukać potwierdzenia własnych obaw. Aby pogratulować mu... odwagi. Chyba że byłby to głupiec, nie ogarniający myślą rozmiarów swojego zadania...

Kłaniają się Tarrowsen i Oneska - rzekłem sobie w duchu. Jesteśmy w domu. Półśłówka, przemyślnie programowanie datorów, racjonowanie informacji. Wszystko po to, żeby mnie zjednać dla bezprecedensowego "projektu". Chodzi o twoje nastawienie - uprzedzano mnie. Czyli o to, żeby mnie uczynić maksymalnie ofiarnym entuzjastą. Ktoś taki gwarantuje odrobinę wyższy poziom prognozy zawodności.

- Mam nadzieję - powiedziałem - że pomyślano trochę przed dokonaniem wyboru?

- Przyjrzał mi się, jakby chciał sprawdzić, czy z niego nie kpię, po czym wybuchnął:

- Czy pomyślano? To znaczy, kto? Zresztą, o czym tu myśleć. Nie istnieją żadne racjonalne kryteria. Z tym samym skutkiem można szukać przez rok lub wziąć pierwszego lepszego z ulicy...

- Czy pan nie przesadza, profesorze? - cicho spytała Avia. W jej głosie brzmiała uraza. Nie sprawiło mi to przykrości.

- Najwyżej trochę - burknął Marteau. - Nie mamy bladego pojęcia, jak będzie. Nawet ty - wycelował we mnie palec. - Cisza i samotność. Wiem, wiem. Spędziłeś całe tygodnie zamknięty w kabinach symulatorów. Też byłeś wtedy sam... tylko że wokół, niewidzialni dla ciebie ludzie, wpatrzeni w setki wskaźników, uważnie śledzili każdy twój gest, każdy oddech, każde uderzenie serca, drgnienie mięśnia czy nerwu... A teraz będzie na odwrót. Teraz jeden człowiek, naprawdę samotny, na zewnątrz hibernatorów, czyli jakby spoza swojej epoki, spoza czasu, ma kontrolować przebieg eksperymentu, jakiemu poddano całą cywilizację. Cisza i samotność. Na Ziemi. Nie trzeba być zgrzybiałym profesorem, żeby wyobrazić sobie coś, od czego roi się w całej literaturze. Nie tylko fachowej.

Odetchnął i cofnął się o krok.

- Jeszcze raz przepraszam - powiedział zmienionym tonem. - Jestem jak stara, zrędliva baba. Musiałem się przed kimś wygadać, zanim pójde do tego idiotycznego łóżeczka. Nie miejcie da mnie żalu... Dobranoc - rzucił sarkastycznie i zniknął w cieniu równie nagle, jak się pojawił.

Chwilę stałem bez ruchu, po czym spojrzałem na zegarek.

- Muszę już iść - powiedziałem.

Avia bez słowa ruszyła w stronę najbliższej alejki, prowadzącej do eskalatora.

Staliśmy na skraju wiaduktu, przerzuconego nad > zakolem Parku świateł. Jeszcze nigdy jego nazwa nie była bardziej na miejscu. Kolorowe snopy promieni zdawały się rozwarstwiać wielopiętrowe-fantazyjne figury, lśniące na całym niebie, aż do linii wzgórz. Wibrujący w powietrzu daleki szum muzyki, maszyn i pojazdów, zmieszany z brzęczącym pogwarem tłumów, nie osłabł ani trochę.

Avia, przechylona przez balustradę, patrzyła w dół. Rozświetlona przestrzeń otoczyła jej głowę delikatną aureolą. Niepotrzebnie wzdragałem się na myśl o tej chwili. Ucieszyłem się, że taką właśnie pozostanie w mojej pamięci. Jak trochę wyidealizowany portret zamysłonej dziewczynki.

Położyłem dłoń na jej ramieniu. Drgnęła.

- Wszystko będzie, jak zechcesz - powiedziałem. - Do widzenia. Jutro rano skoczę do fryzjera i przyjdę po ciebie. Bądź gotowa o dziewiątej.

Puściłem jej ramię i wszedłem na schodki, prowadzące do parku., gdzie tym razem nikt na mnie nie czekał. Drogę do "strażnicy" odbędę samotnie. I pieszo.

Kopulastej bazy nie było tam, gdzie zostawiłem ją rano. Zamiast lśniącej czaszy ujrzałem piramidę beładnie spiętrzonych głazów. W pierwszej chwili pomyślałem, że pomyliłem ścieżki, nieliczne w tej części parku. Rozejrzałem się. Nie. Wzgórze było to samo.

Usłyszałem szelest, który po chwili przeszedł w odgłos kroków. Zza kępy krzaków wyłonił się Tarrowsen.

- Jesteś? - mruknął. Przeszedł koło mnie zmierzając wprost do skalnego rumowiska.

Nie odezwałem się. Ostatnią w tym stuleciu rozmowę, na której mi zależało, mam już za sobą.

Tarrowson dotarł do szarego, kanciastego głazu i pochylił się, W tym samym momencie przed moimi oczami wyrosła gładka, wypukła ściana.

Nie przyszło mi do głowy, że w swojej ostrożności posuną się tak daleko. Jakby planeta naprawdę roła się od istot, które korzystając z nieuwagi mieszkańców zechcą pozbyć się ich wszystkich za jednym zamachem. Przy czym zaczną od samotnych posterunków kontrolnych.

- Tu jest wyłącznik aparatury maskującej - Tarrowson wskazał drążek sterczący pomiędzy kamieni. - To na wypadek, gdybyś musiał zmienić program stąd, z zewnątrz. Nie wolno ci ani na chwilę gasić projektorów osłony. Ani przez najbliższe dwadzieścia lat, ani potem, kiedy podejmiesz pracę. Pamiętaj, że chodzi nie tylko o twoje bezpieczeństwo...

Proszę. Jednak mieli jeszcze niespodziankę, z którą czekali do ostatniej chwili. I to niespodziankę dającą co nieco do myślenia.

Tarrowson stał dłuższą chwilę z twarzą zwróconą w stronę miasta. Jego źrenice migotały ruchomą łuną, stojącą nad światem żegnającym swoją współczesność. W końcu odezwał się bezbarwnym tonem:

- Twój hibernator jest kompletnie zaprogramowany. Zbudzi cię sam, za dwadzieścia lat. Po następnych dwudziestu sprawdzisz tylko co najwyżej zasilanie. Twój drugi sen potrwa dwa razy dłużej. Potem będzie po wszystkim...

Tak. Potem będzie po wszystkim.

- Do widzenia - powiedziałem.

Spojrzał na mnie, po czym mruknął coś, czego nie zrozumiałem i zniknął za krzakami, zza których przed chwilą wyszedł. Poczekalem, aż odgłos jego kroków wtopi się w daleki szum miasta, następnie wyprostowałem się i powędrowałem wzrokiem ku tańczącym nad horyzontem światłom. Ciągnęły się kilometrami. Nawet z tej odległości mogłem przeczytać różnobarwne litery tworzące napis "dobranoc". Pomyślałem o uśmiechu matki, o ojcu, o wyrazie oczu Avii. Zabrzmiały mi w uszach słowa profesora Marteau.

Ładne parę minut patrzyłem w te światła. Potem wrzuciłem ramionami, odwróciłem się i namacawszy kontakt aparatury maskującej zszedłem do bazy. Czułem się jak gnom, który po daremnej próbie odzyskania porwanych przez ludzi skarbów, wraca do wnętrza góry.

Przestrzeń od horyzontu po wierzchołki najbliższych drzew płonęła najczystszy słońcem blaskiem. Jego barwa przywodziła na myśl dziewicze globy, dalekie i martwe. Ale tylko wtedy, kiedy patrzyłem na południowy wschód, gdzie opadające stromo zbocze odślaniało rozległą kotlinę, która dalej opasywała miasto. Z lewa i z prawa, a także z tyłu, pochylał się nad bazą gęsty, wysoki las z nadmiernie wybujałym poszyciem.

Dla mnie minęła noc. Dla ludzi, uśpionych w polu siłowym, tam w dole, za ledwie czwartą część nocy. Ta sama noc, tylko krótsza o dwadzieścia lat, zaczyna się w tym momencie dla nie znanego mi pilota, po którym objąłem "wachtę". Za następne dwadzieścia lat sam wrócę do tej nocy, tylko starszy już od moich współczesnych o jej czwartą część.

Oderwałem dłoń od framugi drzwi i zrobiłem krok do przodu. Poczułem, że korzenie, na których postawiłem stopy, ustępują pod moim ciężarem i łapiąc równowagę wyrzuciłem rękę, by przytrzymać się krawędzi głazu, sterczącego z osypiska. Chwyciłem powietrze. Ułamek sekundy wcześniej uprzytomniłem sobie, że żadnego osypiska ani głazu nie ma. Nie uchroniło mnie to przed upadkiem, pozwoliło jednak w porę wyswobodzić stopy z płataniny korzeni. Urządzając tę szopkę z maskowaniem, zapomniano o jednym. O zieleni, która z biegiem lat opasała bazę ciasnym półkolem. Postanowiłem, że będę posłuszny instrukcji i najdalej jutro zrobię z tym porządek. Bo teraz konary, liście, dzikie owoce, przecięte w połowie powierzchnią rumowiska, od razu zdekonspirowałyby mnie przed każdym, kto choć raz w życiu miał do czynienia z aparaturą pobudzającą centra nerwowe tak, aby dyktowały zmysłom wrażenia i wyobrażenia zgodne z wolą autora "seansu". Skądinąd instalacje, jakie zastosowano w celu zamaskowania strażnicy, były dziecięco niewinne. Rząd rzutników holowizyjnych, to dla patrzących z daleka, i pojedynczy pierścień statycznych projektorów fantomatycznych. Te ostatnie miały podtrzymać złudzenie u intruzów, którzy podeszliby dostatecznie blisko, by odkryć, że kupa gładów jest tylko dekoracją przestrzenną, kamuflażem. Pasma ich emisji, oddziaływały jedynie na ośrodki wzroku. Wzrok w daleko większym stopniu decyduje o naszych doznaniach, niż na co dzień zdajemy sobie z tego sprawę. Wnikając w piarzystą piramidę czułem na skórze dotyk ostrych krawędzi kamieni, czułem zapach rozgrzanych od słońca białawych nalotów, imitujących kępy porostów. Mimo to bez trudu odnalazłem stopnie, prowadzące na szczyt kopuły.

Po przeciwnej stronie wejścia do bazy, na płaskim siodle, stanowiącym przedłużeniu wzgórze, świeciła jak zielone szkło niewielka polana. Do połowy długości przesłaniały ją konary drzew wyrosłych u stóp budowli. Ich gałęzie załamywały promienie słoneczne. Niebo było bezchmurne, gdyby nie to, mimo woli szukałbym wokół siebie śladów ulewy, która tylko co przeszła nad obszarem parku. W życiu nie widziałem tak obfitej rosy.

Powietrze pachniało. Odetchnąłem głęboko raz i drugi. Próbowałem odszukać w pamięci

wrażenie, które kojarzyłoby się z tym zapachem. Przyszedł mi na myśl potok, spadający po kamieniach, przez rozgrzaną od słońca kosówkę. Potem jeszcze płótno, wysuszone na wietrze, a przechowywane w szafie przez starą gospodynię, która zachowała zwyczaj przekładania bielizny lawendą.

Naprawdę jednak było to tylko powietrze. Coś, wobec czego wszelkie opisy są równie na miejscu, jak na przykład tłumaczenie saharijskiemu dziecku, że Pacyfik jest podobny do sadzawki w jego rodzinnej oazie, tyle że większy.

Pewien starożytny Grek nazywał malarstwo milczącą poezją. Milczący, żywy pejzaż, jest przestrzenią zamkniętą w kręgu akustycznych zwierciadeł, ustawionych gdzieś za linią horyzontu, co jednakże nie ma nic wspólnego z poetycką metaforą. Człowiek odruchowo szuka w swoim otoczeniu dźwięków. Sam jest ich źródłem, nawet gdy trzyma usta zamknięte. Jakby jego myśli, odbite od tych nie istniejących luster za widnokrzem, wracały udźwiękowione. Może nie trzeba aż myśli. Może wystarczy to, co dzieje się w podświadomości.

Usłyszałem dzwony. Łagodny, cichuteńki głos, dobiegający ze wszystkich stron, jak to bywa z dzwonami w bezwietrzne dni. Wstrzymałem oddech i przymknąłem oczy. Głos wysubtelniał. Jego źródła należało szukać z całą pewnością poza zasięgiem wzroku.

Wrażenie nie było przykre. Przeciwnie. Nie przyszło mi do głowy, że ten niewinny, kojący dźwięk, może mieć związek ze stanem moich nerwów. Że może być sygnałem ostrzegawczym dla człowieka pozostawionego w pustce i milczeniu... na Ziemi.

- Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ostatni raz słyszałem dzwony. Jakieś widowisko historyczne? Wycieczka? Skansen? Malowane na niebiesko drewniane domki o ścianach zarosłych malwami?

To tutaj nie ma nic wspólnego z prawdziwymi dzwonami. Jest tylko cisza. Cisza i powietrze.

Na ogół nie brak mi wyobraźni. Ale nie przypuszczałem, że człowiek może tak silnie odczuwać obecność powietrza i ciszy. Że ta ostatnia naprawdę dzwoni, jak to się czyta w starych powieściach.

Zabolały mnie oczy. Miałem ochotę rozciągnąć się na szczycie kopuły, podłożyć ramiona pod głowę i nie myśląc o niczym zasnąć. Jakbym nie zbudził się dziesięć minut temu po dwudziestu latach trwania w doskonałym śnie, wewnątrz hermetycznej skrzyni hibernatora. Z dołu dobiegł mnie głośny szelest. Ucichł.

Oprzytomniałem w ułamku sekundy. W pierwszym odruchu przypadłem do gładkiej powłoki dachu. Jakbym mógł się tutaj ukryć. Ale ogarnął mnie nagły lęk przed czymś, co schowane za ścianą zieleni obserwuje być może moją sterczącą śmiesznie na tle nieba sylwetkę i usiłuje dojść, do czego byłbym zdolny, gdyby mnie stamtąd ściągnąć.

Szelest powtórzył się. Coś wybiegło na trawę. Wytężyłem wzrok. Zając. Zatrzymał się i stanął słupka. Po chwili dostrzegłem drugiego.

Zachciało mi się śmiać. Zając. Kilka kilometrów od stolicy. Zbudzą się na terenach łowieckich. Oni, którzy, aby zobaczyć żabę, muszą jechać do podgórszych rezerwatów.

Spojrzałem w stronę, gdzie leżało miasto. Moje oczy oswoiły się już trochę z oślepiającym blaskiem słońca. Dostrzegłem zarysowane w błękicie spiętrzenia pierwszych dzielnic, a nawet poszczególne budynki. Nie leżał nad nimi najłżejszy cień, powietrze było tam takie samo jak tutaj.

Przebiegłem spojrzeniem wąski pas równiny i rozległe zbocze podchodzące pod podnóże bazy, to znaczy szarych głazów, z których wyrastała, odwróciłem się i zacząłem schodzić.

Przed wejściem stanąłem, wezwałem automat uzbrojony w wysięgniki z kompletem narzędzi i poleciłem mu oczyścić z korzeni i krzewów drogę prowadzącą do przedsionka. Poczekiałem, aż zrobi swoje i wszedłem do środka. Automat zostawiłem na zewnątrz, aby uporządkował całe przedpole. Nie zamierzałem posuwać ostrożności tak daleko, by każde wyjście miało mi grozić połamaniem nóg.

Przed wewnętrznymi drzwiami ponownie przystanąłem, odruchowo szukając wzrokiem lampki sygnalizacyjnej nad kłapą wjazdu. Uprzytomniłem sobie, gdzie jestem i uśmiechnąłem się. To te lata poza atmosferą Ziemi, w czasie których droga do przestrzeni mieszkalnej, czy chodziło o statek, czy o bazę, wiodła zawsze przez śluzę Nawyk pilota. Śluzą jest w kosmosie granicą światów. Własnego, bezpiecznego i - obcego.

Przekroczyłem próg. Drzwi zamknęły się z suchym szelestem, jakby na podłogę opadł arkusz cienkiej, metalicznej folii.

Cisza "kabiny", jak nazywałem w myślach wnętrza strażnicy, różniła się od tej na zewnątrz.

Nie tylko dźwięk, także to, co człowiek zwykł nazywać ciszą, może mieć swoją barwę.

Nasłuchiwałem dobrą chwilę, zanim udało mi się zidentyfikować szum prądów w aparaturze. A może tylko przesuw taśmy w przystawce rejestrującej? Właściwie nie szum nawet, lecz nieuchwytną wibrację, obecną między poszczególnymi warstwami konstrukcji ścian.

Kabina była przestronna. Podobnie jak w obiektach planetarnych, naprzeciw wejścia stał pulpit

z okienkami wskaźników i klawiaturą węzłów informatycznych. Nad nimi ciągnął się rząd przeważnie ciemnych w tej chwili ekranów. Z prawej strony otwarta jeszcze na oścież nisza hibernatora. Koło niej centralka komunikacyjna z bębniem pamięciowym i pulpit sygnalizacji alarmowej. Ten ostatni dotykał bokiem prostego fotela zwieńczonego czymś w rodzaju baldachimu, spod którego zwisał gruby kask z luźno puszczoneymi przewodami, najeżonymi przekaźnikami. To była moja służba zdrowia. Aparatura diagnostyczna i sprzężona z nią modulacja stymulatora.

Pośrodku kabiny stał podłużny stolik, fotel z punktowym oświetleniem, dwa zbiorcze ekrany: sterowania i łączności oraz pałkowany wylot syntetyzatora żywnościowego z odstającą łapą podajnika. Dwadzieścia lat na wikcie syntetycznym. Pomyślałem o jagodach w lesie i znowu musiałem się uśmiechnąć.

Wyłączyłem zasilanie hibernatora, po czym zatrzasnąłem klapę na głucho, starając się nie myśleć o dniu, kiedy otworzę ją ponownie, starszy o dwadzieścia lat. Następnie wróciłem na środek kabiny i zająłem się aparaturą.

Instrukcje odebrałem we śnie, nie po przebudzeniu, jak to zapowiedział Tarrowsen.

Roztargnienie? Jak na jednego z szefów Centrali Lotów Pozaukładowych błąd świadczący dobitnie o stanie jego nerwów. Tylko że to tak dawno temu...

W każdym razie dwa małe datory umieszczone w hibernatorze nie zawiodły. Lista moich codziennych obowiązków zawierała kilkanaście pozycji. Zostanie mi dość czasu na życie towarzyskie.

Sprzężone rejonu energetyczne subkontynentu pracowały normalnie. Strzałki w okienkach gigawatów stały bez drgania na zielonych polach. W zapisach kontrolnych nie było śladu jakiegokolwiek spadku mocy w całym dwudziestoleciu. Pograżonym we śnie ludziom ani przez chwilę nie zagroziło niebezpieczeństwo przychodzące z zewnątrz.

Sprawdziłem także systemy łączności. Kiedy skończyłem, było dobrze po ósmej. Zjadłem spóźniony obiad i wróciłem do pracy. Przejrzałem węzły informatyczne w układach wewnętrznych bazy oraz jej receptory wysunięte na zewnątrz. Następnie posiedziałem jakiś czas w fotelu aparatury diagnostycznej. Tak jak się spodziewałem, w moim organizmie nie było. niczego, co mogłoby mi przysporzyć kłopotów ani jako pilotowi, ani świeżo upieczonemu anachorecie.

Postanowiłem uporać się tego dnia ze wszystkim, co należało załatwić przed przystąpieniem do codziennych zajęć. Przysunąłem fotel do przystawki rejestrującej, rozsiadłem się wygodnie i przełączyłem głowice na zapis, przekazany z identycznej jak moja bazy, w której ktoś nie znany mi z twarzy ani z nazwiska czekał dwadzieścia lat, aż przejmę po nim tę ciszę, koncentraty, pastelowe mruganie wskaźników, ekrany, a także chroniące przed wzrokiem nie istniejących przechodniów fałszywe głązy. Może zresztą jego baza udawała zabytkowy kościółek albo sadzawkę. Dla mnie nie miało to znaczenia. I tak nie wolno mi jej szukać. Mijały minuty, z minut robiły się godziny, a przed moimi oczami przesuwaly się nieprzerwanie wykresy i linie, informujące o wszystkim, co robił mój poprzednik. Kimkolwiek był, z pewnością znał się na rzeczy. I nie cierpiał na gonitwę myśli. Nawet przy zwiększonej częstotliwości odtwarzania, wykonywane przez niego czynności powtarzały się z regularnością przypominającą zapis pracy automatycznej pompy pulsacyjnej.

Okolo pół do dwunastej oczy zaczęły mi się kleić. Wstałem, zagotowałem wodę w promienniku i zaparzyłem kawę. Przynajmniej wody nie musiałem oszczędzać. Pomyślałem, w ilu miastach jeszcze do wczoraj obowiązywały okresowe ograniczenia przepustowości sieci wodociągowej i poczułem się różnie. Nie do wczoraj.

Upłynie trochę czasu, zanim oswoję się z faktem, że miniona noc trwała dwadzieścia lat.

Wróciłem przed pulpit aparatury retrospektywnej i parząc wargi kawą ponownie uruchomiłem zapis.

Pobieżny rzut oka na licznik powiedział mi, że minęło siedemnaście lub osiemnaście lat od czasu, kiedy Ziemia zamilkła. Wyniki pomiarów przeskakiwały w nieznośnie jednostajnym rytmie, nie działo się nic, twarze Marteau, Oneski i innych Tarrowsenów pozostały martwe w mojej pamięci, milczące jak ich nie nazwane do końca obawy.

Nagle zapis rozwarstwił się. Matowe dotąd okienko stymulatora zamigotało. Na, ekran wybiegła pomarańczowa linia, która zaraz zmieniła się w ruchliwą sinusoidę.

Mijał dziewiętnasty rok samotnej pracy człowieka obnażającego teraz przede mną procesy zachodzące w jego centrach nerwowych. Wyobraziłem sobie, że liczył już nie dni, ale godziny. Może zbyt wiele uwagi poświęcił tej osobistej rachubie czasu?

Bęben aparatury rejestrującej zamarł z delikatnym pomrukiem. Dłuższą chwilę siedziałem nie robiąc nic. Wreszcie poprawiłem się w fotelu i cofnąłem zapis.

Rytm dnia mojego poprzednika uległ zakłóceniu. Dane liczbowe spiętrzyły się do tego stopnia, że komputer tylko zwalniając tempo projekcji był w stanie segregować informacje. Potem następowały długie okresy całkowitego zastoju. Wtedy nie zajmował się niczym. Poza sobą

samym.

Bo jego stymulator pracował bez przerwy. Wzmacniał pola obiegające poszczególne ośrodki mózgowo, pobudzał je lub wyciszał, porządkował łączność wewnątrz organizmu. Kontrolny ekran aparatury upodabniał się momentami do rysunku dziecka, które chciało namalować las, ale straciło cierpliwość. Zapełniały go ciasno sfłoczone barwne linie.

W pewnej chwili odezwała się fonia.

- Przestań histeryzować - mówił zachrypnięty męski głos. - W końcu to tylko polowanie.

Wychodzisz, idziesz leśną dróżką i bach, bach! Kiedy indziej dałbyś wiele za taką zabawę...

- Nie lubię tego - padło w odpowiedzi. - Nigdy nie lubiłem. Polowanie to dobre dla dzieci bawiących się w łowców bizonów. Okrucieństwo jest podobno czymś naturalnym w psychice milusińskich...

- Okrucieństwo? - podchwycił z sarkazmem pierwszy. A więc przyznajesz, że chodzi tylko o zwierzęta...

- Niczego, do diabła, nie przyznaję - zachnął się drugi głos. - Nie lubię tego, powtarzam.

Wszystko jedno, czy rzecz dotyczy zwierząt, czy...

- Istot, które polują... na ciebie? Zmartwiałem. Drugi głos?

Nie było drugiego głosu. Cały czas mówił jeden i ten sam mężczyzna.

Uniosłem się w fotelu. Odruchowo zerknąłem w stronę wyjścia, jakbym chciał się upewnić, czy zamknąłem drzwi. Poczulem wilgoć na karku. Przecież od początku wiedziałem, że nie może być dwóch głosów. Czy mój stymulator psychiczny także już pracuje?

- Nie wyjdiesz już dzisiaj - warknął głośnik.

- Dlaczego? Żeby się nie narażać?

- Bazy nie zaatakują. A jeśli nawet, to automaty poradzą sobie bez ciebie.

- Wyjdę.

- Z miotaczem?

- Nie. Z bukietem fiołków. I dobrym słowem. Chwilę panowała cisza. Wreszcie zabrzmiało głębokie westchnienie.

- Wygląda na to, że mam dość. Jeśli się chwilę zastanowić, to naprawdę mam dość...

Głośnik zgrzytnął i umilkł. Jakby mówiący w tym właśnie momencie uprzytomnił sobie, że za ileś tam lat każde jego słowo będzie wysłuchane i zapamiętane. Nie za "ileś tam". Kończył służbę. Za niespełna rok.

Niedawno. Bardzo niedawno. Unieruchomił mikrofony przy aparaturze rejestrującej. Szkoda. Usłyszałbym może, czego to i ja powinienem się obawiać.

Przepuściłem zapis do końca. Lampka kontrolna fonii nie błysnęła już ani razu.

Czegoś się jednak dowiedziałem. W dziewiętnastym roku służby człowiek obsługujący bazę w moim rejonie miał problemy z jakimiś zwierzętami. Czy były one jedynie płodem jego rozhuśtanej wyobraźni? Czy w ogóle chodziło o zwierzęta? Wspomniał, że sam mógłby stać się ofiarą. "Bazy nie zaatakują..." Szerszenie? Dzikie? Niedźwiedzie? Na co polował i co mogłoby polować na niego?

Jeśli chodzi o mnie, także nie lubię polowań ani myśliwych. Za to lubię zwierzęta. Zobaczymy. Ostatnie czynności, jakie wykonał mój poprzednik, polegały na sprawdzeniu automatycznej łączności i zespołów hibernatora. Przejrzał system awaryjny, zablokował wszystkie tory poza jednym zbiorczym, z wyjściem do innych baz, między innymi mojej, i poszedł spać. Nie wydarzyło się nic, co by mu w tym przeszkodziło.

Powinienem właściwie cały ten zapis odtworzyć ponownie, uprzednio zażądawszy od komputera szczegółowej interpretacji. Tylko że jakiegokolwiek ostrzeżenia teraz, będą mieć dla mnie akurat taką wartość, jak uprzedzanie człowieka spadającego z mostu, że woda jest zimna.

Zrobię to, oczywiście. Jutro albo za kilka dni. On zaczął fiksować po dziewiętnastu latach.

Mam czas.

Zwierzęta...

Wzruszyłem ramionami i wyłączyłem aparaturę. W czasie hibernacji nie miewa się snów.

Gdyby nie to, jego sześćdziesięcioletnia noc dostarczyłaby mu mocniejszych wrażeń.

Wstałem, sprawdziłem zamknięcie drzwi i przeszedłem do łazienki. Postąpiłem chwilę pod chłodnym prysznicem, po czym owinięty w szorstkie prześcieradło podciągnąłem rączkę klimatyzatora i ułożyłem się w rozkładanym fotelu. Był taki sam, jak w kabinach statków dalekiego zasięgu.

Zgasilem światło i leżałem z otwartymi oczami. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że czekam na jakiś dźwięk z zewnątrz. Wiatr, skradające się kroki, chociażby szelest liści.

- Zwierzęta - mruknąłem.

Przypomniałem sobie zające, kicające przez zalaną słońcem polanę, uśmiechnąłem się i zasnąłem.

Rozdział 4

Trawa sięgała miejscami do kolan. Ponad nią unosiło się nieprzerwane granie, stale na tych samych strunach. Miliony, miliardy owadów. W metalicznym akordzie nie sposób było wyróżnić brzęczenia wielkiego trzmiela, którego skrzętne zabiegi obserwowałem od kilku minut.

A jednak to także była cisza.

Centralka komunikacyjna w bazie rozdzielała cztery główne tory łączności. Pierwszy informował o pracy automatów, bezpośrednio dozorujących emisję i modulację pól siłowych wokół hibernatora, a także o warunkach panujących w jego najbliższym otoczeniu. Drugi biegł w kosmos. Z tej strony trudno było oczekiwać rewelacji, przynajmniej przed upływem dalszych dwudziestu lat. Za pośrednictwem trzeciego kierowałem urządzeniami własnej bazy. Mogłem programować sytuacje lub wydawać konkretne, pojedyncze polecenia.

Czwarty tor przebiegał przez sekcje aparatury diagnostycznej i kończył się w niewidocznych przystawkach, odbierających projekcję moich pól mózgowych. Był na stałe sprzężony z emitorami stymulatora, których rozmieszczenia w kabinie nie znałem dokładnie. Zresztą nie było mi to do niczego potrzebne.

Popracowałem chwilę przy tym czwartym torze. Odrobinę rozluźniłem program, podwyższając poziom progu zaburzeń. Nie chciałem, żeby korektura przywoływała do porządku moje nerwy i ośrodki mózgowy za każdym razem, kiedy na przykład przyjdzie mi ochota zaśpiewać.

Przed południem rozstawiłem automaty obserwacyjno-pomiarowe wokół bazy, uzbroiłem je w sygnalizację i niezależne bębny rejestrujące. Dokładnie jak w pierwszym dniu po lądowaniu na nieznaną planetę lub satelicie.

Sprawdziłem system alarmowy, zjadłem obiad i wyszedłem na powietrze. Szybko przekroczyłem pas gruntu oczyszczonego przez automaty, po czym kilkanaście minut walczyłem z kłębowiskiem kolczastych krzewów i zdrewniałych chwastów, zanim udało mi się wydostać na wolniejszy teren. Ześliznąłem się z jakiegoś obrosłego zielskiem pnia i wpadłem po kolana w wodę. Skąd tu woda? W całym Parku świateł nie było jej na lekarstwo. Prawda, dwadzieścia lat temu. W sąsiedztwie metropolii.

Skacząc z kępy na kępę i czepiając się gałęzi osiągnąłem wreszcie polankę, widoczną ze szczytu bazy.

Słońce stało już nisko. Trawa, na której leżały wydłużone cienie, była chłodna. Zrzuciłem buty, kombinezon i w samych slipach wybiegłem na środek łączki. Polana wyrzuszała się w tym miejscu, tworząc okrągłe wzniesienie, jakby pozostałość po jakimś prehistorycznym kopcu. Na jego grzbiecie roślinność ścieliła się nisko przy suchym, twardym gruncie.

Ułożyłem się na wznak, z podkurczonymi nogami. Lewą rękę podłożyłem pod głowę. Palcami prawej zacząłem bezwiednie przebierać w grubych, lepkich źdźbłach. Nagle poczułem jakiś ruch i szybko cofnąłem dłoń. Mały czarny żuczek pogonił za nią i dopadłszy wskazującego palca przewędrował nim do nasady kciuka, gdzie przysiadł i przylgnął do skóry.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo leżałem wpatrując się w bezchmurne niebo z pierwszymi blaskami zachodu i nie myśląc o niczym. W lesie, otaczającym łączkę, kilka razy coś zaszleściło. Jakby jakieś zwierzę nie mogło się zdecydować, czy moja obecność na polanie jest dostatecznym powodem do pozostania w ukryciu.

Cisza.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Poczułem się nagle młody. Przypomniałem sobie planety Alfy z ich zapachem nigdy nie wietrzonych ciepłarni i bulwiastą, bryłowatą roślinnością. Pomyślałem o tamtejszym powietrzu, o pięknej moźe, ale męczącej grze światła dwóch słońc. Uniosłem dłoń i poklepałem trawę, jak klepie się własnego, dużego psa. To mimo wszystko nieźle, że jestem tutaj.

Cisza.

Zabawne. Cokolwiek dotrze do moich uszu, wszystko, co mogę usłyszeć, szmery w lesie, szelest liści, pluskanie żab, czy chociażby wiatr, nie będzie niczym innym tylko ciszą. Tak jak przed uśpieniem ludzkości do ciszy należały pokrzykiwania rozbawionych dzieci, rozmowy z najbliższymi, plusk wiosła, łopotanie żagli i inne głosy dobre.

Czy takiej ciszy mógł bać się Marteau? Czy z niej wzięły się "zwierzęta", do których strzelał człowiek pełniący służbę przede mną?

Ptaki. Wszechobecny świergot harmonijny, sferyczny. Przymknąłem oczy i spróbowałem wyłapać melodię pochodzącą od jakiegoś jednego śpiewaka. Na próżno. Przymknąłem oczy i wtedy po raz drugi usłyszałem dzwony.

Milczenie przestrzeni jest pozorne. Mózg i ciało pilota są spięte szlakami informatycznymi z każdym elektronicznym czy fotonowym nerwem statku. Obserwując setki wskaźników przyjmuje ich drgania jako sobie tylko zrozumiałą mowę. Patrząc w punkciki gwiazd widzi bliskie eksplozje protuberancji, słyszy ciągły grzmot plazmowego ognia. Poza zasięgiem fonii, w obszarze rozdziału czasowego, w kabinach rzadko pada jakieś pojedyncze słowo. Uwagi pilota nie zakłóca najcichszy dźwięk. Tylko, czy to jest cisza?

Poczułem chłód. Wędrujący ze słońcem cień dotarł do miejsca, gdzie leżałem.

Otoczenie tego wzgórza, trawa, poszycie, woda, drzewa, nawet powietrze, są pełne życia. Ale to jest cisza.

I jeszcze coś. Tamten pozornie martwy świat jest obcy. Pozostaje obcy nawet po latach służby. Trudno mówić o milczeniu przestrzeni, która w milionowej części sekundy, bez ostrzeżenia, może zadać cios śmiertelny dla statku i załogi. Cios, nie do przewidzenia przez najprecyzyjniej zaprogramowane automaty.

Tutaj jest Ziemia. Z jej kilkunastoma miliardami mieszkańców, z których każdy zużywa tyle energii, ile jeszcze trzysta lat temu przypadało na jedno europejskie miasteczko. Ziemia, bez skrawka wolnej przestrzeni, podzielona z dokładnością do centymetrów na aglomeracje przemysłowe, mieszkalne, drogi i rezerwy. No i podmiejskie pasy ochronne, jak ten, którego częścią jest Park światła.

Teraz miasta milczą naprawdę. Jeśli będąc na Ziemi słyszę tylko szum drzew, głosy ptaków, brzęczenie owadów, myszkowanie małych zwierząt, to jest tak samo, jakbym w martwym kosmosie nie słyszał nic. Czy zatem i teraz, tutaj, nie powinienem być stale czujny, stale gotowy do odparcia niespodziewanego uderzenia?

Zamajaczyła mi przed oczami twarz profesora Marteau. Zadźwięczały mi w uszach słowa Tarrowsena. "Nie wiesz, czym jest cisza... na Ziemi. Nikt tego nie wie..."

Znowu coś zaszeleściło. Uniosłem się na łokciach. Przebiegł mnie dreszcz. Trawa zwilgotniała. Drzewa już pociemniały, tylko po przeciwnej stronie polany świeciły jeszcze wierzchołki wysokich buków.

Wstałem, wróciłem do miejsca, gdzie zostawiłem kombinezon i buty, ubrałem się i bez pośpiechu ruszyłem w stronę bazy. Tym razem obszedłem mokradła z przeciwnej strony. Przed wejściem zatrzymałem się i chwilę nasłuchiwałem.

Nie. To tylko cisza.

Następnego dnia rano włożyłem treningową bluzę z całą jej aparaturą i wybrałem się do miasta. Przeszedłem kilka metrów, stanąłem i zastanowiłem się. Wreszcie, wruszając ramionami, zawróciłem i zabrałem podręczny analizator oraz miotacz.

Kiedy po dwóch godzinach szarpaniny z kolczastym poszyciem wyszedłem wreszcie na równinę, moja bluzka stała się ciężka od potu. Lepkie strużki wędrowały mi przez plecy i brzuch do nogawek spodni. Zdawało mi się, że cały nasiąkłem jak gąbka.

Poszycie było tutaj skąpe. Pomiędzy brzoźkami i topolami prześwitywały polanki, porośnięte gęstą, ale niską trawą. Zatrzymałem się, zdjąłem bluzę i powiesiłem ją na gałęzi, żeby trochę przeschnęła. Pochodziłem między drzewami, aż mój oddech odzyskał zwykły rytm. Zrozumiałem teraz, co oznacza powiedzenie "dziewicza puszcza".

Uruchomiłem nadajnik. Wezwałem uniwersalny automat i poleciłem mu wyciąć drogę między wejściem do bazy a miejscem, gdzie stałem. Sprawdziłem kierunek i przełączyłem nadajnik na namiar.

Miasto było o krok. Przez drzewa dostrzegałem szklane lśnienie ścian, a także fragment białego pasa pierwszej napowietrznej estakady. Nie dobiegał stamtąd żaden, najcichszy bodaj, dźwięk.

Na dobrą sprawę nie mam tam czego szukać. Mogę co najwyżej sprawić kłopot automatem

konserwującym. Chyba przewidziano w ich programach spotkanie z człowiekiem. Zależy, czego właściwie bali się autorzy tych programów. Ba, ale oni sami nie wiedzieli przecież, czego się boją.

Tak czy inaczej do miasta pójde później. Najpierw obejrzę ten skarb, przy którym waruję niby stary indyjski okularnik.

Wymontowałem nadajnik i położyłem go pod drzewem, żeby mój automat mógł nadal pracować w lesie i żeby nie pomylił kierunków. Wciągnąłem wilgotną jeszcze bluzę i ruszyłem przed siebie. Co najmniej osiem kilometrów. Zdażę się rozgrzać.

Powietrze drżało jak nad rozpaloną pustynią. Momentami wydawało mi się, że wyczuwam pod stopami delikatne mrowienie gruntu. Znajdowałem się już w zewnętrznej strefie aktywności głównego pola siłowego.

Widnokrag przestroniła niebieskawa chmura, w kształcie regularnej, gigantycznej półkuli.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i zatrzymałem się.

Chmura była półprzezroczysta. U jej podnóża zawisła pozioma płaszczyzna, unosząca się mniej więcej pół metra nad powierzchnią ziemi. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem wewnątrz niejasne, tarasowate spiętrzone kształty.

Tuż przede mną zaczynał się pierścień nagiego gruntu. Pokrywała go gruba warstwa kurzu. A raczej drobniutkiego miálu, jakby bazaltu rozpylonego w potężnych młynach. To nie było złudzenie, te ledwie wyczuwalne drgania powierzchni. Pod pokładem gleby biegło tutaj tysiące nici wiążących generatory i głowice stymulatorów pola.

Bardzo powoli, gotów w każdej chwili odeskoczyć, posunąłem się jeszcze krok do przodu.

Uniosłem nogę i końcem buta dotknąłem miejsca, gdzie ucięta jak nożem darń przechodziła w miątki piasek.

Pierwsza, zewnętrzna bariera. Bierna. Inaczej mówiąc to, z czego obecnie budowano, na przykład, kabiny naziemnych pojazdów. Dokładnie taki sam opór stawiała niewidoczna burta wehikułu, który czekał na nas koło portu orbitalnego.

Pas sproszkowanej gleby liczył mniej więcej dwieście metrów szerokości. Dalej wyrastała owa brudnoniebieska chmura, z bliska niepodobna już do kopuły. Nie byłem pewien, czy cienie w jej wnętrzu mają jakiś związek z tym, co naprawdę tam się znajduje, czy to tylko gra światła. Powiedziano mi, jaką przestrzeń zajmie centralny hibernator. Co innego jednak wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy. W takich niebieskawych obłokach spoczywa teraz ludność mojej planety. Ile jest podobnych miejsc? Sto? Tysiąc? Nieważne. Ile by ich nie było, zajmują wielokrotnie mniej miejsca, niż rozsiane po całej Ziemi cmentarze.

W odległości iluś tam metrów czy kilometrów śpi Avia, moi rodzice, krewni. Dlaczego, u licha, kiedy zastanawiałem się, jaki obszar zajęły hibernatory, przyszły mi na myśl akurat cmentarze?

Avia. Przez chwilę usiłowałem wyobrazić sobie jej twarz, uśpioną, nieruchomą, zimną. Twarz królowy z bajki. Nic z tego. Próbowałem dojść, czemu tak jest i zrozumiałem, że brakuje mi wyrazu jej oczu. Była ślepa. Ale to jeszcze nic. Im dłużej myślałem, tym bardziej jej rysy rozmywały się w nieskończonym szeregu innych twarzy, równie zastygłych i niemych. Tkwiły w niebieskiej mgłę i wszystkie były takie same.

Odwróciłem się i zacząłem iść w stronę miasta. Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów zatrzymałem się i głęboko odetchnąłem. Pobiegłem wzrokiem ku lśniącyemu w słońcu obwodnicom i górującym nad nimi budowlom. Coś zmieniło się w otoczeniu.

I nagle uderzyła mnie cisza. Ta sama, z którą żyłem się już od wczoraj. To nieważne, że teraz nie było w niej ptaków, szmeru liści, a nawet ruchu powietrza. Znałem tę ciszę i czułem się w niej bezpieczny. Tak przynajmniej myślałem.

A jednak było to jak uderzenie. Przeniknął mnie lodowaty dreszcz. Wyobraziłem sobie, że cały ogrom hibernatora sunie za mną z rosnącą szybkością, ale nie mogłem odwrócić głowy, żeby spojrzeć do tyłu. Tak właśnie pustka przestrzeni daje czasem odczuć pilotowi, że jest pustką pozorną.

Mijały minuty. Stałem jak porażony, patrząc niewidzącymi oczami na bielejące pośrodku kotliny miasto, przypominające ułożoną z klocków makietę. W pewnej chwili pomyślałem o stymulatorze psychicznym.

Ta myśl mnie otrzeźwiła. Zachnąłem się i odwróciłem. Wzgórze zbudowane z matowej mgły trwało w ponurym bezruchu. Wzruszyłem ramionami i zacząłem iść równym, odmierzoną krokiem prosto w stronę zabudowań. Przeciąłem dojazdową tachostradę, potem drugą, pasy kolei magnetycznej i łańcuszki nadajników prowadnic ruchu indywidualnego, aż wreszcie wszedłem w cień leżący pod wiaduktem obwodnicy. Widniejące na horyzoncie wzgórze, z ukrytą na szczycie jednego z nich bazą, wydawały się oddalone najwyżej o kilkaset metrów. Dotychczas bywało tak tylko wysoko w górach, przed deszczem.

Wyszedłem na słońce i zatrzymałem się. Na moment przymknąłem oczy. Nic mi to nie dało.

Potrząsnąłem głową. Spojrzałem ponownie.

Przede mną, w odległości niespełna dwudziestu metrów, widniał krąg świeżo wypalanej trawy. Rozejrzałem się dokoła, a następnie zacząłem lustrować najbliższe zabudowania miasta. Długo wpatrywałem się w ślepe, lśniące fasady, przedzielone szczelinami błękitnych prześwitów, w płaskie dachy, zwieńczone dyskami anten. Nic. Na tarasach lotnisk równe rzędy kolorowych punkcików, trwających w bezruchu.

Poniżej ta sama doskonała martwota. Spokój wygasłych planet, z których uciekło powietrze. Patrząc pierwszy raz na odłupane okruchy skał nie wie się, czy runęły one przed sekundą, czy miliony lat temu.

Nawet najbliższe tchnienie nie poruszało gałęzi drzew sięgających z poziomu zerowego do najniższych płaszczyzn komunikacyjnych.

Teraz dopiero oderwałem wzrok od miasta i zająłem się moim odkryciem.

Podszedłem bliżej.

Na obrzeżu wypalonego koła żdzbla trawy były suche i poskręcane, jakby tylko liźnięte płomieniem. Zaraz dalej żółte wióry ustępowały warstwie popiołu. Pośrodku widniało niewielkie wypiętrzenie, jakby nie dopalone resztki konarów lub pokryty kopciem kamień.

Ognisko. Jednak nie widziałem w życiu ogniska, po którym pozostałby popiół czarny jak sadza. Gdybym ujrzał taki krąg poza światem bliskich planet, wiedziałbym, co o tym myśleć. Tu była Ziemia. Chwilowo pozbawiona mieszkańców. Nad ich snem czuwają automaty i tacy jak ja.

Oto co czuł Robinson, odkrywca na swojej wyspie ślad ludzkiej stopy. Nikt nie miał prawa palić tutaj ogniska. Poza mną nie ma istoty, której wzrok mógłby przebiegać tę przestrzeń. Sama myśl o kimś takim graniczy z obłędem.

Schyliłem się i roztarłem w palcach szczytę popiołu. Był tłusty. Nie dawał się zdmuchnąć, pozostawiał na skórze czarnobrazowe smugi.

Pogrzebałem w zgliszczach. Nie pozostało śladu drewna ani innego materiału, nic, co pozwoliłoby odgadnąć, czym się posłużono wzniecając ogień. Jedno nie ulegało wątpliwości. Nie zrobiono tego dwadzieścia lat temu.

Wstałem. Odszedłem kilka kroków i starannie wytarłem dłonie w trawę. Nie udało mi się całkowicie pozbyć tłustych śladów. Odruchowo sięgnąłem do pasa, tam gdzie zwykle trzymałem zapasowe próżniowe rękawice. Znowu stałem się pilotem. Pomimo, a może właśnie dlatego, że byłem na Ziemi. Na Ziemi, która nagle okazała się obca.

W otaczającym mnie krajobrazie nie zaszły żadne zmiany. A jednak to już inny krajobraz.

Wyprostowałem się i ruszyłem w kierunku ślimacznicy, wyprowadzającej na najniższy poziom. W pewnej chwili odruchowo sięgnąłem do miotacza i poprawiłem go na ramieniu, przesuwając gruszkowaty uchwyt bardziej do przodu. Właśnie tak, jakbym patrolując nieznany glob, opuszczał rejon lądowiska.

Minęło południe. Jeśli chcę przed wieczorem wrócić do bazy, powinienem wziąć się w garść. Szybkim krokiem przemierzyłem ostatni odcinek drogi. Po pięciu minutach postawiłem stopę na stromej estakadzie.

Zadźwięczało. Z góry odpowiedziało echo. Coś się obudziło. Nie zwalniając tempa marszu uderzyłem stopą raz i drugi. Dźwięczny, głęboki ton. Zabawne. Nigdy nie myślałem, że te gazolitowe płyty mogą działać jak membrany. A z nich przecież zbudowano wszystkie płaszczyzny, tworzące poszczególne poziomy, oraz ich konstrukcje nośne. A także fundamenty większych gmachów, osadzonych w skale macierzystej, szczytami sięgających prawdziwego nieba. Bez pośrednictwa holowizji.

Na drugim poziomie opuściłem ślimacznicę i wszedłem pomiędzy domy. Ulice i chodniki na wszystkich piętrach wyglądały jak świeżo zlane wodą i wyszczotkowane. Moje niedawne rozważania o spotkaniach z automatami były bez sensu. Cokolwiek przewidziano w ich programach, robiły to w nocy.

Równie świeżo prezentowały się skwery i kwietniki. Nigdzie nie udało mi się wypatrzeć choćby najmniejszego strzępu folii. Wyloty pochłaniaczy lśniły jak wypolerowane. Przechodząc obok jednego z nich, musnąłem palcami krawędź jego otwartej paszczy. Wyczułem leciutkie drżenie. Jak za dawnych, dobrych czasów. Ładunek elektrostatyczny, różny od ładunku ulic. Pomyślałem, że powinni byli zafundować mi taki odkurzacz w bazie na wzgórze. Widocznie uważali, że nie będę śmiecił. Chociażby dlatego, że nie groziło mi rozpakowywanie sprawunków. Ani usuwanie odpadków z kuchni.

Pograżałem się wciąż głębiej w milczące, sterylne czyste ulice, przepływające pod liniami komunikacyjnymi lub ostrymi łukami mknące ku wyższym kondygnacjom. Chodniki i eskalatory błyszczały szklanymi uchwytami. Wydawało się, że wystarczy podejść i dotknąć jej nogą, żeby podjęły pracę, ruszyły w górę i w dół, we wszystkich kierunkach.

Nie wiem, kiedy znalazłem się w centrum dzielnicy. Dawniej dojście tutaj z obrzeży miasta zabrałoby mi co najmniej trzy godziny.

Stałem przed strzelistą bryłą Banku Informacyjnego. Patrząc w górę widziało się rozek

błękitnego nieba. Górne poziomy sąsiednich zabudowań opływały gmach, wiążąc się z nim jedynie tasiemkami napowietrznych chodników.

Podszedłem bliżej i przeczytałem znany mi dobrze napis, widniejący na białej tablicy. Jako dziecko przychodziłem tu nieraz z dziadkiem, aby spytać o rozwiązanie jakiegoś równania, komunikację z Australią, o pogodę na południowej półkuli Ganimeda lub coś równie mi zbędnego. Rozumowałem tak: jeśli przejawiam zainteresowanie podobnymi sprawami, to znaczy, że tego właśnie wymaga sytuacja. A więc jestem dorosły.

Każde z następnych pięter banku przeznaczone było dla węższej grupy odbiorców. Do szczytowego wstęp mieli tylko członkowie Akademii i Rady Naukowej Administracji. Zasiadali przed ekranami węzłów zbiorczych światowej sieci komputerowej. Pytania, jakie wówczas stawiano, mogły dotyczyć jedynie optymalnych wariantów rozwiązań generalnych. Poszedłem dalej. Dotarłem na najwyższy poziom i skierowałem się w stronę parku otaczającego zabudowania Centrali.

Brama, którą ostatni raz przekroczyłem trzy dni temu, to znaczy trzy dni i dwadzieścia lat, stała otworem. To mnie zastanowiło. Nawet w normalnych czasach warowały przy niej dniem i nocą dwa automaty. Szpalery 'krzewów wytyczające drogę dojazdową do głównego pawilonu były nierówne i zaniedbane.

Nie lepiej przedstawiał się obszerny plac, na którym parkowały pojazdy służb łączności. Maszyny stały w ciasnym szyku, stłoczone jedna przy drugiej, ale pomiędzy nimi walało się mnóstwo jakichś starych pojemników, arkuszy folii i skrawków taśm magnetycznych.

Ominąłem dwa szczerlnie zamknięte pawilony i skierowałem się w stronę gmachu, w którym odbyłem pamiętną rozmowę z profesorem Oneską. Tutaj znowu zastałem drzwi otwarte, jakby wewnątrz ktoś na mnie czekał. Ktoś, kto przyszedł o umówionej porze i nie był zadowolony stwierdziwszy, że się spóźniam.

Nie próbowałem jechać windą. Wdrapałem się po stromych schodkach na samą górę, gdzie zwykle można było zastać Tarrowsena. Stalowym pomostem poszedłem do końca korytarza. W pewnym momencie ujrzałem na podłodze wąski klin światła. Drzwi gabinetu były uchylone. Wewnątrz paliły się lampy.

Moje palce powędrowały do uchwytu miotacza. Przypadłem do ściany. Czekałem minutę, może dwie. W ciszy słyszałem uderzenia własnego serca. Z dołu dobiegł jakiś przeciągły szmer. Umilkł.

Pomyślałem, że ktoś zamknął bramę. Wstrzymałem oddech. Nic. Cisza. Tak samo wewnątrz oświetlonego gabinetu.

Wpadłem w pasję. Mniejsza, czy odcięto mi odwrót i kto to mógł zrobić. Wiem jedno. Nie będę z tym kimś grał w ciuciubabkę.

Oderwałem się od ściany i dopadłem drzwi. Uderzyłem w nie łokciami.

Niepotrzebnie się wysilałem. Kwestię tych drzwi ktoś rozwiązał już za mnie. Lewe skrzydło było wyrwane z zawiasów. Przy pierwszym dotknięciu osunęło się i z ogłuszającym plaśnięciem upadło na podłogę. Skoczyłem do środka.

Przewrócony stół. Rozwleczone bębny przystawek pamięciowych. Strzępy taśm zalegają dosłownie wszędzie.

Ale w gabinecie nie było nikogo. Ktoś, kto chciałby się tutaj schować, musiałby wpierw sięgnąć po buteleczkę, z której piła Alicja, by zmieścić się, w krainie czarów.

Co zaszło w tym pokoju? Czy któryś z dysponentów Centrali wchodząc już owego wieczoru do hibernatora przypomniał sobie nagle, że nie załatwił czegoś niesłychanie pilnego?

Rozsądek odrzucał takie tłumaczenie. Ale czy istnieje inne? A co z zieleńcem otaczającym pawilony? Otwartymi bramami?

Pomyślałem o odgłosach, które przed chwilą dobiegły z dołu. Wrócę do tego gabinetu. To nie ulega wątpliwości. Może niejedyn raz. Ale teraz muszę się przekonać, co słychać na parterze. Jeśli zastanę drzwi zamknięte...

Nie dbając już o zachowanie ostrożności zbiegłem po schodach. Rozdzwoniły się jak kowadło w zabytkowej kuźni. To już nie należało do ciszy. Ale gdyby nie ona, nie wiedziałbym, że tak hałasuję.

Jedno skrzydło szklanej bramy wejściowej było otwarte i nieruchome. Drugie uchylało się powoli. Zakończyło wędrówkę, po czym bezszelestnie zaczęło wracać. A więc jednak drzwi. Ale nic poza tym. Żadna z rzeczy, które przysły mi na myśl. Po prostu przeciąg.

Wyszedłem na plac przed gmachem. Otarłem pot z czoła i odetchnąłem głęboko. Poczułem pragnienie. Odwróciłem się na pięcie i bez pośpiechu ruszyłem ku głównej bramie.

Mniej więcej w połowie szpaleru zdobiącego centralną alejkę grupka krzewów świeciła białymi ranami świeżo połamanych gałązek. Przystanąłem i ujrzałem leżący tuż za żywoptomem automat. Jeden z tych uniwersalnych aparatów, jakie zostawiono, aby pilnowały miasta do powrotu ludzi. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nie wlaź w krzaki z lenistwa.

Schyliłem się i wyszarpnąłem automat na drogę. Nie przypuszczałem, że jest taki ciężki.

Pomagając sobie kolanem przewróciłem go na plecy.

W samym środku torsu, w miejscu, gdzie wewnątrz korpusu zbiegają się tory informacyjne, widniała podłużna przestrzelina. Ponadto pęk wyjściowych antenek u nasady reflektora był pogięty i zniekształcony.

- Temu, kto wrócił do Centrali, paliła się ziemia pod nogami - powiedział na głos. - A ten ludek nie kwapił się widać z otwarciem bramy. Robił swoje. Kazali mu sprzątać i pilnować wejścia. Więc pilnował.

Wyobraziłem sobie Tarrowsena stojącego pod bramą, liczącego sekundy, jakie mu pozostały i zaklinającego automat, żeby go wpuścił. Zaśmiałem się. Usłyszałem echo tego swojego śmiechu. Ucichłem i wycofałem się tyłem, uważnie omijając bezwładny korpus automatu. Na ulicy zatrzymałem się nagle.

- Pocciwy z ciebie chłop - wymruczałem. - Wszystko potrafisz wytłumaczyć. Uważaj. Nie pozwól zrobić sobie krzywdy...

- Uważaj - powtórzyłem po chwili. - Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie. Zapis.

- No to co - wzruszyłem ramionami. - Najwyżej sprawisz trochę radości temu, który przyjdzie po tobie. Będzie tego potrzebował. Nie bardziej, ale i nie mniej od ciebie.

Odpowiedziało milczenie.

Spojrzałem w niebo, a potem na zegarek. Żebym nie wiem co robił, nie zdążę wrócić przed zachodem słońca. Choćbym się natychmiast wykonał. "Choćbym się wykonał..." Ulubione powiedzonko Haleba.

Al. Przed oczami stanęła mi jego szeroka, uśmiechnięta twarz. Potężne, zaokrąglone ramiona. Kiedy szedł, poruszały się rytmicznie w górę i w dół, jak głowy biegnących w zaprzęgu koni.

Ruszyłem w stronę niewidocznych już wzgórz, ale nadal byłem myślami przy planetach Alfy. Haleb mówił o nich: purchawki. Zwabiły nas tam dźwięki. Głosy przestrzeni, które w ludziach budziły nadzieję na towarzystwo w dalszej podróży przez czas. Okazało się, że to tylko awaria. Głosy kłamały.

Przyśpieszyłem. Zbiegłem na poziom zerowy, przemknąłem pod ostatnimi wspornikami kolei magnetycznej i wyszedłem na łąkę.

Pochłodziło. Słońce już dawno opuściło korony drzew. Przedemną gęstniał mrok.

Kiedy dotarłem wreszcie do miejsca, gdzie zostawiłem nadajnik, w parku pozostało akurat tyle światła, abym nie walił nosem w każdy napotkany pień. Automat przywitał mnie wysunięciem anteny. Zanim mogłem odpowiedzieć, musiałem na powrót wmontować miniaturowe wzmacniacze do płaskiego pojemnika, spoczywającego w kieszeni mojej bluzy. Wtedy dopiero podszedłem bliżej.

Wysunął antenę. Owszem. Ale nie tylko. W ślad za nią wywędrował do góry wysięgnik z krótkim walcem. U jego nasady płonęło pomarańczowe oczko, nie większe niż głowa pszczoły. Czujnik promieniowania.

Odkoczyłem jak oparzony. Nieźle się spisałem. Szczerze mówiąc, lepiej niż nieźle.

Po pierwsze, wzywając automat, żeby wyciął w lesie drogę, nie pomyślałem, że przyjdzie najbliższy, czyli ten, którego postawiłem przed wejściem, a więc uzbrojony. Zyskałem potężną osłonę, całkowicie zbyt dużą, ponieważ i tak nie rozstawałem się z miotaczem. Za to bazę pozostawiłem zdaną na łaskę każdej istoty, która doszłaby do wniosku, że coś jest nie w porządku z tymi głazami. I jeszcze jedno. Wyrabując przejście w gęstwinie wskazałem komuś drogę. Komu?

Chwileczkę. Czy rzeczywiście aż tak się poszkapilem? Wskazałem drogę? Może. Ale jeśli naprawdę ktoś lub coś dybie na moje życie, czy też chce opanować strażnicę z jej aparaturą, a więc zagraża życiu wszystkich, to im prędzej dojdzie do rozprawy, tym lepiej. Czy mam czekać, aż dobrze obejrzy bazę, rozszyfruje jej maskowanie, wyposażenie, drobiazgowo prześledzi mój rozkład zajęć? Inaczej mówiąc, aż zdobędzie nade mną przewagę? Niech sobie potem, za sto lat, myślą, co chcą, Tarrowsen, Oneska i im podobni, których główną troskę stanowiło, do jakiego stopnia uda mi się opanować sztukę mimikry.

Zaraz. Tarrowsen. Oneska. Rozstawili strażników. Przedtem mieli im sporo do powiedzenia. Ale nie powiedzieli wszystkiego. Mogli przemilczeć i to, że strażników nie zostawia się bez nadzoru...

W takim razie - rzekłem sobie w duchu - jednego inspekcyjnego już nie ma.

Tak. Przynajmniej jedna z istot czy rzeczy, które krążą po lesie bez mojej wiedzy i zgody, odprawiłem definitywnie. Zapytał, o co chodzi. Pewnie nieraz. Nie był automatem zaprogramowanym do walki. Przeciwnie. Należał do maszyn pozostających stale w bezpośrednim kontakcie z człowiekiem.

Ale nie otrzymał odpowiedzi, która by go zadowoliła. Wtedy strzelił.

Zapaliłem latarkę. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie czekał automat,

ujrzałem czarny krąg świeżo wypalony w poszyciu i w darni
Nie musiałem dotykać popiołu, żeby przekonać się, czy zostawia tłuste ślady. Zrobiłem to jednak. Spaleniu uległa tutaj ta sama substancja, co w pobliżu miasta. I dosięgną! ją ten sam rodzaj ognia.
Zgasłem latarkę, po czym wyprostowałem się powoli. Z trudem wypatrzyłem ledwo majaczącą w ciemności nieruchomą sylwetkę automatu. Kazałem mu podejść. Czujnik promieniowania już zgasł. Wylot miotacza był zimny.
- Musiałeś? - odezwałem się półgłosem.
Automat stał przede mną, jak skarcony uczeń czarnoksiężnika po powrocie mistrza.
- Nie/było mnie zaledwie pół dnia - zauważyłem.
Z kępy drzew rosnących na zboczach spłynęła sowa. Przedefilowała na tle nieba tak cicho, jakby leciał jej własny cień.
Bzdury - zachnąłem się w myśli.
Poleciłem automатовi, by ruszył w górę, oczyszczoną przez siebie przecinką. Sam poszedłem tuż za nim. W czasie drogi na szczyt wzgórze nie obejrzałem się ani razu.
Dwadzieścia minut później wkroczyłem pomiędzy swojskie, nie istniejące głązy. Buchnęło światło, zalewając ostrą bielą najbliższe drzewa i zarośla. Zatrzasnąłem drzwi i podszedłem do stołu. Poza kostką koncentratu cały dzień nie miałem nic w ustach.
Chodziłem po kabinie w samych slipach, aż poczułem chłód. Podciągnąłem rączkę klimatyzatora i ułożyłem się w fotelu.

Rozdział 5

Stara elektrownia wodna w zachodnich Karpatach. Wklinowana między dwa strome zbocza pionowa ściana. Dwie płaszczyzny. Wysoka, spokojna, w jej gładzi odbijają się żagle, szafirowe, białe, żółte i pomarańczowe. Druga głęboko w dole, ze świecącą w słońcu żylastą górską rzeką.
Byłem tu kiedyś, nie wiem już z kim. Stałem długo oparty o balustradę, i patrzyłem. Pamiętam, że mogłem tak stać godzinami. Rzeka zmieniła się w ryczącą kipieli. Przez próg zapory przeskakiwały brudnożółte grzywacze. Wycie burzy zagłuszył inny dźwięk, narastający, napięty do ostateczności. Ziemia zadygotała i nagle chmury przestrelili ścianą wodnego pyłu, w którym przewalały się skalne bloki, kratownice konstrukcji, poszarpane przewody i dachy budowli. Przez ułamek sekundy wszystko to trwało bez ruchu, zabierając patrzącym z dołu resztki dziennego światła, po czym runęło.
Nie pomyślałem o ucieczce. Kiedy dosięgły mnie pierwsze bryzgi wodnej kurzawy, uczyniłem jednak bezsensowny wysiłek, próbując rozpaczliwym ruchem osłonić głowę. Krzyknąłem. Zerwałem się od razu na równe nogi. Zrobiłem dwa, trzy kroki ku środkowi kabiny i zatrzymałem się, nie wiedząc, gdzie jestem. Minęła dobra chwila, zanim wirujące mi przed oczyma mgliste koła zbiegły się do znajomych kształtów małych lampek, oświetlających klawiatury pulpity.
Zniknął obraz katastrofy. Pozostał jej huk. Teraz dobiegał z zewnątrz. Wydawało mi się, że ściany bazy dygocą, jakby za chwilę miały podzielić los tamy z mojego snu.
Tak jak stałem, w samych slipach, porwałem latarkę, miotacz i skoczyłem do drzwi. Potknąłem się o próg i poleciałem głową naprzód przez cały przedsionek. Uderzyłem barkiem o ścianę i z trudem złapałem równowagę. Mocując się z zamkiem wezwałem automat. Drzewo rosnące na wprost wejścia stało bez ruchu. Jakby nawet powietrze nie dotykało jego liści. Tak samo drugie. Wszystkie drzewa, na które kolejno przenosiłem światło mojego reflektorka.

Niebo czyste jak granatowe szkło, z milionami wtopionych w nie rozbłysków. Ani jednej chmury.

Automat wytoczył się z sieni i zatrzymał koło mnie. Usłyszałem ciche brzęczenie rozedrganych anten.

Teraz dopiero pojąłem, że wokół zalega cisza. Absolutna. Nieziemska w swej doskonałości. Bez tego wszystkiego, co należało do niej w ciągu dnia, to znaczy ptaków, zajęcy i szelestu liści.

Obłąd. Byłem mokry, jakbym naprawdę tylko co uszedł powodzi. Chwyciły mnie dreszcze. Omal nie zwymiotowałem.

Noc. Zwykła noc, pełna gwiazd. I ciszy. Pełna ciszy. Tyle jej, że już się nie mieści. Nogi ugięły się pode mną. Objąłem palcami wysięgnik automatu i nie wypuszczając go z ręki osunąłem się na ziemię.

Mijały minuty. Siedziałem, patrząc w gwiazdy i nie myśląc o niczym. Ogarnął mnie nienaturalny, niemal namacalny spokój. Wyobraziłem sobie, że zasnę tutaj i zbudzę się razem z ptakami w pierwszych promieniach słońca.

Usłyszałem szum krwi pulsującej w moich skroniach. Po chwili zawtórował mu inny dźwięk, który wydał mi się znajomy.

Dzwony. Dalekie, rozkołysane u podstawy gwieździstego nieba. Cisza. Dzwony.

Jestem sam. Jeśli wierzyć psychologom, poczucie niedoboru interakcji społecznych może być dla człowieka korzystne. Do pewnego momentu. Potem grozi depresją. Decyduje czas.

Depresja. Od tego się zaczyna. Jak to było z tym dżinem, który zbyt długo siedział zamknięty w butelce? Najpierw przyrzekł sobie, że nieznanego wybawcę obsypie złotem. Ale po wiekach obiecał mu krwawą zemstę.

Mądrość starych bajek. Gdy samotność trwa zbyt długo, człowiek staje się agresywny. Pierwszych spotkanych wreszcie ludzi wita brutalnym atakiem. A jeśli i w tym stadium nie spotka ich w porę? No cóż. Zawsze przecież można sobie kogoś wymyślić, aby wyładować ma nim swoją wściekłość. Na własnych wyobrażeniach. Na sobie.

Skąd wzięła się ta nie istniejąca burza? Dlaczego zamiast chwilę pomyśleć, zareagowałem ślepą furią, dlaczego wypadłem z bazy goły, ale za to gotów od razu strzelać do wszystkich i do wszystkiego?

Psychologia. No tak. Przeszedłem wszystkie możliwe testy. Zdawałem egzaminy nie tylko z teorii. Zdrowy i zrównoważony wróciłem z gwiazd. Nie powinienem mieć trudności z postawieniem diagnozy.

A może nie jest tak źle?

Mój automat strzelał do kogoś naprawdę. Te dwa czarne popie-liska istniały niezależnie od mojej wyobraźni.

Dźwignąłem się z trudem. Najważniejsze, wejść w rytm - pomyślałem. To przecież proste. Są pory dnia, czynności, które muszę wykonać, posiłki, sen... Trzeba to wszystko uporządkować, jak układankę. Przystosować się. Nawet nie. Po prostu wpaść w rytm.

Zamykając drzwi zastanowiłem się, czy nie zaprogramować miotaczy na wypadek czyichś odwiedzin. Czyichkolwiek odwiedzin.

- Nie - powiedziałem na głos. Nie - powtórzyłem już w myśli. Znaczyłyby to uznać stan obłączenia. Zamykać się przed ciszą? Nonsens. Nie jestem rozhisteryzowaną babą, wytraconą z równowagi brakiem ludzi, z którymi mogłaby pogadać. Jedyne, co trzeba zrobić, to narzucić sobie rytm.

Zacząłem ściśle przestrzegać harmonogramu dnia. Opuszczałem bazę zawsze w tych samych godzinach i w równych odstępach czasu sprawdzałem posterunki. Dwa razy w ciągu doby wychodziłem na szczyt mojej strażnicy, by zlustrować okolicę.

Dane, jakie otrzymywałem z zewnątrz, wystawiały dobre świadectwo autorom projektu równowagi biologicznej. Czujniki jeden jedyny raz wychwyciły nikły ślad radioaktywności w powietrzu. I to nie dałbym głowy, czy sprawcą owego sygnału nie był miotacz mojego własnego automatu. Gleba stała się praktycznie czysta. Wody również, nawet gruntowe. Według mojej oceny proces rekonstrukcji biosfery postępował szybciej niż przewidywano. Może wystarczyłoby sześćdziesiąt lat? Pięćdziesiąt?

Jestem w stanie dokonać korekty. Wystarczy podejść do niszy i otworzyć umieszczoną obok hibernatora komorę sygnalizacji alarmowej. Nie minie dziesięć minut, a niebieskawy klosz, pod którym śpią miliony ludzi, rozplynie się w powietrzu. Dwie, trzy godziny później, ożyje miasto. Najpierw odezwą się chodniki i eskalatory. Wkrótce dołączą inne głosy. Zaczną się mnożyć, narastać, aż osiągną apogeum i zagrają dawnym, ogłuszającym akordem. Potem nad szczytami budynków pojawi się mgiełka. Kontury dróg i lotnisk rozmażą się, nie minie pół dnia, a patrząc z wierzchołka bazy będę widział tylko wielką, sinawą chmurę. Jednak zanim to nastąpi, mój automat zaanonsuje gości. Co im powiem?

- Widzicie, jak tu ładnie? Zielono i ptaszki śpiewają... chodźcie, pobiegamy po lesie... Uśmiechnąłem się.

- Wariactwo - powiedziałem wstając. - Do roboty, synu, bo znowu będziesz musiał pomyśleć o psychologii... - mówiąc to mimo woli zerknąłem na przystawkę rejestrującą. W okienku kontrolnym drgały jeszcze zamierające światełka.

Podszedłem do ekranu łączności. Chwilę obserwowałem zielone punkciki przesuujące się nieskończenie wolno na matowej tarczy. Oto droga do gwiazd. W każdym z tego tysiąca mikroskopijnych okruchów Ziemi tkwią ludzie. śpią, podobnie jak ci, do których pragnęliby wrócić. Czy im się powiedzie? To zależy także i ode mnie. Od tego, czy zrobię swoje do końca. Czy, na przykład, przestanę wreszcie gadać na głos. A potem pójde popilnować zajęcy, żeby sobie czegoś nie zrobili.

Jakiś czas patrzyłem jeszcze w sygnały namiarowe statków oddalonych już o - kilka parseków, po czym włożyłem bluzę, sprawdziłem ogniwa energetyczne, wziąłem miotacz i ruszyłem do wyjścia.

W powietrzu było dziś więcej życia. Korony drzew chyliły się pod naporem wiatru. Na wysokiej trawie tańczyły plamy i plamki podobne do wycinanek zrobionych z półprzezroczystej folii. Niebem ciągnęły pojedyncze, jasne chmury. Las był pełen przebłysków słońca, jakby wiatr poruszał lusterkami, zawieszonymi na gałęziach.

Słyszałem chrzęst konarów. Słyszałem trzepotanie liści. Słyszałem także dzwony.

Żebym przez sto lat szukał innej nazwy dla tego dźwięku, trwającego w powietrzu, obecnego w każdym zakamarku moich nerwów, i tak zawsze wrócić do jednego słowa. Dzwony.

Przycisnąłem dłoń do skroni. Dźwięk pozostał, stracił tylko swoje metaliczne brzmienie.

Pod wieczór zrobiło się gorzej. Wiatr przybrał na sile, chwilami parł na ściany jak ogromne, ciężkie zwierzę. Ciekawe. Ilekroć chodzi o hałas dobiegający z zewnątrz, przychodzą mi na myśl zwierzęta.

Nie zaszkodziłoby posłuchać z taśmy dźwięku prawdziwych dzwonów, nagranych na przykład w górach, podczas jakiejś uroczystości. Zresztą niekoniecznie dzwonów. Posłuchać czegokolwiek, co nie byłoby odgłosem własnych kroków, gadaniem do siebie, słowem ciszą, ze wszystkim, czym daje znać o sobie.

W bazie nie ma żadnych odbiorników, poza specjalistycznymi. Nie istnieje przecież na kuli ziemskiej stacja holowizyjna czy radiowa, która nie milczałaby od dwudziestu lat. Co właściwie miałbym robić z odbiornikami?

Jednak na świecie są, a przynajmniej były, także trivifony, bivifony, wreszcie zwykłe kasety dźwiękowe.

Czy można zgromadzić zapas filmów holowizyjnych na dwadzieścia lat? Taki, żeby nie zwariować od oglądania w kółko tego samego? Nie wiem. Wątpię jednak, by ci, którzy zdecydowali o wyposażeniu samotnych strażnic, łamali sobie głowę nad problemami repertuarowymi. Raczej w ogóle o nich nie pomyśleli. Lecąc w kosmos, także nie zabieramy ze sobą filmów. Pilot ma czuwać, a nie wzruszać się losem Anny Kareniny czy innej Ofelii.

Dotyczy to również pilotów pełniących służbę na Ziemi.

No, ale muzyka?

Właściwie mógłbym skoczyć do miasta i zaopatrzyć się w jakieś taśmy. Coś, od czego nie ogłupiałbym do reszty. Na przykład Bacha. Albo opętanego próżnią Rostowa, z jego "Suitami Kopernikańskimi".

Czemu nie miałbym tego zrobić? Jak dotąd, radzę sobie nie najgorzej. Dobiega końca trzeci tydzień pracy. Chyba dość, jak na pierwszy egzamin.

Pójde do miasta. I tak prędzej czy później musiałbym się zdecydować. Zajrzeć do Centrali.

Posprzątać Tarrowsenowi gabinet, żeby nie padł trupem, kiedy wróci.

Tej nocy nie miałem snów. Spałem długo i zbudziłem się wypoczęty. Wiatr ucichł. Z zewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy.

Przed wyjściem przełączyłem aparaturę łączności na namiar. Sprawdziłem zasilanie komputera i posterunków obserwacyjnych. Po namyśle zabrałem rezerwowego nadajnik, na wypadek gdyby znowu przyszło mi do głowy zostawić jeden z nich pod jakimś drzewem.

Droga w dół zbiega nie zajęła mi więcej niż pół godziny. U wylotu przecinki zbieczyłem, żeby rzucić okiem na miejsce, gdzie mój automat rozprawił się z rzeczywistym czy urojonym intruzem.

Wczorajsza wichura zrobiła swoje. Czerń pogorzeliśka ustąpiła miejsca szarości. Tu i ówdzie prześwitywały już kielki świeżej trawy. Przyroda szybko teraz leczyła zadawane jej rany. Zbyt szybko, jak na mój gust. Oznaczało to bowiem, że i tamten pierwszy wypalony krag, pod miastem, powstał bardzo niedawno. Inaczej zarósłby już trawą. A jeśli tak, to sprawcy są blisko. Chyba że był tylko jeden sprawca, i że to on właśnie nie odpowiedział w porę mojemu automatowi.

Postałem jakiś czas, nasłuchując, czy między drzewami nie odezwie się głos świadczący o

obecności kolejnego kandydata do całopalenia. Ale tu, na dole, nie było nawet ptaków. W niskiej trawie mogłaby się ukryć najwyżej jaszczurka.

Wszedłem do miasta tą samą drogą, co za pierwszym razem. Minałem zewnętrzną estakadę i rozejrzałem się. Pamiętałem to miejsce dość dokładnie. Mimo to zmitrężyłem chwilę, zanim udało mi się odnaleźć koło, różniące się od otoczenia jedynie jaśniejszym odcieniem zieleni. Zatrzymałem się.

A więc to tutaj trzy tygodnie temu ujrzałbym... kogo?

Tym razem udzieliłem sobie odpowiedzi na to pytanie. Mojego poprzednika. A kogóż by innego? Pilota, i to o kwalifikacjach wyższych niż moje. Ja nie zdążyłem przejść dodatkowych, specjalnych przygotowań przed operacją "Sypialnia". Tak samo jak Haleb. Dlatego Halebowi nigdy nie powierzono by wachty bezpośrednio przede mną lub po mnie. śpi teraz spokojnie, dla większego bezpieczeństwa zapewne za Oceanem.

A więc pilot. Jeden z tych, którzy nie polecieeli, którzy podobnie jak ja musieli zamienić gwiazdy na cichą Ziemię. Pilot lub jego automat. Zresztą, nad czym ja się zastanawiam. Sam mi to przecież powiedział. Że. chodzi na polowania i że nie sprawiają mu one przyjemności.

Przesłuchiwałem taśmy z zapisem jego głosu. To na pewno nie był głos Ala.

Pilot. Kolega.

Wybrał się do miasta. Dotarł do tego miejsca i usłyszał lub ujrzał coś, na co znalazł jedną odpowiedź. A potem? Stał pewnie chwilę, zastanawiając się, jak mogło do tego dojść. Wszedł do miasta. Jeśli, jak miałem prawo sądzić, spędził trochę czasu poza Ziemią, czy może nawet poza Układem, nie ominął Centrali. Doszedł do bramy...

Czy zastał ją otwartą? Czy też wdał się w pogawędkę z automatem strażniczym, w wyniku czego...

Nonsens. Tego nie zrobiłby nikt, należący do zespołu Centrali. Nikt przy zdrowych zmysłach. Pięknie. Wszystko się zgadza, jak w starym samochodzie. Poza drobiazgiem. Ktoś to jednak zrobił.

Istnieje sposób, żeby się przekonać. Nie wolno nam, czuwającym, kontaktować się ze sobą. Tym bardziej nie wolno budzić śpiących poprzedników bądź następców. Ale ostatecznie mogą wyleźć na szczyt bazy, spaść i złamać sobie kręgosłup. Albo utopić się, zażywając kąpieli bez asysty automatu.

Jeśli umrę, wyręczy mnie aparatura. Po prostu, gdybym przez cztery kolejne doby nie pokazał się u siebie w bazie, komputer wezwie pomoc. Ale nie muszę od razu umrzeć. Mogę wrócić z obchodu ciężko kontuzjowany. Wówczas będzie mi wolno zerwać plombę, otworzyć blok alarmowy i nacisnąć mały czerwony klawisz. Duży klawisz, tej samej barwy, obudziłby miliony. Ten zaalarmuje tylko hibernator najbliższej bazy. Pół godziny później przybędzie zmiennik. No dobrze. Jednak, jak dotąd, żyję. I nie jestem kontuzjowany. Naturalnie, jeśli nie liczyć tych dzwonów, które zaległy się w mojej głowie. Ale one nie czynią mnie jeszcze niezdolnym do służby.

Ruszyłem w dalszą drogę. Nie pozwolę tej ciszy zrobić z siebie durnia. Czy ktoś może podejść do bazy nie zauważony przez moje automaty? Czy nie zaprogramowano ich właśnie z myślą o takiej ewentualności? Wystarczy przypomnieć sobie oczy Marteau, kiedy nazywał siebie starym osłem. Jeśli nawet był w życiu osłem, to z całą pewnością nie wtedy. I wiedział o tym. Zrozumiał, że się zagalopował. Że zepsuł nam ostatnie chwile. Wycofał się. Gestem, uśmiechem, słowami. Ale nie wycofały się jego oczy.

Zostawiono mnie tutaj, żebym pilnował spokoju ludzi i Ziemi.. Sam. Zatem sam przekonam się, co mógł, a czego nie mógł, zrobić mój poprzednik.

Spiralna estakada, prowadząca na obrzeże najniższego tarasu miasta, była tuż. Pomyślałem, że to nie najgorsze zajęcie, takie bajdurzenie po drodze. Od dobrej chwili dzwony milczały. Było po prostu cicho.

Nagle za sobą usłyszałem stuk. Jakby ktoś tupnął, specjalnie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Odwróciłem się jak na sprężynie, chwytając miotacz.

Spod najbliższego wiaduktu wyskoczyła sarna. Przebiegła zgrabnymi susami kilkanaście metrów, zawróciła, wysoko wyrzucając nogi i zatrzymała się. Widziałem wyraźnie jej czarne chrapki. Wielkie błyszczące oczy wpatrywały się we mnie z wyrazem żywego zainteresowania. Odetchnąłem.

- A tobie się zdaje - powiedziałem - że jesteś tutaj sam...

Mój głos zabrzmiał sucho. Sarna przysiadła na tylnych nogach, skoczyła i zniknęła za filarem. Patrzyłem za nią jakiś czas, ale pod wiaduktem nic się już nie poruszało.

Poprawiłem pas podtrzymujący miotacz i ruszyłem dalej.

Bez przeszkód wspinałem się na trzeci poziom. Boczny chodnikami, omijając centrum dzielnicy, dotarłem do parku otaczającego Centralę.

Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju. Nedorzecznosc, ale tak było. W pewnym sensie miałem nawet powody do zadowolenia. Groźba ciszy stała się znowu realna.

Po przestrzelonym automacie nie pozostało śladu. Roślinność wokół pawilonów była świeżo przycięta, a ziemia wygrabiona.

Szedłem czystą alejką w głąb zabudowań z uczuciem chłopca, który włamał się do czyjogoś sadu i tylko czeka, kiedy wyskoczy gospodarz z kijem w garści.

Brama głównego pawilonu ustąpiła lekko, bez szmeru. Wszedłem na górę i przystanąłem przed wejściem do gabinetu Tarrowsena. Spróbowałem otworzyć drzwi. Były założone solidnie, bez pośpiechu. I zamknięte. Nie musiałem ich wyłamywać, żeby się przekonać, czy wewnątrz także zrobiono porządek. Byłem tego pewny.

Wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem. Minąłem pojazdy słoczone na placu, który uprzątnięto do ostatniego strzępka folii, i opuściłem teren Centrali. Wkrótce ujrzałem przed sobą pierwszy z pasaży handlowych.

Wybrałem najprostszy aparat z pojedynczym wzmacniaczem laserowym wielkości szpilki i cztery kasety. Niecałe pięćdziesiąt godzin nagrania. Wtedy uprzytomniłem sobie, że nie mam wizytówek. Zachciało mi się śmiać. Pomyślałem o wszystkim, tylko nie o zakupach. Ciągi żywnościowe i konfekcyjne były mi potrzebne, jak umarłemu kadzidło. A za towary przemysłowe trzeba płacić. W całym mieście znalazłbym może dwa, trzy magazyny, przyjmujące bezpośrednio przekazy, tłoczone na plastikowych krążkach. Od dziesięcioleci utarł się zwyczaj płacenia arkusikami wizytowymi, z zakodowanym adresem i numerem konta. Wduśliłem klawisze z symbolami wybranych towarów i dłuższą chwilę szamotałem się z automatami, wydającymi paczki. Nic z tego. Nawet gdybym odszukał kontakt i uruchomił przekaźniki, dostanę figę. Oczywiście, mógłbym rozwalić którąś ze szklanych płyt chroniących składowiska i wystawy. Ale w końcu zostawiono mnie tu nie po to, żebym okradał ciągi towarowe. I demolował automaty.

No cóż. Zostanę przy dzwonach. Przynajmniej nie będę musiał taszczyć ich ze sobą na szczyt najwyższego wzgórza w Parku świateł. Pójdą same, nie czekając na zaproszenie.

Spojrzałem w niebo. Błękit pociemniał, spod wzgórz wypelza już fiolet. Dzień dobiega końca. Czas wracać.

Kiedy wyszedłem na łąkę, poczułem chłód. Miasto leżało w stałej strefie klimatycznej. A jednak różnice temperatur między dniem i nocą były teraz większe niż kiedykolwiek. No talk, przez dwadzieścia lat satelity pilotujące miały prawo się rozregulować. Lub zboczyć z wyznaczonych orbit.

Przyśpieszyłem. Staralem się nie patrzeć za siebie i nie rozglądać. Jakbym miał nadzieję, że idąc tak, pozornie zatopiony w myślach, sprowokuję kogoś, by zechciał z tego skorzystać. Prędzej czy później muszę zrozumieć, o co tu naprawdę chodzi. Raczej prędzej. Oczywiście, jeśli mam zrobić swoje. Postarzę się z godnością. Przeżyć.

W przecince leżał cień. Jej wylot jaśniał w górze jak zawieszona nad drogą lampa. Z lewa i z prawa ściany rozciętego poszycia. Gdzieś krzewy wznosiły się powyżej mojej głowy i wtedy miałem przed sobą tylko mroczny tunel z odległym światełkiem w perspektywie.

Poczułem głód. Dotknąłem kieszeni na piersi i namacałem twardą kostkę koncentratu.

Jeszcze poczekam. Za dziesięć minut będę na miejscu.

Z tyłu dobiegł chrzęst łamanych gałązek. Obejrzałem się. Przecinka była pusta. Łąka z pojedynczo rosnącymi drzewami zniknęła już w mroku.

Zacząłem iść szybciej. Czuję w piersiach zimne powietrze, starałem się oddychać miarowo, ale przychodziło mi to z trudem. Nic dziwnego. Cały dzień na nogach. I bez nadziei na kominiek w jakimś zapomnianym przez ludzi schronisku.

Znowu zaszeleściło. Powiedziałem sobie, że tam nic nie ma. Że nie muszę się odwracać.

Odetchnąłem głęboko i usłyszałem głuchy stuk, jakby tuż za moimi plecami. Nie wytrzymałem i spojrzałem za siebie.

Na ścieżce stał duży jeleni. Głowę trzymał pochyloną, jego rogi sterczały jak rozstrzelone harpuni.

Uśmiechnąłem się. No tak, zwierzęta. Oczywiście, nigdy w życiu nie widziały człowieka. Nie wiedzą, czego się po nim spodziewać.

Przyjrzałem się jego chrapom, oczom, wygiętej szyi. Uderzyło mnie coś nienaturalnego w ruchu łba. Jego nogi były sztywne jak protezy. W tym samym momencie łeb pochylał się jeszcze niżej. Jeleni ruszył. Bez wdzięku i sprężystości, cechujących zwierzęta. Jakby sunął nad powierzchnią ziemi z równomiernie rosnącym przyśpieszeniem.

Kiedy dotknąłem spustu, był nie dalej niż piętnaście metrów. Rozległ się jadowity syk. Oślepił mnie błysk.

Cofnąłem się kilka kroków. Machinalnie nasunąłem na głowę kaptur. Zapiąłem kołnierz i włożyłem rękawice. Poprawiłem ogniwa energetyczne, które naraz zaczęły mi ciążyć.

Wszystko to robiłem powoli, jakby pokonując opór zgęszczonej atmosfery. W końcu ruszyłem w stronę wypalonego na ścieżce kręgu, pokrytego świeżym kopciem.

W lesie zapanowała zupełna cisza. Ptaki umilkły. Gałęzie drzew trwały nieruchomo. Idąc

strącałem z nich coś jakby płatki czarnego śniegu. Nie było mi już zimno. Przewiesiłem miotacz przez plecy i wydobyłem z kieszeni anten-ki analizatora. Połączyłem styki. Nie zabrałem tablic, ale pamiętałem je na tyle, żeby rozszyfrować cyfry ukazujące się w podświetlonym okienku. Szczypta związków organicznych, a poza tym tylko metal. Prawdopodobnie zwykła stal.

- Bajka o żelaznym wilku - powiedziałem głośno. - Jeleniu - poprawiłem się. - W gruncie rzeczy wychodzi na jedno. Wiesz już, jakie były te polowania twojego poprzednika. Możesz sobie pogratulować. Nie będziesz musiał zabijać zwierząt... a trofea i tak zdobędziesz. Na przyszły raz uważaj, żeby nie uszkodzić rogów...

Schowałem analizator, odwróciłem się i z pozornym spokojem zacząłem iść dalej pod górę. Do bazy dotarłem po kwadransie. Zamknąłem za sobą drzwi i skrupulatnie sprawdziłem zamek. Wziąłem prysznic, odrobinę za gorący. Serce biło mi głośno, z przyjemnością patrzyłem na parującą wodę ściekającą po mojej poczerwieniałej skórze, pod którą jednak wciąż czułem chłód, jakby tkwiły w niej kryształki topniejącego lodu.

Zjadłem spóźniony obiad, przejrzałem pobieżnie całodzienne zapisy i wyciągnąłem się w fotelu. Nie chciało mi się spać.

W pierwszych dniach wchodząc do bazy zostawiałem dzwony na zewnątrz. Nie potrafię powiedzieć, kiedy ich niski, modulowany dźwięk, raczej obecny aniżeli słyszalny, wypełnił wnętrze kabiny. Zresztą to nie ma znaczenia.

Przypomniałem sobie kasety z nagraniami, których nie mogłem przynieść z miasta.

Wzruszyłem ramionami.

- Możesz pośpiewać - powiedziałem. - O, tak... - wydałem kilka nieokreślonych pomruków. Ucichłem.

- Jeśli już chcesz się wygłupiać - zauważyłem po chwili -rób to przynajmniej z wdziękiem. Nie tak, jak ten jeleń.

Spróbowałem zagwizdać. Odkryłem, że wargi mam spierzchnięte jak po wielogodzinnym marszu przez pustynię.

Zaczął się czwarty tydzień służby. Zostało dziewiętnaście lat, jedenaście miesięcy i sześć dni. Nie, pięć. Mój wzrok powędrował w stronę matowego pasa między pulpitem a ekranami. Mogłbym na nim znaczyć mijające dni. Jeszcze jedna czynność. Przyspieszenie rytmu. Rozejrzałem się za czymś, co zastąpiłoby mi kredę. Nie powinna być biała. Najlepiej niebieska. Albo ciemnoczerwona.

Stop! Jeśli raz zacznę liczyć, nie poprzestanę na dniach. Zacznę odfajkować kwadrans, potem minuty...

Wyobraziłem sobie człowieka stojącego przed pulpitem z kredą w ręku i patrzącego na zegarek. Usłyszałem jego głos. "Raz" - kreska. "Dwa" - nowa kreska. "Trzy..." To był mój głos. Stop.

Wstałem i zacząłem chodzić po kabinie.

Metal. Stal, po której pozostają wirujące płyty sadzy. Ewolucja nieorganiczna. Zostawia się w lesie kawałek żelaznego drąga i idzie spać. Po dwudziestu latach wstajesz, bierzesz strzelbę i wracasz z pięknym porożem.

- Jeleń - powiedziałem z uznaniem. - Był jak złoto. Dobre trzysta kilogramów żywej wagi. Żywej?

- To cisza - mój głos zabrzmiał mocniej. Jakby wszystko zależało od tego, czy zdołam komuś wmówić, że to naprawdę tylko cisza. - Cisza - powtórzyłem. - Reszta jest bajeczką o żelaznym wilku. Dzwony. Hałasy po nocach. Liczenie minut. Jeleń. Dobrze, że nie krasnoludek w spiczastej czapce. Z długą siwą brodą, ładnie zaokrągloną u dołu. Stoi na ścieżce i grozi palcem. A kiedy podejdziesz, okazuje się, że zamiast krasnoludka jest jedynie popiół po zagaszonym dopiero co ognisku.

Zatrzymałem się. Biorąc na zdrowy rozum, nie ma metalowych jeleni. Ten, którego spotkałem, był częścią ciszy. Jak te wszystkie nie istniejące dźwięki.

Wróciłem do przedsiönka i wyjąłem z kieszeni bluzki podręczny analizator. Jego okienko było czyste. Albo po odczytaniu danych skasowałem zapis, albo nigdy go nie było.

Zważyłem w dłoni płaski aparacik i umieściłem go z powrotem w kieszeni. Przeszedłem do kabiny i zatrzymałem się przy wejściu do niszy, obok aparatury diagnostycznej. Przebiegłem wzrokiem jej ślepe, wygaszone ekrany.

- Nie - powiedziałem twardo. - Nie.

Nie czuję zmęczenia. Moje mięśnie są posłuszne. Mówię sobie: "pójdę zobaczyć, czy jest jakiś zapis w okienku analizatora" i rzeczywiście idę. Mój umysł funkcjonuje normalnie. Narzuca wolę ciała.

Jeleń, wypalone kręgi, bałagan w Centrali, który nagle znika, wszystko to są chwilowe zaburzenia. Nie ma stalowych zwierząt. Nigdy nie było ich na tej planecie i poza nią także. Niemożliwe, żeby pojawiły się i rozmnożyły w ciągu dwudziestu lat.

Tę sprawę należy uznać za załatwioną.

- Zdecyduj się - mruknąłem po chwili. - Kiedy mianowicie twój umysł funkcjonuje normalnie, a kiedy nie? Bo wiele przemawia za tym, że idąc pierwszy raz do miasta byłeś odrobinę mniej zwariowany niż teraz. Nie tęskniłeś jeszcze do holowizji, a dzwony grzecznie czekały za drzwiami. Jeśli wtedy widziałeś spaloną trawę, przestrelony automat, wywalone drzwi gabinetu Tarrowsena i tak dalej, to znaczy, że godzinę temu naprawdę atakował cię żelazny jeleń. W takim razie...

- A skąd mogę wiedzieć - przerwałem sam sobie - że wtedy rzeczywiście coś widziałem? Może to tylko dziś moja chora wyobraźnia podsuwa mi obrazy, rzekomo kiedyś już odcisnięte w pamięci?

- Łatwo się przekonać - odparłem. - Wystarczy podejść do przystawki rejestrującej, cofnąć zapis i włączyć fonię. Od początku gadasz sam do siebie...

Mimo woli zrobiłem ruch w stronę pulpitu komputera. Zatrzymałem się jednak. Nie. Po pierwsze, nie powinienem ani na sekundę zatrzymać biegu taśmy. Po drugie, tego rodzaju autoinspekcja oznaczałaby całkowitą kapitulację.

Niczego jeszcze nie załatwiłem.

Samotność i cisza to otwarte na oścież drzwi, przez które może wejść wszystko. To nie konkretne zjawiska, a brak konkretów. To pustka czekająca na treść.

Już wiem, czemu posądzam się o halucynacje. Znowu ta psychologia. Odosobnienie, brak stymulacji powodują, że ludzie zaczynają widzieć bryły geometryczne zdobione krętymi ścieżkami z punkcików, zębate koła, ba, nawet pseudoklasyczne wazy z festonami kwiatów. Ja żyję w odosobnieniu, a zatem, jeśli spotykam stalowego jelenia, to on musi być przywidzeniem. Oto zgubne skutki wiedzy. Nałykałem się tej psychologii. Pilot nie ma prawa popadać w melancholię, nie mówiąc już o schizofrenii. Musi umieć powściągać lęk, smutek, tęsknotę. Dlatego uczono mnie, poddawano testom i znowu uczono. Dlatego właśnie, ponieważ wiem, że "deprywacja sensoryczna powoduje u człowieka między innymi halucynacje wzrokowe", wmawiam w siebie jakieś omamy. W moim wypadku to piękne zdanie jest bowiem bezprzedmiotowe. Ja nie straciłem kontaktu z otoczeniem. Odbieram informacje z Ziemi i z kosmosu. Jestem tutaj w wyniku umowy, jaką zawarłem ze społecznością. Czyli moja wiedza psychologiczna jest dziurawa jak sito. A w każdym razie zbyt skwapliwie podsuwa mi odpowiedzi na nie postawione pytania.

Natomiast stan moich nerwów istotnie pozostawia coś niecoś do życzenia. Na to zgoda.

Nieobecność ludzi, pustka, cisza - wszystko to wyolbrzymia zagrożenia. Cierpię na niepewność. Inaczej mówiąc, na lęk. Nie strach, ten nie wchodzi w rachubę. Lęk. Wzruszyłem ramionami.

- Dziurawą, nie dziurawą, jakąś tam wiedzę przecież masz - powiedziałem. - Użyj jej teraz.

- A proszę cię bardzo - mruknąłem. - Doskonale wiem, co robić. Patrzeć na wszystko z dystansem. Z poczuciem humoru. Poza tym mieć przy sobie kogoś, na kim można się oprzeć. Kogoś, kto od czasu do czasu pogłaskałby mnie po głowie. Kto będzie spokojny i małomówny. Zapamiętaj zwłaszcza to ostatnie. Małomówny. Tak się składa, że na świecie jest teraz tylko jeden człowiek, który mógłby grać przy mnie rolę psychoterapeuty. Podejmiesz się?

Potrząsnąłem głową.

- Nie. Raczej poprzestanę na owym dystansie i poczuciu humoru. Zobaczymy.

Przeciagnałem się i ziewnąłem.

- Teraz - - powiedziałem - mógłbym znowu posłuchać muzyki...

Minał miesiąc. Nastąpiło kilka dni deszczowych. Przeprowadziłem pomiary i stwierdziłem, że satelity klimatyczne ani się nie rozregulowały, ani nie i zeszły z orbit. Nie było ich po prostu. Że też od razu na to nie wpadłem. Proces "równowagi biologicznej" musiał przecież przebiegać bez interwencji techniki.

Grzęzawisko, jakie pojawiło się na skraju polanki, podeszło pod ściany bazy. Ciszy przybył nowy składnik: kumkanie żab.

Któregoś dnia, wracając z obchodu stanowisk obserwacyjnych, przystanąłem kilkanaście metrów przed kamienistą piramidą i oczami alpinisty zacząłem szukać drogi. Bezpośrednio z trawy wyrastał ogromny, popielaty głaz, właściwie niewielka, przewieszona skała. Nad nią biegła wąska półka, zamknięta skośnie ściętą ambonką. Z tym wszystkim poradziłem sobie w ciągu paru minut. Kłopot zaczynał się wyżej, gdzie osypisko spiczastych kamieni czekało na jedno dotknięcie stopy, żeby się osunąć i runąć w dół. Mimo wszystko kiedyś spróbuję. Nawet jeśli cała zabawa skończy się zjazdem, nie będzie go więcej niż dwanaście metrów.

Przymknąłem oczy. Stałem jakiś czas walcząc z ogarniającą mnie wściekłością, po czym szybkim krokiem ruszyłem ku wejściu. W zagłębieniu przed przedsionkiem zatrzymałem się i sięgnąłem do przełącznika. Kiedy otworzyłem oczy, nie było już głazu, ambonki ani skalnego rumowiska. Ostro lśnił w słońcu gładki owal kopuły.

Przyjrzałem się dobrze, jakbym chciał raz na zawsze utrwalić sobie w pamięci jej kształt i rozmiary.

- Pokazać ci coś jeszcze? - odezwał się. - Służę. Chętnie przeprogramuję dla ciebie projektory fontomatyczne. Powiedz tylko, co chciałbyś zobaczyć.

- Dobra, dobra - dodałem, kiedy echo mojego głosu uciekło między drzewa. - Nie musi być dzisiaj. Namyśl się. Jestem do twojej dyspozycji. Ile razy przyjdzie ci ochota pochodzić po skałach. Albo zapolować.

Kopuła zniknęła. Kamienista piramida wróciła na swoje miejsce. Wszedłem do bazy. Zapaliłem wszystkie lampy, otworzyłem kostkę koncentratu i ćwicząc na niej szczęki, podszedłem do pulpitu. Rozjaśniłem ekran kontrolny głównego hibernatora i zażądałem od komputera wyników obserwacji.

Najdrobniejszy incydent nie zmaćił spokoju ludziom, czekającym we śnie, aż czas usunie skutki pożądlivej niecierpliwości ich dziadków i pradziadków. Energia płynęła nieprzerwanym strumieniem, zasilając generatory, dzięki którym sen milionów ludzi był równocześnie wędrówką ich rasy w czasie. Bo jak nazwać inaczej sytuację, gdy człowiek rozmija się z procesem starzenia swojego środowiska, wyprzedza ten proces lub przeciwnie - zostaje w tyle?

- Grasz fair - powiedziałem z ustami pełnymi jedzenia. - Dajesz czterdzieści lat for swojej biosferze. Sam pozwoliłeś wziąć się innym o pełne dwie dziesiątki. Jesteś jak wahadło. Raz tu, raz tam. Jedyne, co może cię usprawiedliwić, to to, że na nic nie masz wpływu.

Przełknąłem i dodałem:

- A tamtych nawet deszczyk nie pokropił...

Ktoś produkuje i wpuszcza do lasu metalowe jelenie. Robi to z myślą o mnie. Właśnie. Dlaczego upatrył sobie akurat mnie? Dlaczego nie atakuje milionów bezbronych ludzi, zamkniętych w hibernatorze?

- Znowu zaczynasz? - spytałem.

- Masz rację - przyznałem po chwili. - Te miliony wcale nie są bezbronne. Kto śpi, ten nie słyszy dzwonów. Co innego ty. Wytwórca tych jeleni ma czas. Masę czasu. Jego szare komórki pracują bez pudła.

- Chciałeś powiedzieć: "nie tak jak twoje"? Nie krępuj się.

- Nie będę ci psuł humoru przed nocą. Może znowu usłyszysz jakieś hałasy i będziesz musiał trochę pobiegać?

- Zamknij się - warknąłem.

Podszedłem szybko do pulpitu. Przystawka rejestrująca. Szpicel. Powiedziałem sobie kiedyś, że najwyżej sprawię trochę radości tym, co obejmą służbę po mnie. To prawda. Mogę ich zabawiać. Ale nie muszę.

Wróciłem na środek kabiny i rozparłem się w fotelu.

Cisza. Jakby ktoś otworzył wszystkie piszczałki organów. Ale zapomniał o miechach.

Niebo świeciło jak pożar, ale w powietrzu czuło się wilgoć. Miasto było na wyciągnięcie ręki.

Jak przypuszczałem, nie pozostało już śladu po wypalonych kręgach. Nie było odcisków kopyt na ścieżce. Nie było nic, prócz zieleni, ziemi i milczących zabudowań.

Szedłem prosto w stronę Centrali. Chciałem zapaść się dalej. Obejść cały hibernator.

Oczywiście, nie pieszo. Nie wolno mi nocować poza bazą. Nawet gdybym zamarzył o biwaku u stóp śpiącej królowej.

Przyszło mi to na myśl parę dni temu. Dość tego zdzierania butów. Na zapleczu Centrali mieści się baza transportowa. Ma niby ułatwiać życie sztabowcom, wizytującym poligony. Osobiście zawsze podejrzewałem, że chodzi raczej o to, aby przykuci do biurka eks-piloci mogli sobie w każdej chwili bodaj popatrzeć na te pękate, wielotonowe pojazdy, z których wieźcyzek człowiek z takim spokojem, a nawet pobłażliwością ogląda pustynie i góry obcych globów.

Zaraz za ogrodzeniem skręciłem w boczną drogę. Minąłem rejon pawilonów i kilka minut później stanąłem przed podłużną halą uzbrojoną w masywne dźwigi.

Wszystkie wejścia były zamknięte. Magnesy nie działały i kosztowało mnie sporo trudu, żeby otworzyć jedną z tunelowych komór, mieszczących pojazdy eksploracyjne przystosowane do pracy w warunkach silnych pól grawitacyjnych. Regulaminy, których nikt nie czytał, operowały nazwą: "Łąd-atmosfera-ład". W skrócie: LAL. Na Ziemi zasięg tych maszyn stawał się praktycznie nieograniczony. Ale też nie robiono ich z myślą o Ziemi. Oprócz zwykłych miotaczy, każdy był wyposażony w automatycznie sterowany akcelerator antyprotonów. Mogło się wydawać dziwne, że nie zadbano o skuteczniejsze zabezpieczenie tej hali, skoro okazano tyle troski, by z mojego mieszkania na górcie zrobić kupę gruzów. Inna rzecz, że konstrukcje i wyposażenie zaplecza transportowego znali, prócz stałego personelu, tylko piloci. A tych wysłano w kosmos. Niemal wszystkich.

Z magazynu w podziemnym bunkrze wyostałem zapalniki i uruchomiłem zasilanie. Stanąłem

na pochyłym podejździe i dałem sygnał.

Z tunelowego boksu dobiegł syk, który wkrótce przeszedł w narastający grzmot. Buchnął dym. Łoskot wzmógł się, ściany budowli zadrzały.

Co za ulga. Poczułem, że moje mięśnie rozluźniają się, jak podczas masażu. Napięcie, w którym, nie zdając sobie z tego sprawy, żyłem od wielu dni, spłynęło, pozostawiając bezwład ramion i leniwy poszum krwi w skroniach. Osunąłem się na kolana. Wyrzuciłem przed siebie obie ręce i na nich złożyłem cały ciężar ciała. Uśmiechałem się. Powieki zaczęły mi ciążyć, jakbym tydzień obywatel się bez snu.

Wrócił mój świat. świat pilota. Za chwilę wszystko ucichnie. Napęd "lalki", jak nazywaliśmy między sobą te pojazdy, pracuje bezgłośnie. Tylko rozruch silnika przypomina wybuch wulkanu.

Dym przeredził się. Z czeluści tunelu wyrzwał owalny, przyplaszczony łeb. Nie mogłem pojąć, po jakiego diabła mordowałem się tak do tej pory. Czym są te wszystkie dzwony, piszczałki i bucuki wobec głosu odpalających turbin.

Na burcie pojazdu widniał biały napis: LAL 25. "Laleczka". Podeszedłem i poklepałem zielonkawy, szorstki pancerz. Wspiąłem się po talerzowatych stopniach i zająłem miejsce za sterami. Chwilę wodziłem palcami po gałkach przyrządów, po czym ruszyłem, od razu nabierając prędkości. Zakręciłem w miejscu, celując dziobem w stronę placu przed głównym pawilonem i otworzyłem wszystkie dysze. Pojazd skoczył. Przyspieszenie wgniotło mnie w fotel, przez chwilę widziałem tylko niebo nad sobą, odrobinę przybladłe, zasnuwane obłokami spalin.

Wpadłem na podjazd, przeleciałem krótką, szeroką aleję, minąłem bramęomal nie zawadzając o narożnik i runąłem w ulice. W twarz biły mi uderzenia wiatru, niemal dostrzegałem wyprzedzające mnie w pędzie spiętrzone powietrze. W pewnym momencie usłyszałem pod sobą zwielokrotniony grzmot, jakbym jechał po stalowej pokrywie jakiegoś swoistego pudła rezonansowego. Nie wiedząc kiedy skręciłem w pas zastrzeżony dla pieszych. Chodnik stał, oczywiście, bez ruchu. Dysze nośne "lalki" biły w jego cienką płaszczyznę, obliczoną na przenoszenie równomiernie rozłożonego ciężaru osób.

Pomyślałem, czy wytrzyma i jeszcze przyśpieszyłem. Zachciało mi się śmiać. Z łoskotem, od którego drżały ciężkie wsporniki wiaduktów, przeleciałem nad główną magistralą i stoczyłem się najbliższą ślimacznicą w rejon wąskich uliczek central zaopatrzeniowych. Nikt nigdy tędy nie jeździł, ludzie omijali tę dzielnicę automatów, nieliczni przechodnie posługiwali się eskalatorami i, chodnikami. Pędziłem tunelem, ściany magazynów i składowisk po obu stronach rozjęczały się, znowu zadzwoniło szkło, zawtórowały mu metalowe konstrukcje hal. Zacząłem śpiewać. Mój głos tonął w lawinie dźwięków. Wyprostowałem się w fotelu, otworzyłem szeroko usta i wykrzykiwałem strzępy jakichś melodii, piosenek, pojedyncze słowa, bez związku i sensu. U wylotu uliczki zamajaczył biały pas obwodnicy. Oczekałem do najbliższej przecznicy, wpadłem w nią, zawróciłem i gnałem znowu wzdłuż wysokich, jęczących hal, wciąż wrzeszcząc i wciąż nie słysząc własnego głosu. Trwało to tak długo, aż gardło ostatecznie odmówiło mi posłuszeństwa. Zakrztusiłem się i ucichłem. Przekazałem ster automatycznemu pilotowi. Ustaliłem kierunek, po czym zwoleńłem oparcie fotela. Podłożyłem ręce pod głowę i wpatrzyłem się w błękit. Nareszcie coś, co na pewno nie było ciszą. Coś realnego. Życie.

Nie zauważyłem, kiedy "lalka" wyniosła mnie z miasta. Zorientowałem się dopiero, gdy niebo ściemniało. W pierwszej chwili pomyślałem o chmurze, ale dzień był słoneczny jak jasnozłoty abażur.

Podniosłem się. Oparcie powędrowało za moimi plecami. Uśmiech zniknął mi z twarzy.

Pochyliłem się nad pulpitem. Napowrót przejąłem stery i zmniejszyłem tempo jazdy.

Przebyłem jeszcze kilkadziesiąt metrów, zostawiając za sobą szeroki pas powalonej zieleni, i zastopowałem.

Ta półkolista góra przede mną, zbudowana z mętnego, niebieskawego szkła, to także rzeczywistość. Ale ona należy do ciszy.

Silniki umilkły.

Przesunąłem dźwigienkę pogotowia. Spod kadłuba wypełzły przezroczyte płyty osłony, szczelnie zamykając wieżyczkę. Kątem oka dostrzegłem opadające wzdłuż burty klapy wyrzutni, miotaczy, reflektorów analizatora i anten. Czy tamte czarne kręgi były tylko tworami mojej wyobraźni, czy nie, pola siłowe otaczające hibernator istniały naprawdę. Musiałem respektować ich obecność, jeśli sam nie miałem zmienić się w obłoczek sadzy.

Wyprostowałem się w fotelu, utkwiliem wzrok w łące, tam gdzie stykała się z zewnętrzną osłoną siłową i powoli ruszyłem z miejsca.

Minęło dwie i pół godziny. Jadąc wciąż po obwodzie hibernatora zrobiłem już ponad sto osiemdziesiąt kilometrów. Po lewej ręce miałem cały czas półprzezroczystą ścianę, pozornie prostą. Jej wybrzuszenie było widoczne dopiero w górze, u szczytu, gdzie zbiegały się pola

parasola siłowego. Miasto znalazło się po przeciwnej stronie półkuli. Przede mną tylko soczysta łąka, z porzucanymi kępami ostów. Nigdzie ani śladu czyjejs obecności. Nie mówiąc już o byle jak zagaszonych ogniskach.

Wszędzie dokoła spokój. Niewzruszony, uroczysty, zimny. Tutaj z pewnością nie udałoby mi się zaśpiewać.

Licznik wybijał kilometry. Na horyzoncie zaczęły wyrastać wzgórza. Wracalem do Parku świateł, tym razem z południa, gdzie park stawał się karłowatym laskiem, porastającym obszar polodowcowych pagórków. To znaczy, tak było kiedyś. Teraz, jak okiem sięgnąć, widać tam zwarty gąszcz drzew, tkwiących w wysokim poszyciu.

Nie zmieniając szybkości jechałem aż do momentu, gdy przez błonę siłowej kopuły ujrzałem rozmazane zarysy miasta. Wtedy odbiłem kilkanaście metrów od ciągu zewnętrznych emitorów i zastopowałem.

Zrobiłem swoje. Postąpiłem zgodnie z żelaznym prawem eksploracji. Jakakolwiek wątpliwość, jeśli już zaistnieje, musi zostać wyjaśniona.

Żadne zwierzę ani człowiek nie atakowały hibernatora. Wskaźniki poboru mocy mówiły prawdę. Generatory ani na ułamek sekundy nie zostały zmuszone do zwiększenia wydajności, aby zażegnać niebezpieczeństwo: zniszczyć istotę bądź przedmiot, który znalazł się podejrzenie blisko.

Dobrą chwilę siedziałem bez ruchu. Wreszcie bez przekonania sięgnąłem do pulpitu i otworzyłem wieżyczkę. Powietrze było nieruchome. Cisza.

Ruszyłem. Przebyłem dalsze dwieście metrów kierując się w stronę lasu i wyłączyłem silniki. Odruchowo wcisnąłem klawisz sygnału namiarowego, jak tylekroć na obcych globach, poklepałem się po kieszeniach, sprawdzając, czy aparatura jest na swoim miejscu i zeskoczyłem na trawę. Nie pomyślałem dotąd, co zrobię z "lalką" po zakończeniu rundy wokół hibernatora. Kiedyś, oczywiście, odstawię ją na miejsce. Na razie mógłbym ukryć ją w lesie, w sąsiedztwie bazy. Na wszelki wypadek.

Na to zawsze będzie czas. Teraz niech poczeka tutaj.

Skraj lasu był blisko. Szedłem tam bez określonego zamiaru. Przebiegło mi przez myśl, że mógłbym wspiąć się na najbliższe wzniesienie i wrócić do bazy grzbietami. W ten sposób lepiej zapoznałbym się z terenem otaczającym moją pustelnię.

Przypomniałem sobie potępieńczą jazdę ulicami miasta. Wzruszyłem ramionami i machnąłem ręką. Lepsze to niż metalowe byki. Albo wspinaczka po fałszywych głazach.

Wszedłem między drzewa. Zdawałem sobie sprawę z tego, co mnie czeka. Pionierskie poty, szarpanina z kolczastym poszyciem, rozlewiska. Ale droga "lalką" wokół hibernatora nie zajęła mi nawet pięciu godzin. Do wieczora było daleko. Nie musiałem się śpieszyć.

Nagle przed sobą usłyszałem jakiś głos. Dobiegł z miejsca zasłoniętego przez grupę wysokich buków. Stałem. W najbliższym sąsiedztwie nie rośło jak na złość żadne drzewo, za które mógłbym się schować. Pierwszy duży krzak był oddalony o kilka metrów.

Dźwięk zabrzmiał ponownie, jakby bliżej. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysiągłbym, że woła człowiek. Może nie "woła". Raczej pokrzykuje, jak to robią dzieci, zbiegające ze stromego zbocza. Trochę ze strachu, a trochę dla okazania junackiej fantazji. Wyprostowałem się i zawołałem: heej...!

Echo mojego głosu biegło jeszcze od wzgórz, kiedy tuż obok mnie zabrzmiał szept:

- Halo...

Skamieniałem. Nieskończenie powoli powędrowałem wzrokiem ku najbliższemu zaroślom.

- Halo... Pochyliłem się do przodu.

- Nie ruszaj się! - wyszeptano. Słowom towarzyszył szelest, jakby ktoś w gąszczu zmieniał pozycję.

- Wyjdź - powiedziałem półgłosem.

Miałem wrażenie, że to, co się dzieje, nie dotyczy mnie bezpośrednio. Jakbym oglądał transmisję przesuniętą w czasie. Dobiegający moich uszu dźwięk nie kojarzył mi się z żadną istotą. Nie potrafiłbym wyobrazić sobie mężczyzny ani kobiety mówiących takim głosem.

- Nie. Chcę tylko, żebyś wiedział. Uważaj. Jest ktoś, kto potrzebuje twojej pomocy. Niejeden. Ale pamiętaj: nikogo nie spotkałeś. Nikt ci nic nie mówił. Słuchaj. W lesie...

Szelest. Ułamek sekundy ciszy i nagły łoskot, jakby zerwało się spłoszone zwierzę. Tupot nóg, na odmianę z góry. Coś ciężkiego przedarło się przez krzaki i między dwoma bukami na wprost mnie ukazała się sylwetka człowieka. Mężczyzny.

Zamknąłem oczy. Na moment. Mniej niż moment. Kiedy uniosłem powieki, pochwyciłem już tylko szybki, nieokreślony ruch. Ucieczkę. Między drzewami nie było nikogo.

Biegając wycelowałem miotacz. Krzyknąłem krótko. Ale nie czekałem na odpowiedź.

Dopadłem miejsca, gdzie ktoś, kto nie mógł istnieć, stał jeszcze chwilę temu i rzuciłem się w stronę lasu.

- Stój! - wrzasnąłem. - Widzę cię!

Uciekający albo od razu rozszyfrował moje taktyczne kłamstwo, albo było mu obojętne, czy go widzę, czy nie.

Przebiegłem kilkanaście metrów i zatrzymałem się. Milczenie.

Mijały sekundy. Minuty. Wyteżałem słuch, wodząc oczami po okolicznych zaroślach. Nic. Ważąc w dłoni korpus miotacza czekałem chyba z dziesięć minut. Wreszcie dałem za wygraną.

Co to było? Sarna, oglądana z dołu, jeśli się ustawi pod pewnym kątem, może od biedy przypominać swoją sylwetką człowieka. Przy odpowiednim oświetleniu. I wtedy, gdy ktoś spodziewa się zobaczyć raczej człowieka niż sarnę.

Zbłąkany automat, który porzucił pracę przy konserwacji szlaków komunikacyjnych i poszedł na węgry? Nonsens. - Człowiek - powiedziałem. - Coś nowego.

To "coś" było tu naprawdę. Miało mi niejedno do powiedzenia. Ale nie zdążyło. "Jest ktoś, kto potrzebuje twojej pomocy..." Nie ma mowy o halucynacji. Nie dzisiaj, kiedy na kilka godzin rozstałem się z ciszą.

Dlaczego krzyknąłem? Mogłem go mieć. Nie tego kogoś, kto chciał się ze mną porozumieć, ale mężczyznę między bukami. W najgorszym razie w postaci czarnego placka na łące. Zaraz. Mieć, tak. Ale dlaczego "go"? Nie "go". Coś. Przecież nie wiem, co dzisiaj zobaczyłbym w okienku analizatora, gdybym mógł poddać badaniu szczyptę popiołu. Czy nie także wyłącznie związki nieorganiczne? Jeśli nachodzą mnie stalowe jelenie, dlaczego nie miałbym spotkać, stalowych ludzi? Że to coś gadało? Już dwieście lat temu produkowano mówiące roboty. Żadna korzyść, ale i żadna sztuka.

Przetrażanie lasu zajęłoby mi kilka miesięcy. Nawet gdybym uruchomił wszystkie "lalki", tkwiące w tunelowych boksach na zapleczu Centrali.

Pokiwałem głową i opuściłem miotacz. Postąłem jeszcze chwilę, po czym zawróciłem w stronę pojazdu. Postanowiłem ponownie puścić w ruch jego silniki. Chociażby na przekór temu głosowi, który wzywał mojej pomocy dla kogoś, kto nie istniał.

Do zmroku pozostało nie więcej niż trzy godziny. Przystąpiłem do przeprowadzenia pomiarów. Nie proszono mnie o to. Ale nie powiedziano, że bym tego nie robił.

Do głębokości piętnastu centymetrów gleba była praktycznie wolna od związków toksycznych. Na ślad detergentów natrafiłem dopiero przy płytkich wierceniach w skałe macierzystej. Jej wierzchnia warstwa także była czystsza, niżby to wynikało z opracowań instytutów prognozowania. Dopiero pod nią znalazłem to, czego szukałem. Jakby kiedyś eksplodowała w pobliżu gigantyczna składnica wszystkich możliwych odczynników, pochodnych fenolu, kwasów, DDT i czego tam jeszcze, nadającego się do trucia, trawienia, wypalania czy skażania. Ale tak będzie przez kilka setek lat. Nie osiemdziesiąt.

Obecność tych pokładów nie miała istotnego znaczenia. Skała macierzysta związała się, zregenerowała i prawdopodobieństwo wyplukania głębszych warstw należało oceniać jako bardzo niskie. Już teraz można było sadzić warzywa bezpośrednio w gruncie. Jeśli o to chodzi, plan "równowagi biologicznej" obliczono ze sporym zapasem. Zrozumiałe. Wszyscy prognostycy i znawcy procesów przystosowawczych od tylu lat straszili ludzi widmem ekologicznej zagłady, że nie mogło im przejść przez gardło stwierdzenie, ile naprawdę potrzeba czasu na regenerację. Dwadzieścia lat? Niepoważne.

Stałem u podnóża łagodnego pagórka. Wieżyczkę odwróciłem do tyłu. Przed oczami miałem zieleń łąki, kilka drzew, pociemniałe już od wschodu ściany miasta, gasnący błękit nieba.

Sprawdziłem aparaturę łączności, po czym wystrzeliłem sondę. Wskaźnik zanieczyszczenia atmosfery drgnął i zapłonął bladym światłem. Wskazówka powędrowała leniwie w górę skali. Nie dalej niż o ułamek jedności.

Patrzyłem na jej krótkie, kurczowe drgania i zapomniałem o danych przekazywanych z góry. Dowiedziałbym się, że powietrze jest czyste. Może w najwyższych warstwach, przy ruchu większych mas atmosfery, czujniki wychwyciłyby ślady korytarzy startowych przedfotonowych statków.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl. Ramiona mi opadły. Pałce ześliznęły się z pulpitu.

Woda i gleba są czyste, prawda? Podobnie atmosfera. Pięknie.

Jak wobec tego nazwać to, co teraz robię? Nie chodzi o liczby. O proporcje. O procenty czy ułamki procentów. Mogę popełnić jeszcze niejedno głupstwo. Ale nie dopuszczę się zdrady swoich obowiązków.

Ten dym, przy rozruchu silników. Otwarte dysze w czasie szaleńczej jazdy po mieście. Teraz sonda. Przedtem czerwone światło u nasady miotacza. Skażony krąg gleby.

Gram swoją rolę. Ale miesza mi się ona z postacią, występującą w zupełnie innej sztuce.

Takiej, co zesłała z afisza dwadzieścia lat temu.

- Spytaj lepiej - mruknąłem - kogo jeszcze zagrasz? Nawet jeśli będzie ci się zdawało, że cały czas jesteś sobą.

Bez pośpiechu sprawdziłem aparaturę zainstalowaną w mojej bluzie i omijając wzrokiem

wskaźniki wyskoczyłem z wieżyczki. Odszedłem kilka kroków i uruchomiłem nadajnik. Automatyczny pilot zaskoczył od razu. LAL 25 ruszył tyłem i z przeraźliwym trzaskiem łamanych gałęzi wpakował się w środek rozrośniętego krzewu tarniny. Zdalnie zamknąłem wieżyczkę i wyłączyłem silniki. Zapanowała cisza. Prawdziwa i zupełna.

- Znudziły ci się dzwony? - spytałem pogłosem. - To tylko cisza. Wypadłeś z rytmu. Nic więcej.

- No, twoje zdrowie - powiedziałem, wznosząc puchar. Oczekałem, aż mała wskazówka zniknie pod dużą i pociągnąłem łyk. Poczułem zimno w żołądku.

- To mielibyśmy z głowy - mruknąłem. Odstawiłem puchar i przyjrzałem mu się. Kosztował mnie miesiąc mozolnej dłubaniny. Zrobiłem go z jednego kawałka brzoźowego pnia. Wyglądał właśnie jak kawałek pnia, wydrążonego i wspartego na oczyszczonym z kory sęku. Napełniłem go wodą i tak pożegnałem stary rok.

Był to mój drugi sylwester na tym wzgórzu. Pierwszy po pełnych dwunastu miesiącach. To już coś.

Wstałem, wziąłem "puchar" i wrzuciłem go do promiennika na śmieci. Na wszelki wypadek, żeby mi nie wpadło do głowy umieścić go w schowku i pozbawić się zajęcia na przyszły rok.

- Proszę dzwonić - powiedziałem do dzwonów. Nie mogły odmówić.

Bawiłem się świetnie. Miałem na zawołanie syreny, buczi, dzwony i organy. Kiedy mi już dobrze dopiekiły, kazałem im grać. Nie zawsze to pomagało. Ale tym razem wszystko było w porządku. Witam Nowy Rok. Jak świat światem biją wtedy dzwony, pozostałe po latach, kiedy wyrażały coś więcej niż dźwięk. Może i w nas samych zostało coś z tych lat?

- Mniejsza z tym - machnąłem ręką. - Nowy Rok.

Coś sobie przypomniałem. Wróciłem szybko do promiennika, ale mój puchar zmienił się już w kupkę białego pyłu.

- Trudno - zwróciłem się do ekranów, rozkładając ręce. - Za tych, co w przestrzeni, wypijemy innym razem.

Sznury zielonkawych, blade świecących punkcików odpowiedziały mrugnięciem. Skinąłem głową.

- W porządku - stwierdziłem. - Tego właśnie od was oczekiwałem.

Postałem chwilę na środku kabiny, spoglądając w stronę łazienki. W końcu uśmiechnąłem się i poszedłem spać.

Na wiosnę padały deszcze. Mimo to wypuszczałem się z bazy na dłużej. Zawsze zabierałem ze sobą automat. Kiedy grzebałem w łączach aparatów obserwacyjnych, stał tuż za mną z miotaczem gotowym do strzału.

Któregoś dnia otworzyłem jeden ze stożkowatych przekaźników dalekiej łączności i przełączyłem zapis na fonię. Puściłem w ruch bęben. Odszedłem kilka kroków i oparłem się o drzewo.

Dzwony ucichły. Zrobiło się pusto. W następnym ułamku sekundy powietrze ożyło. świat zacych, znajomych dźwięków. Nie świat. Wszechświat.

Iskrzenie na stykach kabli w zepsutym głośniku. Szelest piasku, sypiącego się na membranę. Zrządzenie laserowych końcówek światłowodów. Rozpędzone koło z jedną pękniętą szprychą, miarowo potrącającą blaszaną obudowę. Przerwany terkot muzealnej krótkofalówki.

Tak przemawiają gwiazdy. Tej jednej, najbliższej, nie udaje się przekrzyczeć pozostałych. Cząsteczki promieniowania mówią różnymi językami. Mój komputer wie, co o nich myśleć. Z gąszczu sygnałów nieczęsto wybiera jeden pojedynczy cios, jedno trafienie, by wciągnąć odebraną informację do swojego dziennika. Z dwudziestu lat zrobi kilka dni. Ale i kilka dni słuchania, to za wiele jak na dobrze wyspanych ludzi. Mogę spokojnie puszczać moją muzykę, nie dbając, że w zapisie powstaje tym samym luka. I tak 'nikt nigdy nie zajrzy do tego dziennika.

Nie chcę się niczego dowiedzieć. Nie obchodzi mnie, skąd przybywają goście, których głosu słucham. Nie mogą mi dać nic poza tym głosem.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Polanka przede mną zmieniła się. Zieleni pojaśniła. Głębiej sięgały promienie słoneczne, wynajdujące w poszyciu kępy mchu i kwiatów. Wyobraziłem sobie, że tylko co dotknąłem stopą tego globu i słyszę jeszcze postękiwanie stygnących kratownic rakiety.

- Widzisz - powiedziałem. - Tak to wygląda. Każdy przyzna, że można się przyzwyczaić. To był dobry dzień. Nie otwierałem więcej aparatów obserwacyjnych, żeby posłuchać gwiazd. Czasu nie da się zatrzymać, jak bębna z zapisem. To samo długo znaczy co innego niż to samo krótko.

Mijały tygodnie.

Wracałem z dalekiego obchodu. Zapaściłem się aż w pobliże miasta, aby rzucić okiem na ukrytą w zaroślach "lalkę". Pojazd był tam, gdzie go zostawiłem, ale krzewy odrosły i przez bite dwie godziny przetrząsałem jedną ich kępę po drugiej, zanim wreszcie zamajaczył mi wśród liści skrawek znajomego pancerza.

W połowie zbrocza dopadły mnie bucзки i organy. Dzwony szły ze mną przez cały czas.
- Za długo byłeś poza domem - zgańłem się. - Znowu zapomniałeś o rytmie. Powinieneś sprawić sobie taktomierz. Raz, dwa, pobudka. Trzy, cztery, łączność. Pięć, sześć, śniadanie. Siedem, osiem...

Unosząc wysoko nogi i uderzając stopami jak w paradnym marszu wkroczyłem do przedsionka. Rozebrałem się i wziętem prysznic.

- Delirium - powiedziałem, wracając mokry do kabiny. - Zatrucie. Przedawkowałeś tę ciszę. Z nią jest tak jak z morfiną. Zastanów się. Warto opatentować.

Chyba od tego dnia zacząłem słyszeć taktomierz. "Słyszeć", to złe słowo. Był obecny w przyływach ciszy. Bo ta napierała i cofała się jak morze. Pomimo że grały stale te same piszczałki. I dzwony, na jednej nucie.

Tej zimy spadł śnieg. Wiele razy miałem do czynienia z lodem i śniegiem. Jeździłem nawet na nartach pod marsjańskim Olimpem. Ale ziemski śnieg, wodę w postaci białych płatków, znałem jedynie ze słyszenia. Owszem, moi rodzice byli parę razy w Himalajach i Andach. Ja jakoś nigdy nie miałem na to czasu. Ponoć zdarzały się jeszcze lata, kiedy śnieg padał i w Alpach. Jednak poniżej trzech tysięcy metrów wszędzie już, jeśli nie liczyć stref podbiegunowych, było za ciepło. Dwutlenek węgla.

Śniegu spadło niewiele, ale las pobielał. Dzień nie był ani pochmurny, ani słoneczny, jednak ziemia świeciła jak powleczone emalią. Wyszedłem z mojej starej przecinki, kilka dni wcześniej ponownie oczyszczona przez automaty. Na mojej drodze znalazł się stary buk, rosnący w pewnej odległości od innych drzew. Kiedy byłem już blisko, od jego ciemnego pnia oddzielił się jakiś cień.

Nie celując pociągnąłem za spust. Usłyszałem zjadliwy syk i równocześnie głośny tupot. Mignęło coś czarnego. Ułamek sekundy później straciłem zdolność widzenia, porażony bielszym od śniegu błyskiem. Niemożliwe, żeby coś było za tym bukiem i zdążyło uciec. Żeby pozostało żywe.

Drzewo płonęło. Rozległ się huk i rozłupany na szczapy pień sypnął iskrami. Płomienie strzeliły wysoko w górę, nie mógłbym wymyślić nic lepszego pragnąc oznajmić światu o mojej obecności na zalesionym stoku.

Wreszcie ogień przygasł. Poczekałem chwilę, żeby zobaczyć, czy nie zajmie się poszycie, ale topniejący śnieg zdławił pożar. Wówczas zawróciłem ku przecince.

Obejrzałem się dopiero przed wejściem do bazy. Wycięta w poszyciu droga była pusta. Tylko na niebie widniał rozlany obłoczek dymu.

- Sygnał buntu - powiedziałem jakiś czas później, siedząc już lepszemu fotelu przy pulpicie. - Przygotujemy się na przyjęcie pierwszych śmiałków...

Spróbowałem się roześmiać. Wydałem odgłos, jakby ruszył nieczynny od wieków wiatrak, i umilkłem.

W ścianach kopuły obudził się wysoki, wibrujący dźwięk. Nie zrobiłem nic, żeby przestać go słyszeć. Nie poruszyłem się.

To tylko cisza.

Minęło pół godziny. Z czoła ściekały mi strużki potu. Moje dłonie były wilgotne. Bluza kleiła się do pleców.

Wstałem i łapiąc powietrze zrzuciłem z siebie ubranie. Podszedłem do łazienki. Woda była ciepława. Zrobiło się duszno. Skoczyłem do kabiny, nie zakręcając kurków. Parowałem.

Czułem się jak w cieplarni, pełnej bagiennych podzwrotnikowych roślin. Sięgnąłem ręką do szyi, jakbym chciał rozluźnić kołnierzyk. Temperatura rosła szybko.

Już na pół przytomny z braku tchu, uświadomiłem sobie, że padłem ofiarą ataku. Eksplozja neutronowa? Bez jednego sygnału aparatury alarmowej?

Las. Las płonie. Zajął się od tego drzewa. Kiedy to było? Rok temu? Wczoraj?

Zgadza się. Przed chwila. Tak, to las. Ostrzegano mnie, żebym uważał. Kto? Mniejsza z tym. Może to był sen. Nieważne.

Poczułem przyływ sił. Trzeba wezwać automaty. Niech pokażą, co potrafią.

Zerwałem się. Jak stałem, nagi, wpadłem do przedsionka. Szarpnąłem drzwi. Przebiegłem kilka metrów przecinką, zatoczyłem się i upadłem wprost na ścianę świeżo przyciętego szpaleru krzewów. Ostre końce gałązek przeorały mi nos i brodę. Nie poczułem bólu.

Podniosłem się, strząsając z ciała coś białego. Popiół.

Syknąłem i skoczyłem do tyłu. Znowu coś poleciało.

Oczywiście, śnieg.

Zamknąłem oczy. Obie dłonie przycisnąłem do skroni. Zacząłem dygotać jak robot - zabawka, z pękniętą sprężyną. Jeszcze trochę, a cały rozpadnę się na miliony okruców lodu. Na śniegowe gwiazdki.

Gwiazdki. Gwiazdy.

- Pilocie... - wykrztusiłem, dzwoniąc zębami. - Pilocie... Uniosłem powieki. Noc. Na wyciągnięcie ręki ośnieżone konary drzew. Księżyc. Nieruchome cienie. Dekoracja, nie noc. Tylko dekoracje są takie ciche. Pochyliłem się i czekałem. Przeszło. Mogę iść. Przy wejściu usłyszałem szum wody w łazience. Odwracając twarz do lustra powlokłem się prosto pod prysznic. - Szaleństwo - wymamrotałem, złapawszy oddech. - Szaleństwo. Czyste wariactwo.

Rozdział 6

Zbudził mnie ruch na zewnątrz bazy. Uniosłem się w fotelu i słuchałem.

- Sarna - - powiedziałem po chwili. - Przyprowdziła małe, zziębnięte sarniątko.

Mój głos brzmiał fałszywie.

Dźwięk powtórzył się. Był teraz inny. Dochodził jakby z przedsionka.

- Przeciąg - uśmiechnąłem się. - Zapomniałeś zamknąć drzwi. Pewny, że ujrzę pusty przedsionek, uchyliłem drzwi. Za progiem stał automat. Wyglądał jak pies, proszący, żeby go wypuścić na dwór. Mrugał pomarańczowym światłem.

Oprzytomniałem w mgnieniu oka. To nie ja, tylko automat. W takim razie sprawa jest poważna.

Cofnąłem się, włożyłem bluzę, kaptur, sprawdziłem je i obejrzałem to światło z bliska.

Przygasało już. Jakby sprawca alarmu zorientował się w sytuacji i oddalił na palcach.

Wstrzymałem oddech i wytrzeszczyłem oczy. Nie. Lampka paliła się naprawdę.

- Chodźmy popatrzeć - powiedziałem. Wysunąłem przed siebie miotacz i wyszedłem.

Szkoda, że w ciszy nie słycać także zapachów. Na przykład - zapachu idącej wiosny.

Jeszcze panuje chłód. Ale w południe będę mógł pójść poszukać pierwszych rozwiniętych pączków.

Zatrzymałem się przy najbliższym posterunku obserwacyjnym. W powietrzu panował spokój.

W nocy także nie było wiatru. Ani wieczorem, kiedy wypadłem z bazy gasić pożar, powstały w mojej wyobraźni.

Ale kłapa aparatu była otwarta. Ktoś lub coś zaglądało do przystawki rejestrującej.

Zbliżyłem się i ukląknąłem. Uważnie zbadałem spojenia, po czym zajrzałem do środka.

Komora była pusta. Bęben z zapisem zniknął.

Wyprostowałem się powoli i dłuższą chwilę nastuchiwałem. Nic. Najmniejszego poruszenia w czarno-białym lesie.

Wstałem nie dotykając urządzenia i zastanowiłem się. Gdyby rzecz miała miejsce wieczorem, powiedziałbym sobie coś do słuchu. O roztrzęsionych pilotach, którzy zapominają, z czego żyją. Wróciłbym do bazy i poszperał po kątach.

Ale teraz mijała właśnie szósta. świt, jak na tę porę roku. A o świcie moje szare komórki działają mniej więcej normalnie.

O czymś istotnie wczoraj zapomniałem. Automat strażniczy, zamiast na swoim stanowisku przed wejściem, spędził noc wewnątrz bazy, w przedsionku.

Tylko na to czekali - przebiegło mi przez myśl.

- Kto? - spytałem półgłosem.

Pokiwałem głową i zawróciłem po nowy bęben pamięciowy. Nie przeszedłem nawet dziesięciu kroków, gdy zatrzymał mnie kolejny odgłos. Brzmiał inaczej niż ten, który mnie obudził. Nie miał nic wspólnego z sarnami. Ani czymiś krokami. Było to raczej szuranie. Jakby ktoś ciągnął po ziemi ciężki, wypchany worek.

- Trzeba ci dobrego psa - powiedziałem już pełnym głosem. - Mogłeś wcześniej o tym

pomyśleć.

Mój głos obudził ciszę. Dzwony. Słuchałem ich jakiś czas, po czym wyprostowałem dłonie i podsunąłem je sobie przed oczy. Końce palców drżały.

- To z głodu - mruknąłem. - Nie powinno się słuchać takich rzeczy przed śniadaniem.

Stałem dalej. Minęła minuta, może dwie. Znikąd nie dochodziły już żadne odgłosy. Poza tymi, które stanowiły niejako integralną cząstkę powietrza.

Załóżmy, że to nieprawda. Że wczoraj sam, nie wiedząc, co robię, otworzyłem komorę aparatu obserwacyjnego i cisnąłem bęben w krzaki. Że to szuranie, które przed chwilą dobiegło z głębi parku, to także cisza. Ale stara maksyma pilotów obowiązuje. Każda wątpliwość, jeśli już powstanie, musi zostać rozproszona. W sposób rzeczowy i sprawdzalny.

Przed wejściem zatrzymałem się, zaskoczony nieuchwytną zmianą w otoczeniu. Odwróciłem się błyskawicznie. Nic. Milczenie.

Dzwony były nieobecne. Ktoś pozamykał piszczałki organów. Uderzyła mnie nowa myśl.

- A jeśli - powiedziałem cedząc słowa - wszystkie te bucuki i organy grały naprawdę? Jeśli to było zaproszenie? Albo przeciwnie, zapowiedź czyichś odwiedzin?

Pomyślałem chwilę. - Nie - stwierdziłem wreszcie. - To tylko cisza.

Zaraz za przecinką skręciłem w prawo i klucząc między drzewami szedłem kilkanaście minut wzdłuż linii wzgórz. W tę stronę nie zapuszczałem się jeszcze nigdy. Pomyślałem, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy w poszyciu nie wycięto gdzieś podobnej drogi jak moja, wyprowadzającej na łąkę w bezpośrednim sąsiedztwie miasta. Trafiłem na dwie lub trzy polanki wysunięte klinem ku górze, ale każda kończyła się ślepo.

Nie byłem sam. Dziesięć metrów przede mną sunął automat uzbrojony w miotacz. Drugi, taki sam, strzegł moich pleców.

Las cofał się faliście ku wzgórzom. Wyszedłem na łąkę. Po tej stronie miasta była szeroka, płaska i biegła aż ku widniejącym w odległości dwóch kilometrów kompleksom ogrodniczym. Srebrno-białe wieżowce upraw hydroponicznych lśniły w słońcu jak rtęć. Szare proste dachy powtarzały się w nieskończoność. Podmiejski kombinat rolny zajmował obszar kilku tysięcy hektarów. Wzdłuż splątanych torowisk i pasów transportowych rosły teraz pojedyncze, wesole brzoźki.

Zatrzymałem się. Iść dalej łąką nie miało sensu. Zresztą teren wyglądał na podmokły. Po namyśle skręciłem w stronę południowej części parku, przechodzącej w dawny pas ochronny zieleni. Określenie to straciło rację bytu i nieprędko ją odzyska. Za pięćdziesiąt lat będziemy raczej wyrąbywać pasy swobodnego ruchu. Minałem pierwsze grupy drzew, rozgałęziających się przy samej ziemi jak wiklina i wszedłem na zbocze. Postanowiłem iść w górę, jak długo pozwoli na to poszycie, po czym wrócić wzdłuż lasu do przecinki.

Sunący przodem automat dotarł do małego garbu, jakby pozostałego po dawnym torowisku, wspiął się na jego grzbiet i stanął. Już sięgałem do nadajnika, tkwiącego w kieszeni bluzy, kiedy ujrzałem, że płaski wysięgnik prowadzący miotacz, zmienia położenie. Moment i przestałem mieć wątpliwości.

Wytężyłem wzrok. Zbocze, miejscami bielejące jeszcze łatami śniegu, kilka drzewek, rozłożyste krzewy.

Nagle przejrzałem. Na skraju lasu, do połowy wysunięty z gęstwiny, stał jeleń.

- Jak... - nie dokończyłem. "Jak żywy" - chciałem powiedzieć, ale w tym samym ułamku sekundy lufa miotacza połączyła się cienkim promieniem z głową zwierzęcia. Rozległ się syk rozciętego powietrza i niemal równocześnie głuchy łomot trafienia. Nad wierzchołki drzew wzbijał się czapa czarnego dymu, który zaraz zaczął opadać.

Jeleń rzeczywiście był jak żywy. Właśnie "jak". Bo do żywego zwierzęcia automat z pewnością nie otworzyłby ognia.

Odczekałem kilka minut i sięgnąłem po analizator. Dokładnie tak, jak się spodziewałem. To samo.

- Inwazja - mruknąłem. Coś, czego dotąd nie brałem pod uwagę. Dlatego Tarrowsen i Oneska byli tacy przepłoszeni. Już coś podejrzewali. Na przykład dwa dni przed pójściem spać przechwycili sygnały, emitowane ze zbliżającego się źródła. Ale już nie mogli, czy nie chcieli, poczekać, co z tego wyniknie. Zwalili to na mnie.

Bzdura. Nie jestem pierwszy. Gdyby chodziło o inwazję, dawno byłoby już po wszystkim.

Występowałbym teraz na Ziemi jako intruz, anachronizm, a nie gospodarz.

Czy to ma znaczyć, że czuję się gospodarzem?

A może człowiek w ogóle nie jest tutaj potrzebny? Może tylko rozplenił się jak chwast, tłumiąc rozwój szlachetnych gatunków, predestynowanych do roli prawdziwych władców układu?

Galaktyki?

Uśmiechnąłem się.

- Za długo stoisz w miejscu - powiedziałem. - Cisza - dodałem ostrzegawczo.

Uruchomiłem pierwszy automat, poczekałem, aż oddali się na bezpieczną odległość i

ruszyłem za nim. Dzień miał się ku końcowi. Słońce zachodziło jeszcze wcześniej. Zostawiłem przed wejściem obydwie automaty i zająłem się komputerem. Miałem zaległości. Wszystkie zespoły hibernatora pracowały normalnie. Wskaźniki poboru mocy, zasilania, stymulacji pola, układów zabezpieczających stały bez drgnienia w pozycjach zerowych. Dyskretne receptory zainstalowane wewnątrz sypialni także odbierały wiadomości wyłącznie pomyślnie. Skład atmosfery, ciśnienie, wilgotność, temperatura - wszystko idealnie zgodne z programem.

W hibernatorze brakowało tylko mikrofonów. Nie były potrzebne. Ludzie w stanie anabiozy nie mówią przez sen. Nawet nie chrapią.

Przeniósłem wzrok na ekran dalekiej łączności.

Drogi statków, znaczone krociami punktowych nakłuć, wydłużyły się. Każdy z tych punkcików przechodzi przez wiele fotolatarni, zanim trafi do bazy komputerowej na granicy Układu Słonecznego. Dopiero stamtąd płyną do mnie te kropeczki, już uporządkowane, przetworzone w ideogramy gwiazdnych dróg.

Statki dotarły do połowy górnej części ekranów. Jeszcze cztery, pięć lat i obok niteczek pojawią się liczby. Potem bezpośrednie wezwania. A w końcu słowa.

Wtedy będę już tkwić w sąsiedniej niszy, leżąc na wznak i czekając, aż oni zrobią swoje tam, dokąd dolecą, potem zasną, zbudzą się znowu i ujrzą Ziemię. Wówczas nadejdzie koniec ciszy. I wszystkiego, co się w niej lęgnie.

Zapatrzyłem się w paciorkowate wykresy, jakby każdy z tych punkcików był twarzą pilota. Nie powiedzieli mi, kogo wysłali. Ale mogłem wymienić pierwsze z brzegu nazwisko i mieć pewność, że nie spudłowałem.

Nagle obraz na ekranie zmętniał mi w oczach. Pod pulpitemi obudziło się wysokie, jęklive zawodzenie. Linie na głównym ekranie skoczyły i zaczęły pulsować przerywaną sinusoidą. Tarczę po-szatkowały skośne, poprzeczne pasy. Pojawiła się biała siatka, roztopiająca kontury obrazu.

Tego było mi już za wiele. Odwróciłem się gwałtownie i zaciśniętą pięścią wyrzuciłem w kant stołu. Na moment pociemniało mi w oczach. Ale kiedy zwróciłem się ponownie w stronę ekranu, Wszystko było jak przed chwilą. Obraz ledwie widoczny, bladawa siateczka, przerywane, skaczące linie. Tyle, że nie mogłem ruszyć ręką.

Ale teraz wiedziałem. Rzuciłem się do pulpitu komputera. Dopadłem bloku awaryjnego i wcisnąłem kilka klawiszy naraz. Ekran kontrolny, wpuszczony w przystawkę z wyjściami bezpośredniej sygnalizacji, rozjaśnił się. Utkwiłem w nim wzrok. Sekunda, dwie, trzy...

Tarcza pozostała czysta.

Wyprostowałem się powoli. Przestałem cokolwiek rozumieć.

Zaburzenia łączności nie mają nic wspólnego z lotem naszych załóg. Nawet gdyby któreś z nich meteor rozbił nadajnik, nie mogło się to przytrafić wszystkim naraz. Poza tym zakłócenia występują także w torze idącym od hibernatora. A teraz komputer orzeka, że cała aparatura bazy działa sprawnie. Od tego orzeczenia nie ma odwołania.

Po zastanowieniu zablokowałem kilka sekcji i zażądałem wyjaśnień. Oparłem dłonie na krawędzi pulpitu i czekałem.

Minęło kilkanaście sekund. W okienkach przeskoczyły liczby. Rozległ się arytmiczny stukot, jakby ktoś nadawał morsem. Bęben wykonał kilka błyskawicznych obrotów, cofnął się, znowu zawirował i raptownie stanął. W prostokątnym wizjerze sumatora zapaliło się rozwiązanie. Obcy sygnał.

To wszystko. Obcy sygnał. Obcy sygnał...?

Tym razem sprawa nie wymagała wielu zabiegów. Rzecz mieściła się w programie.

Uruchomiłem peleng.

świątelka przygasły. Prostokątne okienko przedzielone układem współrzędnych jakby powiększyło swoją powierzchnię. Ukazały się dwa punkciki. Wędrowały w górę, ciągnąc za sobą delikatne, ledwie widoczne niteczki. Nagle stanęły. Chwilę trwały bez ruchu, po czym zafalowały i szybko spłynęły w dół, znikając za ramą ekranu. Koniec.

- Koniec - powiedziałem głośno. - O ile? Pięć sekund za późno? Trzy sekundy?

Bez zbytniego zainteresowania omiotłem spojrzeniem obydwie poziome ekrany. No tak. Żadnych skoków, przerw, podejrzanych mgiełek. Nic. Czyste, łagodnie poświęcające tarcze, mówiące wszystko, co powinienem wiedzieć.

Obcy sygnał. Tutaj to mogło oznaczać tylko jedno. W bezpośrednim sąsiedztwie mojej bazy, kto wie nawet, czy nie na tym samym wzgórzu, pracuje nadajnik dużej mocy. Taki jak mój. Już go miałem. Linie namiarowe prowadziły mnie jak po sznurku. ściśle, po dwóch sznurkach. Pozostało mi tylko czekać, aż przetną się na siatce współrzędnych.

Wtedy przestał nadawać. Jakby obserwował każdy mój ruch. Odczekał specjalnie do ostatniej chwili, żeby mi dopiec. - Obłąd - warknąłem.

Uspokoilem się.

Pomyślmy chwilę. Kto może bawić się nadajnikiem zdolnym, powiedzmy, do nawiązania łączności z Ganimedem? Kto wszedł akurat w pasma przesyłowe, zastrzeżone dla bazy? Jest ktoś taki. Wiem, że to niemożliwe. Ale pomińmy kwestię możliwości. Cisza także nie może dzwonić. A dzwoni.

Mój poprzednik. Podrzemał chwilę, wstał, zrobił kilka przysiadów i zabrał się do nadajnika. Nie. Zapis, przekazany przez jego aparaturę, był dokładny. Z pominięciem "rozmowy" o polowaniu, ale ta nie ma tu nic do rzeczy. Ktoś, kto czuwał przede mną, wszedł do hibernatora zaprogramowanego na sześćdziesiąt lat. Dostałem komplet danych. Na to, żeby przestroić komputer i węzły łączności z automatyczną rejestracją, ten ktoś potrzebowałby nie dwudziestu, ale dwustu lat. Był przecież sam.

Odszedłem od pulpitu. Usiadłem w fotelu, położyłem głowę na oparciu i zamknąłem oczy. Cisza. Już pozorna. Jak w przestrzeni. To nic, że znowu odzywa się we mnie tym rezonansem, od którego płoną lasy. Teraz nie wolno mi tego słuchać.

Hibernator jest w porządku. Sygnalizacja także. Ani załogi oddalone już o kilkanaście parseków, ani system komunikacyjny miasta nie wysyłają tych sygnałów, które zakłócają łączność tu u mnie. Pozostaje jedno. To co uznałem za niemożliwe. Baza. Któraś z dwóch strażniczek czekających na swoje dwudziestolecie.

Obie zlokalizowano nie dalej niż w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od hibernatora. To pewne. Każda wygląda inaczej. Mogę minąć, na przykład, skupisko drzew, ścięzionych trochę bardziej niż w innych miejscach. Otrzeć się o stary kamieniołom. Albo zamknąć na cztery spusty parkową restaurację. Przystanąć nad wykopem, który wyda mi się stawem. Jeszcze jedno jest pewne. Będę szukał. Tak długo, aż wejść w pień jakiegoś drzewa, zanurzę stopę w stawie i wyjmę ją nie zamoczoną, oprę się plecami o nie istniejącą skałę.

Będę szukać... zaraz.

Uniosłem się. Strzeliłem palcami i uśmiechnąłem się do warującego przy wejściu automatu. Oczywiście, że będę szukał. I znajdę. Muszę mieć dobrze zamącone w głowie, jeśli nie wpadłem na to od razu.

Moja baza jest z metalu. W każdym razie jej wierzchni pancierz. Nie ma powodu, dla którego pozostałe mieliby budować z plastyku. Czy drewna. A skoro tak, to istnieje prościutki sposób. Powiedziałbym, szkolny.

Czujniki ferromagnetyczne. Wystarczą dwa. Nastawione, powiedzmy, na pięćset metrów. Żeby nie prowadziły mnie stale tylko do miasta albo do najbliższego węzła komunikacyjnego.

Wstałem. Wyszedłem do przedsińki i otworzyłem kwadratowe drzwi magazynu sprzętu. Przywołałem automat i kazałem mu wynieść przyrządy oraz narzędzia do ich zamocowania. Po trzech kwadransach urządzenie było gotowe. Na podłodze, niedaleko wyjścia, spoczywały dwa niewielkie walce przytwierdzone do wąskich pojemniczków. Same czujniki zajmowały najmniej miejsca. Ale chciałem mieć swobodę działania i wolne ręce. Postanowiłem, że dam je automatom, a dla siebie zachowam tylko podręczny pulpit dyspozycyjny. To wymagało dodatkowego wyposażenia i trochę pracy. Jeśli już raz trafię na ślad, nie wolno mi przegapić niczego. Chociażby na przykład istnienia dwóch baz leżących dokładnie jedna za drugą w odległości do dwustu metrów.

Przygotowałem automaty i zacząłem się ubierać. W pewnym momencie zatrzymałem się.

- Dobranoc - powiedziałem. - I to wszystko. Na dzisiaj.

Stałem jeszcze z minutę, przyglądając się swojemu dziełu. W końcu potrząsnąłem głową, zrzuciłem bluzę i poszedłem do łazienki.

Trzeba uważać. Na pewno nie powinienem zwlekać zbyt długo. Ale moim głównym zadaniem jest wrócić tutaj. W stanie, który pozwoliłby mi jeszcze trochę popracować.

Dochodziła jedenasta. Od kilku godzin na dworze panował mrok. Wzięło mnie na dobre, skoro o tym zapomniałem.

Słaby wiatr niósł zapach wiosny. Już wczoraj dawała znać o sobie. Dziś była obecna w każdym zaczerpnięciu powietrza.

Rozstawiłem automaty na przeciwległych krańcach polanki, miotacz przewiesiłem przez pierś i odblokowałem czujniki.

Przez chwile nie działo się nic. Nagle wskazówki w okienku wydłużyły się i zetknęły. Wypląnęły cyfry namiaru.

Przyjrzałem im się, po czym uniosłem głowę i pobiegłem wzrokiem ku sąsiedniemu wzgórzu, połączonemu z moim czymś w rodzaju siodła.

Osiemset metrów. Może kilometr. Jak na sąsiednią bazę, zdecydowanie za blisko. Ale nikt nie pytał mnie o zdanie.

Nie spuszczać oczu ze wskaźnika, osłoniłem go dłonią od słońca i zacząłem iść. Z lewej i z prawej, zachowując odległości posuwały się automaty.

Dotarłem do końca polany i nie zatrzymując się wszedłem w zarośla. Kilka następnych minut,

trzymając ręce z pulpitem nad głową, taranowałem poszycie. Dalej było nieco luźniej. Wystarczyło jednak tych kilkanaście metrów, abym przemókł do suchej nitki. Każda gałązka dźwigała paciorkowate sznury kropel. Tam gdzie nie docierały promienie słońca, panował przenikliwy chłód.

Na czas forsowani:-; poszycia umilkły wszystkie bucзки i dzwony. Słyszałem tylko chrobot kolców i wściekle przeciąganie ciała przez coś równie dobrze nadającego się do spacerów, jak wnętrze góry. Gdyby nie jeleń a słoń stał w tych krzakach, przeszedłbym pod jego trąbą niczego nie widząc.

Wreszcie wyszedłem na przełęcz, to znaczy na owo dostrzeżone z góry siodełko. Moja broda i policzki płonęły od tysięcy zadrapań i ukłuc. Ale czujniki funkcjonowały bezbłędnie.

[Ku szczytowi następnego pagórka wiodła ogołocona z drzew i zarośli droga, przypominająca przecinkę na górskiej grani. Nie kończyła się ślepo. W miejscu, gdzie stałem, odbijała w prawo, skręcając w wąskie łóżysko dawnego potoku lub w dawny trakt. Tam było miasto.

Ta przecinka zaprowadzi mnie prosto do przedsionka. Postoję pod drzwiami i posłucham, czy nie chrapie przez sen. I czy to nie jego anteny płatają figle moim odbiornikom.

Jeśli zamiast w hibernatorze zastanę go w fotelu, przed automatem produkującym stalowe jelenie, to...

Pięknie. Znajdźmy go najpierw.

Pomiary kątowe straciły sens. Puściłem jeden z automatów przodem i odczekawszy chwilę, ruszyłem środkiem ścieżki. Wyglądała jakby przestano ją pielęgnować cztery, powiedzmy pięć lat temu. Tak właśnie powinna wyglądać,

Szedłem nie śpiesząc się, wciąż jeszcze mokry od potu i prysznicu, jakim uraczył mnie las. Głęboko wciągałem do płuc powietrze. Pokłuta twarz paliła teraz żywym ogniem. Zrzuciłem kaptur i rozpiąłem bluzę pod szyją.

Dochodziłem do szczytu. W perspektywie przecinki wyłaniały się już pomniejszone korony drzew, rosnących na przeciwległym stoku. Rozstępowały się, w miarę jak pokonywałem odległość, odsłaniając kolejne odcinki ścieżki. Las był jak wyciosany z kamienia. W powietrzu panował doskonały bezruch. Przecinkę porastała niska trawa z rozległymi kępami mchu.

Posuwałem się niemal bezszelestnie.

Wierzchołek był tuż. Nagle, bez żadnego widocznego powodu, idący przodem automat stanął. Zrobiłem jeszcze dwa kroki do przodu i zatrzymałem się również.

Szedł tak samo cicho jak ja. Kota usłyszałbym wcześniej, z większej odległości. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Mało brakowało, a byłbym się uśmiechnął. Tak miękko chodzą ludzie, których nie ma.

Nie pomyślałem o ciszy. Nie tym razem. Od pierwszej chwili wiedziałem, że zabawa się skończyła. Oto coś, co prędzej czy później nastąpić musiało. Po prostu. Pomimo że sama myśl o tym graniczyła z obłędem. Ale mój umysł nie pracował nigdy tak jasno, jak w tym momencie.

Utkwiłem wzrok w perspektywie przecinki. Prawą dłoń oparłem na uchwycie miotacza. Zza wysokich paproci rosnących po obu stronach ścieżki, na skraju lasu, wychynął znajomy kształt. Ujrzałem najpierw skrawek jasnego, niemal białego kaptura, plamę twarzy, bluzę... Pilot. Dzisiaj nie przypominał dobrze ustawionej sarny. Ani jelenia. Wszystko jedno, prawdziwego czy z metalu. Zresztą nie szło mu o to. Nie wyglądał na zaskoczonego moim widokiem.

Zbliżył się jeszcze o kilka kroków i stanął.

Cisza. Uprzytomniłem sobie, że dzwony ruszyły. Pewnie już jakiś czas temu, tylko że nie zwróciłem na nie uwagi. Słusznie. Nie przeszkadzały mi.

Wyprostował się. Niepokoiło mnie to, że nie widziałem jego oczu. Teraz je zobaczyłem. Były przymrużone, jakby patrzył pod słońce. Ale stał w cieniu. Musiałem dobrze wyteńczyć wzrok, zanim dostrzegłem, że ma twarz ciemną od opalenizny i zarostu.

Uniósł ramię i pozdrowił mnie.

Nie ma go tam. Halucynacja.

Jeśli jednak jest, niech się odezwie. Podskoczy. Zagwiżdże. Powie kilka słów o pogodzie.

- Ty jesteś... z drugiej dwudziestki - zaczął.

Jego głos brzmiał dość cicho. Mimo to zdołał utworzyć jakiś kanałik w moim mózgu.

- Prowadź do siebie - rzuciłem twardo. - Chcę obejrzeć twój nadajnik.

Zrobił nieokreślony ruch głową i uśmiechnął się. Zęby miał białe jak wilczur. Znowu nie widziałem jego oczu. Odruchowo uniosłem wyżej wylot miotacza. To go zatrzymało. Automaty czekały bez drgnienia. Dla nich było to po prostu spotkanie z człowiekiem.

Utkwił wzrok w miotaczu. Przyglądał mu się chwilę, po czym spojrzął mi w oczy. Jego prawa brew powędrowała do 'góry. Teraz dopiero spostrzegłem, że nie miał broni.

- Byłem... przed tobą - powiedział.

Aha. Był przede mną. Włączył do hibernatora zaprogramowanego na sześćdziesiąt lat. Dlatego

właśnie stoi tu teraz i uśmiecha się. To znaczy uśmiechał się jeszcze trzydzieści sekund temu.

- Jak się nazywasz? - spytałem.

- Gummi - powiedział szybko. - Mów po prostu: Gumm.

- Jesteś z Centrali?

Przytaknął ledwo zauważalnym ruchem głowy. Dzwony ucichły. Ogarnęło mnie rozdrażnienie.

- Próbowales się leczyć? - warknąłem. - Czy machnałeś ręką?

- A ty? Proszę. Partner.

Milczał dłuższą chwilę, przyglądając mi się badawczo. Teraz widziałem już dokładnie głębokie, faliste bruzdy na jego czole i wcięcia wzdłuż nosa, które czyniły jego usta wypukłymi i zapewniały im byt niezależny od reszty twarzy. Policzki miał zapadnięte i szarawe. To znaczy te niewielkie części policzków, jakie pozostały wolne od zarostu. Ale najciekawsze były jego oczy. Szeroko otwarte i zasnute mętym nalotem. Oczy człowieka, który bez szkieł nie dojrzy własnej wyciągniętej ręki.

- Nie - odezwał się w końcu, jakby z żalem. - Ty nie. Jesteś tu za krótko... Cztery lata, prawda? Może pięć?...

- Nie wiesz? - spytałem łagodnie. - Pięknie - zmieniłem ton. - Idziemy do ciebie. Pogadamy. Tylko przedtem rzucę okiem na twoje nadajniki.

Drgnął. Przez moment wydało mi się, że przybladł. Ale nie mógłbym przysiąc.

- Nie - powiedział. - Wolałbym nie. Mocniej ścisnąłem miotacz.

- Prowadź - powtórzyłem spokojnie. - Krótko, to dość względne określenie. Może jestem tu krótko dla kogoś takiego jak ty. Ale dostatecznie długo, żeby pociągnąć za spust, kiedy uznam, że powinienem to zrobić.

Zesztywniał. Przez moment mierzył mnie spojrzeniem. Z jego oczu pozostały szparki.

- Nie pójdziesz tam - rzucił ostro. - Albo pójdziesz sam. Nie wziąłem broni - dodał, jakby to coś wyjaśniało.

- Właśnie - podchwyciłem. - Ale ja wziąłem. Jesteś... z kimś? Zawahał się. Poruszył wargami i przełknął ślinę. Wyglądał, jakby właśnie zrzucił z pleców worek, wypchany żelastwem.

- Kto jest z tobą? Kobieta?

Zwilżył wargi językiem i skinał głową. Jego oczy celowały teraz w czubki moich butów. Uderzyła mnie pewna myśl.

- Położyłeś ją spać, czyż nie? - spytałem. - Zamknąłeś ją w swoim hibernatorze. Dlatego ja odebrałem normalny zapis, kończący się zatrzaśnięciem klapy. Wszystko się zgadza. Poza osobą śpiącego. Po co to zrobiłeś? Po co brałeś ją ze sobą, jeżeli teraz i tak jesteś sam? Pokłóciliście się? Chciała do mamusi? Ponownie przełknął ślinę. Na czoło wystąpił mu pot.

- Ona... - wykrztusił - ...nie wiedziałem, że zostaje. Nie powiedziała mi. Kiedy przyszła, było po wszystkim. Tamci już spali. Co miałem zrobić?

W ułamku sekundy ujrzałem przed oczami twarz Avii. Wyprostowałem się, aż mi w piersi zatrzeszczało.

- A teraz co robisz? Poruszył bezradnie ręką.

- Pracowałem normalnie... - powiedział cicho. - Zostawiałem ją w domu. A potem... - zająknął się - potem ona poszła... to znaczy zasnęła. Zamknąłem ją w hibernatorze. Więc sam musiałem zostać. To chyba logiczne - dokończył niemal szeptem.

Zastanowiłem się. Logiczne. Jak pętla czasu. I równie prawdopodobne. Zgoda, że w każdej bazie był tylko pojedynczy hiberna-tor, właśnie taki jak u mnie. Ale na upartego potrafiłbym w nim zmieścić drużynę siatkówki. Co dopiero parę nierozłącznych kochanków.

- Logiczne - burknąłem. - Pod warunkiem, że nie wie się tego, co ja. Co my wszyscy, dla których zbudowano w tym lesie księżycowe bazy, udające... a propos - wtrąciłem - pod czym mieszkasz? Co to jest? Domek z piernika? Skarpa? Karmnik dla zwierząt? Czy po prostu kupa kamieni?

Uniósł głowę. Jego oczy stały się czujne.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział z namysłem. Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiesz? - zdziwiłem się. - Jak myślisz, dokąd szedłem tą ścieżyną, o którą przestałeś się troszczyć, kiedy, jak powiadasz, znowu zostałeś sam? Do ciebie. Powiem ci, co to jest. I gdzie. Za kilka minut.

Wezwałem pierwszy automat. Podeszedł na swoich ptasich łapach, niezdarnym ruchem wymiął stojącego na ścieżce mężczyznę i zaczął się oddalać.

Ruszyłem z nim, ale człowiek, który nie poszedł spać, zastąpił mi drogę.

- Nie pójdziesz tam.

Mówił cicho, ale w jego głosie było coś, co skłoniło mnie do zastanowienia. Coś więcej niż upór. A nawet strach. On miał pewność, że nie pójde. W każdym razie, że nie dojdę. Zatrzymałem się.

- Co zrobiłeś z bazą? - spytałem.

Skwitował to grymasem, jakby chciał się uśmiechnąć i zrezygnował na skutek oporu mięśni twarzy.

- Nic - oświadczył. - Zaprogramowałem tylko automaty na hasło. Zniszczą każdego, kto podejście i nie potrafi powiedzieć dwóch prostych słów.

- Jak prostych? - mruknąłem. - Romeo i Julia? Nie. To zbyt rzewne. Już wiem. Orfeusz i Eurydyka. Przy odrobinie dobrej woli znalazłyby się nawet analogie...

- Imię i nazwisko - powiedział bez wahania. - Dziewczyny, która chce mieć spokój. Możesz mnie sprzątnąć. Ale do bazy nie wejdiesz. Chyba że zgadniesz. Chcesz spróbować? Była taka bajka o rozbójnikach i Sezamie. Nie mówię o analogiach, ale możesz się zabawić. No wiec?

Nie odpowiedziałem od razu. Na dobrą sprawę facet mógł się podobać. Jego zimna krew. I sposób stawiania sprawy. Jego oczy wciąż jednak kazały mi mieć się na baczności. Przeczyły jego opanowaniu. Sprowadzały je raczej do stępienia. Czy rezygnacji. Ale nie takiej, żeby zrobił wszystko, co mu powiedzą. Tak jak to bywa, kiedy człowiekowi nie zależy już na niczym. Bluffował. Gdyby był tym, za kogo się podawał, nie programowałby automatów na hasło. Nawet gdyby naprawdę obiecał jakiejś dziewczynie, która chciała mieć spokój, że nikt jej nie, zbudzi. Kim był w takim razie? Lub jeśli to coś innego niż zwykły bluff?

- Co proponujesz? - spytałem obojętnym tonem. Zatrzymałem automat, który osiągnął już najwyższy punkt wzniesienia i dodałem: - Zostajemy tutaj? Zapraszasz mnie na piknik? Trochę chłodno, ale ostatecznie raz na czterdzieści lat... No cóż, o tej porze kluby nieczynne. Twarz mu się wydłużyła. Jego dłoń uniosła się do czoła, ale zatrzymał ją w pół drogi i opuścił.

- Ja... - zaczął i urwał.

Zdawało mi się, że wiem, co chciał powiedzieć.

Cisza. Wpierw jakoby wespół z kimś, kto nie chciał zostawić go samego. A potem dzwony. Powinny brzmieć gorzej niż moje. Jeśli słuchałby ich ze świadomością, że o metr za kabiną śpi ktoś, kto chętnie podzieliłby się z nim ich dźwiękiem. Wszystkimi dźwiękami ciszy.

- No dobrze - powiedziałem. - Chodź ze mną. To znaczy, przede mną - poprawiłem się. -

Pierwszy pójdzie automat. I pamiętaj, że nabrałem już pewnej wprawy w... polowaniu.

Popatrzył mi w oczy, po czym skinął głową. Bez słowa ruszył z miejsca.

Wydałem dyspozycje automatom, odwróciłem się i poszedłem za nim.

Rozdział 7

- Cokolwiek robiłem, czy pracowałem, czy słuchałem kawałów, czy nawet... - zawahał się - byłem z dziewczyną, zawsze i wszędzie czekałem -na coś, co dopiero przyjdzie. Jakby ktoś podłączył mój system nerwowy do wibratora. Znasz to? Robisz to co inni, coś mówisz, a w tobie wszystko dygoce. Rodzą się jakieś załączki myśli, gubisz je, odnajdujesz znowu, ale już zubożałe, matowe, pozbawione perspektywy. Marzysz o chwili spokoju, żeby dojść z sobą do ładu, a kiedy przychodzi, masz ochotę na jedno: pójść spać. Tylko że nie możesz zasnąć.

Więc włączasz się znowu, jak zapalniczka, gadasz, machasz rękami. W ten sposób oczyszczasz się z resztek zobowiązań wobec własnych nie donoszonych myśli i możesz zaczynać od początku.

Zapałał się. Wyrzucał z siebie słowa z szybkością młynka. Przerywał, łapał powietrze i mówił dalej wysokim, napiętym głosem. Tylko jego oczy były wciąż nieruchome, jak ślepe.

Tak, to cisza. Nasłuchiwał się jej, stracił poczucie czasu i wydaje mu się, że te wszystkie dzwony, buczi i piszczałki grały jeszcze, zanim znalazł się sam na tych wzgórzach. Sam? Właśnie. Kilkakrotnie już chciałem mu przerwać, ponieważ miałem wrażenie, że łapię go na tym, jak zaczyna prowadzić swoją grę z pełną świadomością. Jednak wciąż brakowało mi jakiegoś ogniwa, żeby ułożyć sobie tę jego grę w logiczną całość. A musiałem mieć pewność. Dlatego nie mogłem nic zrobić. Jeszcze nie. Mogłem jedno. Udawać, że to, co mówi, przyjmuję za dobrą monetę.

Umilkł. Jego dłonie, leżące na kolanach, unosiły się i opadały w rytm oddechu. Koniuszki palców żyły swoim własnym życiem. Drżały.

- Zajmowałeś się historią? - spytałem.

Powoli zwrócił twarz w moją stronę. Ale nadal patrzył donikąd

- Historią? - powtórzył niezbyt przytomnie. - Dlaczego?. Wzruszyłem ramionami.

- Cała ta opowieść o człowieku, który ani żyć, ani umrzeć nie może, to historia nie przystosowanego. Uporaliśmy się z tym dobre dwa wieki temu. Ale ty nie, prawda? Ty tkwisz po uszy w dwudziestopięciowiecznym kryzysie cywilizacyjnym. Jakby twoi rodzice nie słyszeli o psychologii, a ty sam o stymulacji homeostazy. Niech będzie. Skoro tak jest, to wszystko się zgadza. Tylko jakim cudem trafiłeś do Centrali? Powiedzmy, że masz swoje sprawy. Ale jak, do diabła, można siedzieć na przykład nad Transplutonem z przekonaniem, że właściwie należałoby zająć się czymś zupełnie innym? Co robiłeś w Centrali?

Drgnął. Utkwił spojrzenie w moich dłoniach, jakby się bał, że za chwilę zrobię coś, co zmusi go do działania.

- W Centrali...? - bąknął. - Ja...? Czekałem.

Nagle oprzytomniał. Zerwał się z fotela i podszedł do mnie. Kąciki ust pojechały mu do góry.

Wargi miał spękane, pokryte płatkami zeschniętego naskórka.

Zaczał się cofać. Uderzył plecami o oparcie fotela i zachwiał się.

Ale nie zauważył tego.

- Minuty ciszy - wychrypiał. - To było moje życie, rozumiesz?

W jego głosie zabrzmiały równocześnie pasja i skarga. Odruchowo zrobiłem dwa kroki do tyłu. Oparłem się o ścianę i założyłem ręce na piersi.

- Wyjeżdżałem z miasta bez celu i siedłem tam, gdzie rosło kilka drzewek - ciągnął. - Kładłem się na ziemi, zatykałem uszy i wyobrażałem sobie, że ta łąka pode mną biegnie aż po horyzont. Że tam za tymi biednymi drzewkami nie ma tachostad, torów, fabryk, miast i w ogóle niczego. Tłumów, obecnych na każdym centymetrze Ziemi. Bo podzieliłiśmy ją już na centymetry.

Urwał. Jego oddech stał się świszczący. Oczy nadal miał zamglone, ale chwilami zapalały się w nich ostre błyski. Jakby tłący w nim żar przegryzał się na zewnątrz.

- Ziemia - podjął po chwili. - Ziemia. Skrawek zieleni, pagórek, trochę wody. Rozumiesz? Nigdzie i nigdy. Przez całe życie. Pola siłowe, stymulacja, gwizd szosy, grzmot najbliższego miasta, głosy ludzi. Nie ludzi, ludzkie. To różnica. Monotonne, nie do wyłapania, obecne zawsze i wszędzie, jak te... dzwony.

Przyjrzał mi się odrobinę przytomniej. - Wiesz, o czym mówię? - spytał podejrzliwie.

Przytaknąłem spokojnie.

- Wiem. O ciszy.

Podszedłem do klimatyzatora. Zrobiło się duszno. Jakby wokół bazy znowu płonął las.

Niespodziewanie dla samego siebie odwróciłem się i zrobiłem krok w jego stronę.

- To byłeś ty?! - rzuciłem. - Prosiłeś o pomoc? Ostrzegałeś? Wyprostował się i zadarł głowę.

- No?! - dalej mówiłem ostrym, nagłym tonem. - Powtórz to teraz. Co, nie tutaj? Proszę bardzo. Wyjdźmy. Będziesz mógł wleźć w krzaki. Jeśli tylko tak potrafisz. Mam tu piękne szpalery. Może rozwiążą ci język.

Jego oczy zmieniły wyraz. Odbiło się w nich niedowierzanie.

- Ja... prosiłem...? Wzruszyłem ramionami.

- Może nie ty. W takim razie przepędziłeś kogoś, kto liczył na to, że mu pomogę. Nie tylko jemu. Nic o tym nie wiesz?

- Ktoś był u ciebie?! - wykrzyknął.

Nie myliłem się. W jego głosie brzmiało coś więcej niż tylko ciekawość.

- No dobrze - machnąłem ręką. - Zobaczymy. Na wszelki wypadek przez jakiś czas będę w lesie przystawać pod każdym krzewem. Możesz sobie wybrać. Jeśli tak zależy ci na dyskrecji. Tymczasem...

- Czekaj - przerwał - o kogo chodzi?! To znaczy... - zreflektował się - przecież tu nikogo nie ma...

Nikogo. Skoro tak, odłóżmy tę kwestię. Może jest szczerzy. Może nic nie wie. I nie chce się z tym pogodzić. Ale za bardzo go to obeszło, żebym miał mówić dalej.

- Tak - uśmiechnąłem się. - Tu nie ma nikogo. Tylko las, górkę i zwierzęta. Czasem coś zaczyna gadać. Ale to bajki. Opowiadam ci bajki.

Twarz mu ściemniała.

- Powiedz - syknął. Pochylił się w moją stronę. Jego ramię drgnęło.

- Nie. To tylko cisza.

- Cisza! - szczechnął.

Czekałem. Minęła minuta. Może dwie.

- Cisza - powtórzył w końcu zmienionym tonem. - Myśli współmierne z czasem. I nie tylko myśli. Wszystko, co robisz. Całe życie marzyłem o ciszy.

- Masz ja teraz - zauważyłem.

Jego oczy rozszerzyły się. Nie pozostało w nich śladu dymu. Tylko płomień. Zrobiły się niemal białe.

- Mam! - wykrzyknął. - I nie pozwolę jej sobie odebrać! Wyprężył się i zacisnął pięści.

Tego było już za wiele. Przyjrzałem mu się odrobinę inaczej. I dłużej. Opamiętał się. Jego oczy przygasły. Opuścił ręce i rozejrzał się, jakby z zakłopotaniem.

- Muszę już iść - powiedział tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

- Czekają na ciebie? - zagadnąłem od niechcienia. Znowu zeszytniał.

- Kto?

- Nie wiem - uśmiechnąłem się. - Może rozmawiacie przez sen? Słyszałem o czymś takim.

- Naprawdę? - mruknął. - Ktoś ci opowiadał? Czy tylko chciałbyś, żeby tak było?

Znowu był sobą. Jak wtedy, na przełęcz, kiedy zastąpił mi drogę. To dawało do myślenia. W jego wypadku dzwony działały widać okresowo. Z przerwami na załatwianie spraw niecierpiących zwłoki.

Tak czy owak w dalszym ciągu nie wiedziałem nic.

Co gorsza, zacząłem wypadać z gry. Drażnił mnie jego głos. Obecność. Zażęknąłem do ciszy, o której mówił. Nie, nie tej. Mojej ciszy.

Od kiedy przekroczył próg bazy, byłem pewny, że stąd nie wyjdzie. Że muszę go położyć spać, ponieważ na to liczyli ludzie, którzy mnie tu zostawili. Nagle zmieniłem zdanie. Ludzie liczą na coś więcej. Na przykład, chcą wiedzieć. Muszą wiedzieć. Zamykając go teraz w hibernatorze pożegnałbym się z szansą zbadania sprawy do końca. Jeśli nie na zawsze, to na pół wieku.

Ale ta sprawa nie może czekać tak długo. W ogóle nie może czekać. Właśnie dlatego muszę zdobyć się na cierpliwość. Kogo on tam ma, w tej swojej bazie, czy... w tym cichym lesie?

Ruszył ku wyjściu. Bez pośpiechu. Duże, wyposzczone zwierzę, spacerujące w klatce. Takie miał ruchy. Można mu się przyglądać bezkarnie. Ale nie wolno podchodzić do prętów.

Odprowadziłem go spojrzeniem. Zniknął w przedsiönku, nie odwracając się nawet, żeby mi skinąć głową. Odczekałem chwilę, po czym poszedłem za nim. Stałem w przejściu i oparłem się o framugę.

- Przyjdiesz? - spytałem. - Uhm...

- Sam?

Zatrzymał się. Chwile szukał zamka, jakby pierwszy raz miał do czynienia z magnetyczną listwą, stosowaną we wszystkich obiektach Centrali. Wreszcie znalazł. Snop światła uderzył w las.

- Tak - powiedział.

Dopiero kiedy zniknął mi z oczu, wyszedłem przed próg. Dotarłem do miejsca, skąd mogłem dostrzec jego rozplywające się w mroku plecy. Wydał mi się teraz nienaturalnie wysoki.

- Poczekaj! - zawołałem.

Kroki ucichły. Staął.

- Kiedy przyjdiesz - powiedziałem dobitnie - zatrzymaj się na skraju lasu i krzyknij. Ja także zaprogramowałem automaty na hasło. Nie ruszaj się, dopóki nie wyjdę. Zrozumiałeś?

Z ciemności dobiegł niewyraźny głos.

Postałem jeszcze jakiś czas, po czym wróciłem do kabiny. Omiotłem wzrokiem ekrany i poszedłem do łazienki. Siedząc już przy stole zacząłem nasłuchiwać. Podniosłem do ust kostkę koncentratu. Moja ręka zastygła w pół drogi.

Są. Pojawiają się w sekundowych odstępach. Najpierw jest jeden czysty dźwięk, jakby pianista podawał ton orkiestrze. Przylatują następne i powietrze wypełnia się głosem buczków. Grają jakiś czas z jednakowym natężeniem, a następnie zaczynają pulsować: To już dzwony. Na zewnątrz jest noc. Wydaje mi się, że ta noc trwa od bardzo dawna. I że kiedy nadeszła, nic się nie wydarzyło. Moje pomiary, droga, spotkanie na starej ścieżce - to wszystko rozegrało się jedynie w sferze dźwięków. Ciszy. W tym, co sprawia, że ją słyszę.

Nie było żadnego spotkania. Jeśli kilka minut temu ktoś siedział w tym fotelu, to mogłem nim być tylko ja sam. W promieniu tysięcy kilometrów nie ma żywego ducha. Oprócz tych, którzy kiedyś ożyją. Nie mówiąc o wyjętym z dwudziestowiecznych książek "nie przystosowanym" pilocie Centrali. Bzdury.

Bzdury?

Napchałem usta koncentratem. Jadłem spokojnie, pracując rytmicznie szczękami. Przełknąłem i uśmiechnąłem się. Nie widziałem tego uśmiechu, ale mógłbym o nim coś niecoś powiedzieć. Na przykład to, że moja twarz przyjęła go ze zdziwieniem. Był dla niej czymś zaskakująco nowym.

- Nie - zaprzeczyłem sobie na głos. - Żadne bzdury.

Głos należał do mnie. Parę razy w życiu słyszałem już to jego chrapliwe brzmienie. Jak dotąd radziłem sobie z tym, co następowało potem. Dlatego mogłem latać do gwiazd.

Nie pamiętałem już twarzy człowieka, który był tu u mnie. Nie potrafiłem go sobie wyobrazić, jak idzie teraz przez las. Nie odszedł jeszcze daleko. Czy nie zboczy z nowej ścieżki, którą kazałem wyrąbać automatowi, kiedy razem szliśmy do mojej bazy? Nie, nie zboczy. Zna drogę. Mimo to nie widzę i nie słyszę nic. Nawet kiedy zaciskani powieki i usiłuję przywołać obraz jego szczupłej, wysokiej sylwetki. Idzie, kotłując się, stawia jedną stopę, teraz druga... Nic. Tylko dzwony.

Nie dam się zwieść ciszy. Był tu naprawdę. Powiedział kilka zdań, które warto zapamiętać. A jeszcze bardziej warto pamiętać to, co przemilczał. Co mówiły fakty. Jego wygląd i zachowanie. Jego istnienie, przede wszystkim.

Tej nocy wysłałem na zewnątrz wszystkie automaty. Położyłem się w bluzie, z na pół rozpiętym kapturem. Miotacz ulokowałem w zasięgu ręki.

Tuż przed zaśnięciem wyrosła mi przed oczami twarz profesora Marteau. Zresztą, może to już był sen.

Nazajutrz po raz pierwszy dostrzegłem zmianę w obrazie przekazywanym z przestrzeni. Dwa statki skorygowały program lotu.

Liczby w okienkach przesunęły się o niewyobrażalnie małe wartości, ale biorąc pod uwagę odległość, była to rewolucja.

Złamano drobniawo opracowany program ekspedycji. Dwie załogi zmierzały do nowego celu. Co więcej, trajektorie ich lotu zaczęły się zbliżać.

Powinienem obliczyć parametry styku. Zatrudnić kalkulatory, po czym zasiąść przed komputerem. Niestety, miałem własne, ziemskie kłopoty. To, co działo się na ekranie, było intrygujące, ale nie niebezpieczne. Obraz pozostał przejrzysty. Łączność funkcjonowała wzorowo.

Zresztą, za parę dni i tak dowiem się czegoś więcej. Namiar biegnie torem zbieżnym do pasm znaczeniowych. Ale tylko zbieżnym. Przy gwiazdnych odległościach wystarczy odchylenie niewykrywalne praktycznie przez najczulszą aparaturę. Zdarzało się, że po ostatnim urwanym słowie pilota, któremu eksplodowały silniki, namiar nie istniejącego statku docierał do bazy jeszcze przez kilkanaście minut. Teraz w grę wchodzi nie minuty, lecz tygodnie. Sytuacja się odwróciła. Sygnał kontrolny wyprzedza wszystkie inne.

Przyda mi się tych kilka dni na uporządkowanie moich spraw tutaj. A jeśli nie zdążę...

- Wówczas - powiedziałem, prostując się - nie będę musiał kłopotać się tym, co przychodzi z kosmosu. Jak zresztą cokolwiek innym.

Odszedłem od ekranów. Zapiąłem bluzę, uszczelniłem spojenia próżniowego skafandra i poszedłem do magazynu po kask. Chwilę nasłuchiwałem z uchem przyciśniętym do drzwi, zanim odblokowałem zamek. Jakbym przestał ufać automatowi i zainstalowanej na zewnątrz aparaturze. Sprawdziłem jeszcze nadajniki i wyszedłem.

Wiosna. Dość było jednej ciepłej nocy, żeby las zgęstniał. Gałązki napęczniały, korony niektórych drzew wypełniła już mozaika drobnutkich liści.

Drogę do przecinki zagradzały nieruchome sylwetki automatów. Dwa z nich ustawiły się dokładnie na wprost wejścia. Z wierzchołka kopuły ujrzałem pozostałe. Otoczyły bazę szczelnym kordonem. Zbyt szczelnym, jak na tę planetę.

W powietrzu panował ruch. Ciepłe podmuchy szły pasami tuż nad powierzchnią gruntu. Wyżej wiatr ziębił powłokę skafandra.

Poznałem to po wskazaniach mikroskopijnych czujników klimatyzatora.

Automaty. Ciężkie, ciemne bryły z odpryskami wysięgników. Wiedziałem, że wystarczy jeden sygnał, aby ożyły. Nie sygnał nawet, a najprostsza informacja o zbliżaniu się człowieka, zwierzęcia czy maszyny.

Cała otwarta przestrzeń tchnęła spokojem. Nie działo się nic. Nawet niebo było bezchmurne. Dłuższą chwilę wpatrywałem się w wierzchołek sąsiedniego wzgórza. Starą przecinkę zasłaniały drzewa nawet przed wzrokiem kogoś, kto wiedział, gdzie jej szukać. Splecione korony drzew tworzyły jednolitą masę. Jeśli ktoś szedł teraz tamtędy, zobaczę go nie

wcześniej, aż kiedy wyjdzie na skraj polany.

Stałem parę minut. W pewnym momencie nagłym ruchem odpiąłem kask. Odetchnąłem z ulgą. Nawet jeśli ta cisza jest pozorna, należy do mnie. Ja jestem u siebie. Niech pilnuje się ten, który przyjdzie. Lub ci, którzy przyjdą.

Pomyślałem o najbliższym wieczorze. O człowieku, który zajmie miejsce w moim fotelu i będzie mówił. Mniejsza, o czym. Chodzi o jego głos. Wysoki, pełen dziwacznych, fałszywych tonów. Chwilami twardniejący w beton.

Powinienem sprawić, żeby umilkł. Każdy dzień oddala mnie od mojego pokolenia. Zostaję w tyle za czasem. Po to, żeby strzec śpiących ludzi między innymi przed takimi głosami. Przed złą przygodą. Przed nimi samymi, takimi, jakimi byli w stworzonym przez siebie świecie, który wymknął im się z rąk. Teraz pozwalają temu światu odpocząć od siebie. Niech więc odpoczywa w ciszy.

Człowiek, który albo sprzeniewierzył się swoim obowiązkom, albo, co niemal pewne, w jakiś inny sposób zagraża projektowi "równowagi biologicznej", zamilknie. Zrobię to. Może jeszcze nie dzisiaj. Ale zrobię na pewno. Chyba że mnie przechytrzy.

Nie wiem, dlaczego wyobraziłem sobie, że przyjdzie wieczorem. Spotkałem go w pełni dnia. Słońce świeciło mi w oczy, tak że w pierwszych minutach nie widziałem rysów jego twarzy. A jednak kojarzył mi się ze zmrokiem. Byłem pewien, że przed zachodem nie usłyszę jego głosu.

Okolo piątej po południu skończyłem zwykłe czynności. Sprawdziłem posterunki. Założyłem nowy bęben z taśmą w opróżnionym zasobniku aparatury zapisującej. Nie śpieszyłem się. Nie robiłem niczego po łebkach. To, że skończyłem dwie godziny wcześniej niż zwykle, nie znaczyło nic. Równie dobrze mogłem przeciągnąć zajęcia do północy. A nawet dłużej. Zdarzało się tak już nieraz.

Pięć po piątej tkwiłem w fotelu przed ekranami i wpatrywałem się w szeregi punkcików, jakby naprawdę mogły mi powiedzieć o ziemskich załogach coś więcej ponad to, że jeszcze istnieją. Pół do szóstej wstałem, pochodziłem po kabinie i zjadłem kostkę koncentratu, którą popiłem dwoma pełnymi kubkami wody. Usiadłem znowu, wyprostowałem nogi 'na całą ich długość i położyłem głowę na oparciu. Przymknąłem oczy i wtedy cisza uderzyła z taką siłą, że fotel zawirował pode mną. Żołądek podjechał mi pod gardło. Uniósłem się szybko, usiłując opanować mdłości. Przy najmniejszym ruchu serca dzwonów uderzały mi bezpośrednio w skronie. Moja głowa stała się pudłem rezonansowym, nie tak jak w starym dowcipie o tenorach, nie w przenośni, a w sensie fizycznym. Echo odbijało się od mojej skóry i wracało do wewnątrz, przenikając te wszystkie tkanki i włókna nerwowe, które dotąd jeszcze ocalały, które przechowały tamta ciszę, z dawnego świata.

Trzymało mnie tak dobry kwadrans. Wreszcie wstałem. Chodziłem znowu. Zbliżałem się do niszy z aparaturą diagnostyczną, zawracałem, okrążałem stół, stawałem przy ekranach i szedłem znowu do niszy.

Kilka minut po szóstej skręciłem w stronę przedsionka. Wyszedłem na zewnątrz i zagłębiłem się w lesie. Poszedłem kilka metrów przecinką, zrobiłem zwrot na pięcie i natarłem na ścianę poszycia. Nie zakładałem kasku. Wróciłem zmaltretowany, posiniaczony, z pokrwawioną twarzą. I nie zostawiłem tam, w tym gąszczu., żadnego z dźwięków wyniesionych z kabiny. Wchodząc do bazy, nie zamknąłem za sobą drzwi. Przyszło mi na myśl, że przyjdzie i nie usłyszę jego krzyku. Albo, że zawoła za cicho. Zagłuszą go te syreny, bucuki i dzwony. Odwróciłem fotel tak, żeby widzieć oświetlony resztkami dziennego światła skrawek lasu przed wejściem. Siedziałem i wsłuchiwałem się we własny oddech. Że też dotychczas na to nie wpadłem. ścisnąłem nos i kiedy nabierałem powietrza w płuca, na sekundę, ułamek sekundy, tamte dźwięki ginęły.

Fotokomórki włączyły oświetlenie. Skrawek lasu za drzwiami stał się wydłużonym, czarnym prostokątem. Wstałem i zamknąłem bazę. przeszedłem na środek kabiny, zrzuciłem buty i rozpiąłem bluzę. Zatrzymałem się.

Nie. Jeszcze nie. Przecież i tak nie mam nic do roboty.

Usiadłem znowu. Dziesięć minut po ósmej zacząłem mówić.

- To dobrze pomyślane - powiedziałem. - Potrzywać cię tak, aż skruszejesz. Sam nie wpadłbym na nic lepszego.

- Pod warunkiem - dodałem z namysłem - że wie się, jak ta cisza działa. Słuch. W gruncie rzeczy chodzi tylko o słuch. Tło akustyczne. Trudno powiedzieć, żeby go nie było. Jest może trochę inne...

- Trochę - burknąłem. - Otóż to. Z ust mi to wyjąłeś. Trochę inne. Nic więcej.

Umilkłem. Ale nie na długo.

- Myślisz - spytałem - że on to robi specjalnie? W takim razie w tym, co mówił, mógł być jakiś sens.

- Nie "co mówił" - odparłem - ale w tym, że w ogóle mówił. Co, to nie miało znaczenia. Dlatego

bawił się w zagubionego, nie przystosowanego, jak ze starych melodramatów.

- A ty? - zadrwiłem. - Zamiast go położyć i postawić nad nim automat na wypadek, gdyby nie mógł zasnąć, zachowałeś się jak obrażony kochanek. "Do widzenia". Tylko tyle. A jeśli nie przyjdzie? Znowu pójdziesz w las? Z czujnikami? Tym razem może być trudniej. Jeśli na przykład niesie teraz tę swoją królową na plecach, przez wiosenną łąkę? Czasu dałeś mu dość. Może być już o ładne kilka kilometrów stąd. Odnajdzie w krzakach "Ialkę". Poszuka innej bazy. A ponieważ będzie zajęta, poprosi gospodarza, żeby sobie poszedł. Wtedy staniesz się sławny, za te marne kilkadziesiąt lat. Jeśli oczywiście przeżyje ktoś, kto będzie w stanie powiedzieć: dziękuję.

Podniosłem się. Podszedłem do ściany i nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, przyłożyłem do niej ucho. Stałem tak chwilę. Wreszcie odepchnąłem się ramieniem, zatoczyłem i teraz dopiero gwałtownym szarpnięciem zrzuciłem bluzę. Poczułem, że zaczynam się pocić.

- Uważaj - mruknąłem. - Zaraz będzie pożar.

Zaschło mi w gardle. Zwilżyłem wargi językiem i mówiłem dalej:

- Żadnych głupstw - mój głos brzmiał obco. - Będziesz spał sam. Nie tak jak on. Jeśli to prawda, że tutaj był. Że tam w ogóle jest jakaś stara przecinka.

- Mówiliśmy już o tym. Wzruszyłem ramionami.

- Zgoda - ustąpiłem. - Ale tak czy owak musisz zapewnić sobie prawo wyłączności do tych dzwonów. Zapłaciłeś za to. Słono, jak mi się zdaje. Twoja głowa w tym, żeby całej transakcji nie sprowadzić do kosztów własnych. Masz rację. Na razie nie będziemy o tym mówić. Dość. Poszedłem do łazienki i stanąłem przed lustrem. Uważnie przyjrzałem się swojej twarzy.

- Krew z mlekiem - wymruczałem. - Dziewczę hoże jak malina...

Jeszcze nie malinowe, ale jednak rumieńce. Na czole kropelki potu. Wargi spieczone i w przeciwieństwie do policzków blade, jakby pokryte szronem.

Najwięcej do życzenia pozostawiały oczy. Nienaturalnie szerokie i lekko wytrzeszczone.

□ renice, w których odbijały się mleczne lampy, były wielkie jak u rasowego spaniela.

- Widzisz - powiedziałem z wyrzutem, prostując się. - Nikt o ciebie nie dba. Powinieneś się ożenić i mieć dzieci. Nie byłoby tak cicho.

Odwrociłem twarz od lustra i spojrzałem na aparaturę diagnostyczną.

- Nie wymigasz się - pokiwałem głową. - Zresztą, to nie boli. Usiadłem w fotelu i wcisnąłem klawisz. Na moją głowę nasunął się hełm, przypominający zabytkową suszarkę do włosów. W okienkach tablicy kontrolnej zatańczyły światełka.

Cokolwiek orzeknie aparatura medyczna, wszystko zostanie umieszczone w zapisie, dokumentującym przebieg mojej służby. Oneskę, Tarrowsena i innych specjalistów w Centrali czekają chwile grozy. Przecierpią je jakoś, za to potem powiedzą sobie: a jednak wszystko skończyło się szczęśliwie. Ale ażeby mogli tak powiedzieć, muszę poddać się badaniu.

- Twoja twarz - zauważyłem na głos - załatuje już nie psychologia, tylko psychiatrią.

Niewiele przesadziłem. Odchylenia od normy były może nieznaczne, ale charakterystyczne.

Podwyższone ciśnienie tętnicze, wzrost adrenaliny we krwi, odrobinę za dużo cukru.

Symptomy lęku. Składowe syndromu ciszy.

Będę grzecznym pacjentem.

- Proszę o pigułki - powiedziałem. - Najlepiej antydepresyjne. Jakieś tymoleptyki.

Pigułek nie dostałem. Sprzężony z aparaturą komputer poradził mi w swoim matematycznym języku, żebym się nie przejmował. Powiniennem regularnie jeść, chodzić na spacer i nie żałować sobie rozrywek.

Proszę. A uczono mnie kiedyś, że medycyna to teraz czysta matematyka. Czy cisza równa się zeru? Może dla komputera.

Fakt, że mój domowy lekarz nie zastosował środków chemicznych, stanowił jednak pocieszającą informację. Ciągłe jeszcze tylko psychologia. Nie psychiatria.

Czyli dystans. Humor. Dążenie do celów leżących poza obszarem własnego życia. W mojej sytuacji nie powinno to być zbyt trudne.

Dobrze. Zostawię lustro w spokoju. Będę robił swoje nie myśląc o tym, że czekam.

Przyszedł czwartego dnia w południe. Klęczałem, odwrócony plecami do polany, zmieniając przekładnik w automacie pomiarowym. Usłyszałem sygnał i zaraz potem jego okrzyk. Zawołał "nadchodzi człowiek" czy coś w tym rodzaju.

Wstałem. Zatrzasnąłem pokrywę aparatury, sprawdziłem łącza i wtedy dopiero odwróciłem się.

Stał na skraju lasu, tym razem w pełnym słońcu. Patrzył w moją stronę. Kiedy spostrzegł, że go zobaczyłem, podniósł ręką i pomachał mi na powitanie.

Rozejrzałem się. Żaden z automatów nie zmienił pozycji. Gdyby jakieś zwierzę usiłowało przedrzeć się od strony lasu, usłyszałbym je z odległości kilometra. Nie mówiąc o człowieku.

Przecinki pilnowały dwa aparaty, wyposażone w komplet czujników i miotacze.

Tylko ptak mógł mi sprawić niespodziankę. Albo coś co tak jak ptaki potrafiło korzystać z

powietrza.

Gummi, czymkolwiek był, z pewnością nie umiał latać. Kiedy wyszedł na polanę i zaczął się zbliżać, odgłos jego kroków mógł obudzić siedmiu braci śpiących, razem z wieżą, w której mieszkali. Ale przedtem podchodził tak, jakby umiał przenikać przez drewno. I unosić się nad ziemią.

Bez słowa zacząłem cofać się w kierunku wejścia. Przepuściłem go na odległość trzech kroków i obejrzałem uważnie. Miał na sobie lekki, treningowy kombinezon. Na ramiona narzucił bluzę. Ale nie tak, żeby pod nią mógł coś ukrywać. Kieszenie nie odstawały. Dziwne, że chodzi po lesie bez broni. Widać nie wie, że utrwalony w zapisie głos mojego prawdziwego poprzednika ostrzegał mnie przed zwierzętami.

Stanąłem w przejściu i czekałem, aż zamknie za sobą drzwi. Zrobił to spokojnie i bez żadnych sztuczek. Dopiero wtedy wszedłem do kabiny. Stanąłem pod ekranami i wskazałem mu fotel.

- Jestem - powiedział i usiadł.

- Widzę. Milczeliśmy dłuższą chwilę.

- Mam zostać? - spytał wreszcie.

- Na zawsze?

Uśmiechnął się. Wyglądał nieco lepiej niż cztery dni temu. Jakby odrobinę przytył. Ogolił się. Jego oczy przejrzały. Tylko w ich oprawie, w obrzmieniu powiek, było widoczne zmęczenie.

- Łatwiej radzić sobie samemu - powiedział cicho.

- Ty - podchwyciłem - wiesz o tym najlepiej. Masz skalę porównawczą. Co do mnie, od początku radzę sobie sam. Muszę wierzyć ci na słowo. Dlaczego właściwie - zmieniłem ton - nie zrobiłeś drugiego hibernatora dla siebie? Zabrakło inwencji? Automaty skopiowałyby aparaturę zainstalowaną w niszy bez narażenia cię na trud programowania konstrukcji. A może - dodałem z naciskiem - zostałeś, żeby mieć oko właśnie na tę niszę? Doszedłeś do wniosku, że miliony pod miastem, to w sam raz dla mnie, ale twoja dziewczyna zasługuje na coś więcej?

Przyjął to bez drgnienia. Odwrócił głowę i zaczął obserwować ekrany. Jakby zapomniał, że coś powiedziałem. W końcu odezwał się cicho, z wyraźnym przymusem:

- Nie pomyślałem o tym... Zaśmiałem się.

- Powiedz po prostu - rzuciłem lekko - że nie byłeś śpiący. I chciałeś pomieszkać sam. Żeby zapomnieć, jak to jest, kiedy słucha się ciszy we dwoje. W to mogę od biedy uwierzyć. Ale nie zależy ci na tym, prawda? Inaczej odpowiedziałabyś mi, że nie trzeba kopiować hibernatora, bo w jednym jest aż nadto miejsca. I wymyśliłbyś coś odrobinę mniej niedorzecznego. Krótko - podniosłem głos. - Gadaj, czego tu szukasz?! Dlaczego czekałeś na mnie wtedy, na tej starej ścieżce? Po co przychodzisz? Ale mów tak, żebym nie musiał pytać po raz drugi. No?!

Zawahał się. Spojrzył na mnie niepewnie. Poruszył bezgłośnie wargami i przesunął się ku krawędzi fotela. Jakby chciał być bliżej mnie, gdyby coś postanowił.

- Nie rozumiem - zaczął. - To ty szedłeś tamtędy...

- Nie dosłyszałeś? - przerwałem. - Miało być krótko.

- I szczerze? - uniósł głowę.

- Szczerze.

Wyprostował się w fotelu. Oparcie poszło posłusznie za jego plecami. Przez moment miałem nadzieję, że coś zrobi. Kilka spraw załatwiłbym od razu, za jednym zamachem.

Nie zrobił nic. Ale kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał twardo.

- A więc dobrze. Niczego tu nie szukam. Nic od ciebie nie chcę. Na razie...

Skinąłem głową.

- To rozumiem. Proponujesz mi grę w inteligencję. Dobrze. Możemy się pobawić. Na początek powiedz mi, co u ciebie znaczy "na razie"?

Milczał chwilę. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Pierwszą rundę przegrałem - stwierdziłem.

Spojrzał na mnie. Z jego oczu pozostały szparki. Wolę go takim. Oddychał szybko, ale nie za szybko.

- Uprzedzę cię - burknął. - To jedno mogę ci obiecać. Będziesz miał czas...

- Pod warunkiem, że nie przeoczę tego... uprzedzenia, prawda? Jego twarz złagodniała.

- Szkoda - mruknął ponuro - że nie poznałem cię, zanim się to wszystko zaczęło. Chyba moglibyśmy dojść do porozumienia...

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Szkoda. A wiesz, że to nawet dziwne. Jeśli, jak mówisz, jesteś z Centrali...

Zesztywniał.

Gra miała się ku końcowi. W ten sposób można bawić się rok i umrzeć na melancholię.

Wpadliśmy na to równocześnie.

- Sądzisz - powiedział, przeciągając sylaby - że tylko ty masz prawo pytać? Jesteś na służbie,

zgoda. Ale pełnisz ją po mnie. Czego szukałeś na sąsiednich wzgórzach?

- Jeleni - odparłem szybko. - Spłoszyłeś mi stadko. Nie zauważyłeś przypadkiem, dokąd pobiegły?

- Nie. J a nie poluję na jelenie.

Wstał. Odruchowo cofnąłem się pół kroku. Moje plecy dotknęły ściany. Ogarnął mnie chłód. Przeszedł przez całą kabinę i zatrzymał się koło hibernatora. Jego wzrok prześliznął się po zasłonie niszy, pulpicie aparatury diagnostycznej, łączach stymulatora. Zawrócił w stronę głównego ekranu i przyjrzał mu się bez większego zainteresowania.

Miał służbę przede mną. Nawet gdyby tak było, ja pełnię ją obecnie. Do pewnego momentu muszę tolerować jego istnienie. Przekonam się, co naprawdę tutaj robi, a potem znowu będę sam.

Nie obeszły go również wskazania czujników. Musnął końcami palców powierzchnię pulpitu, jakby sprawdzał, czy dobrze posprzątałem i spacerował dalej. W pewnym momencie usłyszałem syk. Pogwizdywał przez zęby. Chwilę szukałem wątku jakiejś znajomej melodii. Ale nie. Zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że gwizdże na głos. A może to należało do jego repertuaru? Do codziennego przekomarzania się z ciszą?

Przyśpieszył. Krążył dookoła stołu, wysoko unosząc nogi i, zamiatając w powietrzu stopami, kołysał się do tyłu i do przodu, jak maszt łodzi, dryfującej na martwej fali.

Stałem bez ruchu, oczarowany. Prawdziwy średniowieczny szaman, wpadający w trans. Przeszedł gwizdać. Chwilę zachowywał się cicho, po czym zamknął oczy i otworzył usta jak do krzyku. Ale wydał tylko przeciągły świst. Dziecko, naśladujące pracę silników rakiety. Zanim zrozumiałem, o co chodzi, usłyszałem mój własny głos. Odpowiedziałem mu.

Startowałem. Potrafiłem odprawić równocześnie pięć statków i dwa. Rzadko się zdarzało, żeby po upływie trzydziestu sekund leciały jeszcze w szyku.

Zacisnąłem zęby. Syk przeszedł w głośny, wibrujący szum. Moje płuca zmieniły się w dysze, strzelające strumieniami gazów. Wyrzucałem z siebie ciszę. Nie tylko z siebie. Z całej tej kopuły, której ściany nasiąkły nią w ciągu ostatnich lat.

Zaczął mówić. Rzuczał urwane, nic nie znaczące słowa, bez związku. Skoczył do fotela. Zawisnął brzuchem na oparciu, wymachując rękami, jakby pływał. Zrozumiałem, że wyszedł na zewnątrz statku. Odkrzyknąłem mu. Spróbowałem naśladować akustyczny sygnał namiarowy. Ale pozostałem pod ścianą. Wystarczył mi głos. Powtarzałem w myśli nie wypowiedziane zdania, których sens nie docierał do mnie, nie przeszkadzał napawać się uczuciem ulgi. Stałem się lekki, miałem wrażenie, że mógłbym pływać powietrzem jak Gummi. To był prawdziwy lot. Oddałem stery i teraz ja zacząłem gwizdać, jak zwykle po ostatnim meldunku z pola startowego. Miałem swoją ulubioną melodie. Trudno nawet powiedzieć "ulubioną". Po prostu melodie, którą kiedyś usłyszałem i z niewiadomych powodów zapamiętałem jej wesoły refren.

Przyjął mój rytm. Przez chwile słuchał, po czym zawtórował mi fałszywym drugim głosem.

Oderwał się od fotela i zaczął krążyć po kabinie klaszcząc w dłonie. W powietrzu były tylko nasze okrzyki. Jego i moje. Nic więcej.

Ogarnęła mnie czysta, nieprzytomna radość. Rozłożyłem ręce i przetoczyłem się wzdłuż ściany odskakując od niej jak zepsuty robot spadający wewnątrz pochylego szybu. Zrobiło się ciepło, nawet gorąco. Nie krzyczałem już. śpiewałem głupią, starą piosenkę, która od lat krążyła po Centrali i uchodziła za coś w rodzaju hymnu pilotów pozaukładowych. Świała w próżni, gwiazdy, z którymi wraca się na Ziemię, błękitne lądy i takie tam dyrdymałki. Podchwycił ją od razu. Tak mi się przynajmniej zdawało. Kiedy na niego spojrzałem, przyglądał mi się uważnie i powtarzał niektóre słowa. Jego oczy błyszczały jak w gorączce. I znowu fałszował.

Przestałem się uśmiechać. Moja twarz stała się sztywna i obca. Łapiąc równowagę uderzyłem plecami o ścianę. Prawą ręką zawadziłem o półkę, na której leżał miotacz. Czarny, lekki przedmiot spadł z hukiem i wylądował na środku kabiny.

Gummi znieruchomiał. Zastygł w niemożliwej pozie, przegięty do tyłu, z ramionami uniesionymi nad głową. Przywarł wzrokiem do podłogi, dwa kroki przed czubkami swoich butów. Odniosłem wrażenie, że bardzo chciałby patrzeć w inną stronę, ale nie może. Powoli opuścił ręce. Jego ciało wróciło do pozycji pionowej i zaczęło się chylić do przodu. Przykleknął na jedno kolano. Poruszał się jak na zwolnionym filmie. Usta miał wciąż otwarte, ale już nie słyszałem jego oddechu. Pochylił się głębiej. Jego prawa ręka wysunęła się do przodu. Jeszcze kilka centymetrów. Jeszcze.

Wystarczyły dwa szybkie kroki. Lewą stopę postawiłem na miotaczu. Prawą wysunąłem tak, że znalazła się bezpośrednio pod jego twarzą. Nie patrzyłem pod nogi. Czekałem, kiedy uniesie głowę.

Sekundy płynęły. Jego palce trwały bez ruchu, zawieszony kilka centymetrów nad podłogą. Gdyby je wyprostował, mógłby dotknąć wylotu miotacza. Ale dłoń trzymał wciąż zwiniętą w

muszę. Co do mnie, głosy przestały mi być potrzebne.
W końcu usłyszałem dźwięk, jakby ktoś wyrwał wentyl z niezbyt mocno napompowanej piłki.
Podciągnął nogi i przykucnął. Spojrzał na mnie od dołu.
Jego spocona twarz także zapomniała, że powinna być uśmiechnięta. W oczach miał wszystkich złych bogów starożytności. A także jakieś nieme pytanie. Ale odpowiedzi na nie mógł udzielić tylko on sam.

- Muszę już iść - wychrypiął, nie podnosząc się.
- Tak - powiedziałem. Minęło dalsze trzydzieści sekund.

Nie spuszczać ze mnie wzroku zaczął się zbierać. Nie śpieszył się. Nie mógł. Powolutku, z widocznym wysiłkiem, prostował nogi. Dźwignął się w końcu. Odstąpił dwa kroki.

- To było... głupie - bąknął.

Skinąłem głową. Cokolwiek miał na myśli, nie mogłem odmówić mu racji. I nie chciałem.

- Mogę... wyjść?
- Proszę - wskazałem przed siebie.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym zagryzł dolną wargę i ruszył. Głowę trzymał sztywno wyprostowaną, z brodą podaną do przodu. Wytoczył nią sobie kierunek.
Kroki ucichły. Spojrzałem w stronę wyjścia. Stał oparty ramieniem o framugę drzwi i patrzył na mnie. Jakby zapomniał o czymś ważnym lub zrozumiał, że przegapił jedyną okazję załatwienia sprawy, z którą nosił się od roku. W każdym razie nie sprawiał wrażenia zadowolonego z siebie.

- Masz zamiar mnie zaprosić? - spytałem.
- Nie - odpowiedział. - Czy to znaczy, że nie chcesz mnie już widzieć?
- Co powiedziałbyś na moim miejscu?
- Rozumiem - rzekł. - A ty co odpowiesz?
- To samo. Poważnie skinął głową.
- To właśnie miałem na myśli. Chyba że coś udałoby się nam załatwić jeszcze dzisiaj. Teraz.
- Wydaje mi się - powiedziałem spokojnie - że już próbowałeś coś załatwić. Na twoim miejscu nie przeciagałbym struny.

Wysłuchał mnie bez śladu zakłopotania. I bez przykrości.

- Wszystko we właściwym czasie - dodałem po chwili. Przytaknął ruchem głowy. Zastanowił się.
- Czy mogę przyjść z automatem? - spytał. - Przeczesałby trochę ten las. Za każdym razem tracę godzinę na przedzieranie się przez krzaki.
- Przesada. I to podwójna, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wyciąłem ci szosę przez las. Nie. Nie możesz przyjść z automatem. A gdybyś nawet musiał pochodzić po krzakach, to trochę ruchu dobrze ci zrobi.

Odwrócił się. Wszedł do przedsionka i rozejrzał się szukając zamka. Jak za pierwszym razem. Wreszcie znalazł i dotknął listwy. Drzwi odskoczyły. Na zewnątrz panował półmrok.

- Nie zabłądzisz? Wzruszył ramionami.
- Nie martw się o mnie - rzucił. - Wrócę.

Przekroczył próg i przeciął nie istniejącą skałę. Przez chwilę słyszałem jego oddalające się kroki. Szedł przecinką. Oczywiście, że nie potrzebował automatu. To znaczy, do tego, żeby torował mu drogę w skołtunionym poszyciu.

- Co robiłeś wczoraj? - spytałem, kiedy przyszedł znowu, dziesięć dni później.
- Nic - powiedział. Głos miał zachrypnięty. Jego oczy zapadły się głębiej. Były obwiedzione szarofioletowymi obwódkami. Na policzkach widniały cienie. Ręce miał brudne, jakby plewił grządki.
- A przedwczoraj?
- Także nic. I trzy dni temu. I pięć. Coś jeszcze?
- Lenisz się - zauważyłem. - Jak długo myślisz wytrzymać?
- Niedługo - mruknął ponuro. Odwrócił się, rozejrzał po kabinie, po czym ułokował się wygodnie w fotelu. Nie patrzył w moją stronę. Przestałem go obchodzić.

Obszedłem pulpit i oparłem się łokciami na klawiaturze. Utkwiłem wzrok w jego oczach.

- "Niedługo", to znaczy ile? - spytałem beztroskim tonem. - Pięć lat? Dziesięć? Na przykład ludziom w hibernatorze wystarczy jeszcze tylko niespełna sześćdziesiąt, żeby mogli sobie powiedzieć "dzień dobry". Ja potrzebowałbym nieco więcej. A ty?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem - rzekł krótko. - Po prostu niedługo... Umilkłem. Podeszedłem do stołu i usiadłem na nim. Miałem teraz przed sobą jego plecy. I wierzch głowy, spoczywającej na oparciu.

Mijały minuty. Nie działo się nic. W pewnym momencie złapałem się na tym, że zapomniałem o jego obecności, mimo że ani przez chwilę nie spuściłem wzroku z jego włosów.
Wreszcie poruszył się. Usiadł bokiem. Jego twarz ukazała mi się z profilu. Długa, wychudła twarz o ostrych rysach, jakby wyrzeźbiona z kawałka surowej deski.

Upłynęło pięć długich minut, zanim obdarzył mnie spojrzeniem. Wstał, zmienił położenie fotela i usiadł znowu. Jego nerwy nie były w najgorszym stanie. Jeszcze nie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. I żadnemu z nas nie przyszło na myśl zagwizdać. Posłuchać swojego głosu. Cisza była nam na rękę. Przynajmniej mnie. Coś w niej dojrzewa. Zgoda. Zajmiemy się tym później. Na razie milczymy. Nawet, jeśli to milczenie dzwoni. I grają w nim wszystkie naraz piszczałki. Nie milczenie. Cisza. Dotrwał do wieczora. Jeśli początkowo miał zamiar mówić, z każdą chwilą stawało się to trudniejsze. Potem już niemożliwe. Zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Zresztą niczego od niego nie chciałem. Wiedziałem, co robię. Mogłem ciągnąć tę grę jeszcze przez najbliższe dni. Może tygodnie. Ale prędzej czy później kończy się każda gra. Ktoś wygrywa. Ktoś inny płaci. Nie zrobi nic, co pozwoliłoby mi wprowadzić do tej gry nowe elementy. Ożywić ją. Rozszyfrować partnera. A raczej partnerów. Płacić nie będę. Nawet gdyby wszystko miało pójść jedynie na mój prywatny rachunek. Wstał, wyprostował się i bez słowa ruszył do wyjścia. Nie odprowadzałem go. Stałem tak, żeby musiał otrzeć się o mnie, przechodząc. Nadajnik był wielkości szpilki. Wystarczył jeden nieznaczny ruch dłoni. Powiedziałem, żeby nie czekał do lata, tylko przyszedł zaraz następnego dnia. Skinął głową. Kiedy zniknął za drzewami, wezwałem automaty, zabezpieczyłem bazę i poszedłem za nim.

Rozdział 8

Las był pogrążony w ciemności. W konarach drzew panował słaby ruch. Dochodził stamtąd łagodny, suchy szmer. Poza tym w powietrzu był spokój. Po raz pierwszy od bardzo dawna szedłem przecinką sam, bez eskorty. Nie dlatego, że nagle doceniłem własne siły. Ale trudno wymagać od automatów, aby posuwały się na palcach. Co kilkanaście metrów przystawałem i sprawdzałem odchylenie pomarańczowej niteczki widocznej w małym okienku, wbudowanym w korpus odbiornika. Wprawdzie stopień jej jaskrawości również informował o odległości od źródła sygnału, ale wolałem mieć pewność. W końcu mógł po coś sięgnąć do pleców i odkryć tę zabaweczkę, którą tam umieściłem, kiedy wychodził z kabiny. Wyobraziłem sobie, jak zdejmuję bluzę, wiesz ją na pierwszej lepszej gałęzi, a sam cofa się trochę, żeby poczekać, aż nadejdę. Ujrzałem jego twarz. Widoczny na niej grymas jest aż nadto wymowny. Teraz zatarł ręce. Musiałby tkwić w ciszy nie dwadzieścia, ale dwieście lat, żeby znalazłszy ten drobiazg nie połapać się od razu, w czym rzecz. Że ma szansę na jeszcze jedną rozmowę ze mną. Ostatnią. Nie mogłem sobie pozwolić na luksus ofiarowania mu tej szansy. Właśnie dlatego miniaturowy nadajnik kosztował mnie pół dnia pracy. Inaczej wyglądają sygnały emitowane z jednego miejsca, a inaczej ze źródła znajdującego się w ruchu. Oddalającego się. Oczywiście ktoś, komu bardzo by na tym zależało, potrafiłby po cichu przestroić aparacik. Musiał więc być taki, żeby nie dało się go przestroić. Przecinkę przemierzył szybko, do samego końca. Skręcił w lewo i szedł dalej, równoległe do niedalekich już zabudowań miasta, trzymając się stale brzegu lasu. Nie żałował nóg. Przynajmniej nie musiałem bawić się w podchody. Utrzymywałem przyzwoitą odległość. Kiedy przystawałem, ani razu nie słyszałem jego kroków. Las był martwy. Nie licząc ruchu gałązek w górze. I ciszy. Od momentu, kiedy wpiąłem nadajnik w plecy jego bluzy, minęło czterdzieści minut. Przy tym tempie, lekko licząc, cztery kilometry. Nieźle. Wzgórze, na którym go spotkałem, dawno

musiało pozostać w tyle.

Nagle zabrzmiał jakiś dźwięk. Przystanąłem i wstrzymałem oddech. Nasłuchiwałem dłuższą chwilę. Nic. W lewo, na wyciągnięcie ręki, ledwo widoczny pień starego drzewa. Liście najniższej gałęzi dotykały mojej twarzy. Były wilgotne i zimne. Wyteżyłem wzrok. Trzy, cztery metry przed sobą rozróżniłem kępy trawy. Dalej gęstniała czern. Ale wiedziałem, że jeśli zrobię krok do przodu, to granica tej czerni przesunie się wraz ze mną. Wynikało z tego tyle, że nie dotarłem jeszcze do miejsca, gdzie miało paść rozstrzygnięcie.

Dźwięk powtórzył się. Tym razem udało mi się przynajmniej ustalić kierunek. Mniej więcej połowa najbliższego zalesionego zbocza. Niezbyt głośny okrzyk kogoś, kto stoi na przeciwnym stoku, w prawdziwych górach. Człowiek musi dobrze popracować nogami, żeby dojść tam za dwie, trzy godziny.

A jednak ten okrzyk powiedział mi wiele. Dość, żeby moja ręka osunęła się na uchwyt miotacza. Jeśli usłyszę odpowiedź...

Cisza. Ze wszystkim, co do niej należy. Oprócz tego wołania. Ono było stąd. Z tego lasu. Z mroku przede mną. Z rzeczywistości.

Spojrzałem na wskaźnik w moim odbiorniczku. Gummi oddalił się. Przynajmniej trzysta metrów. Jeśli nie pół kilometra.

Ostrożnie odgarnąłem gałąź i ruszyłem. Wydało mi się, że trawa pod moimi butami piszczy jak nadepnięta mysz. Poczułem ciepłą wilgoć na karku.

Nerwy - powiedziałem sobie. - W samą porę...

Mimo to następne kilkadziesiąt metrów przeszedłem na palcach.

Wreszcie wokół mnie trochę pojaśniało. Wydostałem się na niewielką polankę, z trzech stron otoczoną lasem, a z czwartej zamkniętą kępami rozłożystych krzewów. Namiar celował prosto, ale wolałem trzymać się linii drzew.

Byłem mniej więcej w połowie polanki, kiedy kątem oka zobaczyłem błysk. Stałem. Po chwili, wyciągając przed siebie lewe ramię, obszedłem dookoła pień najbliższego drzewa.

Wtedy dopiero utkwiałem wzrok w miejscu, gdzie przed chwilą błysnęło.

Upłynęła nieskończenie długa minuta, zanim światło mignęło znowu. Dalej, niż tego oczekiwałem. Jego źródło pozostało niewidoczne, ujrzałem tylko refleks padający od dołu na mokre liście. Sprawdziłem wskaźnik, chociaż z powodzeniem mogłem to sobie darować. Ktoś świecił tam, dokąd poszedł Gummi. Gotów byłbym uwierzyć, że to jemu samemu znudziło się iść po omacku przez las, pogrążony w najgłębszym mroku. Albo że postanowił poszukać skarbu. Cóż, kiedy wychodząc z bazy nie zabrał latarki. Nie miał przy sobie nic, oprócz chustki do nosa. I mojego nadajnika.

Stałem pod tym drzewem, dopóki nie poczułem na skórze strużek potu. Tym razem zimnych jak lód. Ramię mi zdrętwiało. Po plecach raz i drugi przemaszerowały mrówki.

Pójdę tam. Chociażby dlatego, że jest to jedyne, co mogę zrobić. To dostateczny powód.

Nawet Tarrowsen nie znalazłby słabego punktu w moim rozumowaniu.

Co nie znaczy, że muszę iść tuż za nim. Nie sądzę, abym był zobowiązany ułatwić mu cokolwiek. I tak ma nade mną przewagę. On wie wszystko o stronie przeciwnej. Ja nie. A nic innego, jak właśnie przewaga informacyjna, zawsze, od czasu pierwszych faraonów, zapewniała sukces jednej z walczących stron.

Nasunąłem na czoło kaptur i zaciągnąłem zamek bluzy tak, że kołnierz zakrył mi usta. Pod plecy wsunąłem płaski zasobniczek ogniow energetycznych. Nie zrobiło mi się od tego cieplej. Ale przynajmniej przestałem nasiąkać wilgocią.

Czekałem chyba z godzinę. Dopiero kiedy na las wysunęła się połówka tarczy Księżyca, poszukałem wzrokiem charakterystycznych drzew i zafalowań terenu, tam skąd dobiegło światło. Długo wbijałem sobie w pamięć poszczególne punkty orientacyjne, żeby odnaleźć właściwe miejsce, kiedy zajdę z przeciwnej strony.

Okrzyknąłem polankę, po czym skręciłem w stronę miasta. Wydostałem się na wolną przestrzeń i szedłem dalej wzdłuż lasu. Dwa lub trzy razy przystawałem, szukając wylotu jakiejś starej drogi czy przecinki. Ale nie oddaliłem się jeszcze na tyle, żeby zejść Gummiemu od tyłu.

Kiedy uznałem, że mogę ponownie zmienić kierunek i rozpocząć wspinaczkę w górę zbocza, zauważyłem, że sygnał w okienku odbiornika wygląda inaczej niż do tej pory. Nadajnik leżał już porzucony w trawie albo bluza, w którą był wpięty, dotarła wreszcie wraz z właścicielem do miejsca przeznaczenia.

Pamiętałem dość dobrze układ drzew otaczających miejsce, gdzie ktoś przyświecał sobie latarką. Co z tego, skoro na mojej drodze nie było ani jednego wzniesienia, które umożliwiłoby mi ogarnięcie wzrokiem szerszej przestrzeni. W dalszym ciągu musiałem zaufać pomarańczowej nitce. Kierunek, jaki wskazywała, zgadzał się mniej więcej z tym, co zapamiętałem. W końcu postanowiłem jednak wyleźć na jakieś drzewo, rosnące w pewnym oddaleniu od innych.

Wypatrzyłem jakby ślad drogi pomiędzy najbliższymi bukami i skierowałem się w ich stronę.

Okrażyłem kilka kulistych krzewów i nagle poczułem pod stopami twarde, płaskie podłoże. Tupnąłem mocniej. Drewno. Ale nie luźne deski, porzucone kiedyś wiele lat temu. Raczej zbita z nich nawierzchnia albo pokrywa wpuszczonego w ziemię schowka.

Przetarłem oczy i dostrzegłem przed sobą coś w rodzaju wąskiego pomostu. Nie namyślając się, wszedłem na niego. Moje kroki odbiły się nagle słabym echem. Poda mną była już tylko cienka warstwa drewna. Pomost biegł tutaj nad ziemią.

W tym samym momencie ponownie ujrzałem błysk. Tak blisko, że odruchowo mocniej ścisnąłem miotacz. Chciałem się ukryć w gałęziach i omal nie poleciałem w dół. Drewniany chodnik wisiał mniej więcej w połowie wysokości drzew, przymocowany do ich pni stalowymi obręczami.

Utkwiłem wzrok w miejscu, gdzie tylko co ktoś zapalił światło i noga za nogą, na palcach zacząłem iść dalej. Minąłem kilkanaście drzew, zanim zorientowałem się, że pomost zatacza ciasny łuk. W pewnym momencie z prawej strony otworzył się prześwit. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i raptem z dołu buchnął snop ostrego światła. Cofnąłem się prędko i przykląknęłem. światło zniknęło równie nagle, jak się pojawiło, ale ja nie od razu odzyskałem zdolność widzenia. Jakby ktoś błysnął mi prosto w oczy punktowym reflektorem.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem, był nikły, niebieskawy refleks, pełznący krawędzią pomostu. Nie wstając z klęczek posunąłem się kawałek dalej i spojrzałem w dół.

Nic dziwnego, że zdołałem zapamiętać układ drzew otaczających to miejsce. Poda mną otwierała się stożkowaty lej o nienormalnie stromych stokach. Jego dno stanowiła płaska, pozbawiona roślinności platformka. Niemal całą jej powierzchnię zajmowały niskie, przyklejone do siebie segmenty, jakby jakiegoś pawilonu czy baraku. Budynek był łukiem. Jego tylna ściana przywarła do zboczy, a właściwie tkwiła w nich, przykryta ziemią i darnią. średnica całej dolinki, ledwie rozświetlonej ukrytymi lampkami, dającymi raczej bladą poświatę aniżeli światło, nie przekraczała dwudziestu metrów. Mógłbym przechodzić codziennie górą przez nie wiedzieć ile lat i niczego bym nie zauważył.

Zachowałem spokój. Komfort popadania w osłupienie zafunduję sobie po wszystkim.

Na miniaturowym placyku, otoczonym z trzech stron budynkiem, znajdowali się ludzie. Jeden, dwa, trzy... to znaczy, troje, bo były i kobiety... sześcioro.

Sześcioro ludzi. Nie licząc tych, którzy mogli przebywać wewnątrz pawilonu. Sześć osób, które nie istniały. Nie miały prawa istnieć. Ani tutaj, ani gdziekolwiek poza centralnymi hibernatorami.

Nie wolno mi szukać kontaktu z sąsiednimi "strażnikami". Uczni orzekli, że ryzyko porozumienia się dwóch pozostawionych na służbie pilotów przekracza dopuszczalne granice. Sześcioro. Muszę dobrze pomyśleć, zanim coś zrobię. Skądinąd czas nie będzie teraz mierzony latami. Oni już wiedzą. Nie nauczyli Gummiego piosenki znanej każdemu, kto kiedykolwiek widział bazę kosmiczną z odległości bliższej niż trzysta tysięcy kilometrów. Nie mówiąc o statku dalekiego zasięgu. Nie zatroszczyli się o drobiazgi. Czyli o przekonanie mnie, że Gummi mówi prawdę. Nie potrzebowali tego. Miałem go tylko zaprowadzić do bazy. Raz i drugi. Teraz trafi już sam. Nie sam. Razem z nimi.

Nie obchodzi mnie, kim są ci ludzie i czego chcą. Ich obecność oznacza zapewne coś więcej niż zakłócenie planu rekonstrukcji biosfery. Kilku specjalistów rozmaitych dziedzin mogłoby z tego zrobić doktorat. Historycy na przykład. Ale muszą z tym poczekać. Czterdzieści lat, jeśli mi się uda. Znacznie dłużej, jeśli okażę się gorszy od tej szóstki. Albo nie dość szybki.

Wstałem. Poprawiłem pas podtrzymujący miotacz i zacząłem się cofać. Stapałem jak kot, uważnie badając grunt przed każdym kolejnym krokiem. Przebyłem w ten sposób może piętnaście metrów, kiedy z tyłu dobiegł szelest. Znieruchomiałem. Odczekałem chwilę, po czym ostrożnie przechyliłem się przez krawędź chodnika i spojrzałem w dół.

Niemal zupełny mrok. Pień drzewa ginący z oczu pół metra niżej. Gałąź, której kształtu mogłem się tylko domyślać. Sunąc wzrokiem wzdłuż pnia, natrafiłem na coś, co w pierwszej chwili wydało mi się wyższym od innych krzewem. Ukląknęłem na jedno kolano i wtedy zamajaczył poda mną zarys głowy jelenia. Stał bez ruchu. Ale na próżno wmawiałem w siebie, że to tylko cień. Rozgałęzienia jego rogów sięgały niemal płyty drewnianego chodnika.

Położyłem palec na spuście. Pomyślałem chwilę i cofnąłem rękę. To prawda, że wiedzą, gdzie mnie szukać. Ale może zechcą jeszcze poczekać. Ofiarować mi parę godzin, żeby nasze szansę się wyrównały. Naturalnie, jeśli teraz zaraz nie pokażę, że i ja potrafię ich znaleźć. Jeśli nie zdradzę swojej obecności nad tą ziemianką, jakby wyjętą z historycznego filmu. Jeśli nie zdradzę swojej obecności.

Właśnie.

Poda mną coś się obudziło. Coś zaszurało w zaroślach. Duże, ciężkie zwierzę, które nie boi się myśliwego. Ani niczego innego. Chce tylko jak najprędzej wydostać się na wolną przestrzeń. Zapewnić sobie zdolność manewru.

Pytanie "kto będzie szybszy" nabrało innego wymiaru. Zdecydować miały ułamki sekund.

Zacząłem biec. Pomost odpowiedział głuchym łomotem. Z daleka wróciło echo. Jakby w las uderzyła nagle wichura i kładła drzewa jedno po drugim. Całą uwagę skupiłem wyłącznie na tym, żeby trzymać się środka drewnianego chodnika.

Ostatnia pochyłość i zbiegłem na łąkę. Las ucichł raptownie. Znieruchomiałem na ułamek sekundy. Wystarczyło, żeby pochwycić wzrokiem wyłaniający się z czerni kształt rogatej, pochylonej głowy. Niemal nie celując nacisnąłem spust.

Był blisko. Poraziła mnie upiorna jasność. Wydało mi się, że wiązka promieni zawirowała pod moimi powiekami. Strzelił płomień, który w pierwszym podmuchu osmałił mi twarz.

Nie mogłem czekać, aż wokół ponownie zapanuje noc. Aż zgasną krążące mi przed oczami iskry. Rzuciłem się na oślep, lewym ramieniem chroniąc głowę i miotacz przed rozbięciem o drzewa. Potrafiłem utrzymać kierunek. Mniej więcej. To było wszystko, czego mogłem od siebie wymagać.

Miałem szczęście. Zaledwie trzy, cztery razy uderzyłem barkiem o jakiś wyrosty z ciemności pień i wydostałem się na znajomą polankę. Biegając na przełaj dopadałem już lasu po przeciwnej stronie, kiedy za moimi plecami zabrzmiały zmieszane głosy. Obejrzałem się, ale polanka była jeszcze pusta. Przyśpieszyłem. Potknąłem się i wyciągnąłem jak długi, grzęznąc brodą w kolczastym krzaku. Nie poczułem bólu. Zerwałem się i biegłem dalej, bliżej ściany krzewów, żeby nie przegapić wylotu przecinki.

Znalazłem ją dalej, niż przypuszczałem. Znacznie dalej. Za sobą miałem już nie tylko nawoływania, ale tupot biegnących ludzi. Znali teren lepiej niż ja. Mieli więcej czasu. I nie spędzali go we wnętrzu fałszywych skał na szczycie wzgórza. Ich bazą był las. Las poznaje się najdokładniej, polując. Choćby to były łowy najdziwniejsze ze wszystkich. Z jeleniami. Na ludzi. Biegłem pod górę nie zwalniając tempa, chociaż serce podchodziło mi pod gardło i dławiło oddech. Już kilka razy unosiłem ramię, żeby odrzucić miotacz. Kaptur spadł mi z twarzy, pewnie podczas tego lądowania w zaroślach, zamek kurtki zsunął się na sam dół, ale nie przyniosło mi to ulgi. Z największym trudem łapałem w płuca gramy powietrza. Noc przede mną zrobiła się czerwona, nie słyszałem już nic, poza szumem krwi w skroniach.

Zatoczyłem się na ścianę zieleni, odbiłem od niej, poleciałem w przeciwną stronę, ostatnim wysiłkiem zrobiłem jeszcze dwa kroki do przodu i uderzyłem nogą o coś twardego. Korzeń. Jakbym dotknął stopą progu własnego domu. Pamiętałem go. Jeden jedyny korzeń pozostawiony przez automat. Po to, by teraz dał mi znać, że do bazy nie zostało więcej niż sto metrów. Trafiłem jak po sznurku. Gdyby nie przecinka, nie miałbym żadnej szansy. Teraz najgorsze było poza mną. Wystarczy wezwać automaty i zaczekać na tamtych.

Tak. Właśnie tak wtedy pomyślałem.

Ktoś świecił mi prosto w oczy. Były zamknięte, ale ostry blask dostawał się pod powieki i przewiercał czaszkę jak promień lasera. Odruchowo ściągnąłem brwi i spróbowałem ostrożnie odwrócić głowę. Poraził mnie paraliżujący ból.

Wiatr. Słyszę go w gałęziach drzew. Ale nie tutaj. Daleko, na skraju polany. Niesie zapach ziół. Tylko dlaczego nie porusza liści?

Zaraz. Jest wczesna wiosna. W takim razie to nie zioła, tylko ziemia. świeża, wilgotna ziemia. Pośpieszyłem się z tymi ziołami.

Jestem poza bazą. Siedzę na ziemi. I ktoś świeci mi w oczy.

Chwileczkę. Pomyślmy spokojnie. Ziemia? Jeśli tak, to dlaczego jest mi gorąco? Pocę się. Nie chłodzi mnie nawet ten jakiś wiatr. Siedzę na ziemi. Ale nie dotykam jej., Jakbym nie miał nóg. światłem zajmę się później. Na razie muszę dojść, jak naprawdę jest z tymi nogami. Podciągnąłem stopę. O milimetry. Obezwładnił mnie ponowny napad bólu. Ale udało mi się zlokalizować jego ognisko. Głowa. Jednak głowa. Od niej promieniuje żar oblewający całe moje ciało. To z głową jest coś nie w porządku. Postanowiłem ponowić próbę. Tym razem chciałem uruchomić rękę. Napiąłem mięśnie, ale daremnie.

Nie zdołałem także otworzyć ust. Wargi miałem pokryte grubą warstwą zeschniętego kleju.

Odezwałem się jednak.

- Z ręką - wyskrzeczalem - też coś jest nie tak, jak trzeba...

- Leż spokojnie - usłyszałem w odpowiedzi.

Zmartwiałem. Od dobrej chwili podejrzewałem, że to nie wiatr. Ktoś nade mną stoi. Gummi? Nagle, w ułamku sekundy, otrzeźwiałem. Odzyskałem nogi. I ręce. Jedne i drugie były przywiązane do pnia, pod którym siedziałem.

Przemogłem się i uniosłem powieki. Nie na wiele mi się to zdało. Mój wzrok ugrzązł w czymś białym. światło złagodniało.

Bandaż. Nie potrzebowałem go. Komuś zależało, żebym mógł widzieć przed sobą jedynie wąziutki pas ziemi przez szparę pozostawioną w rzekomym opatrunku.

Nikt nie świecił mi w oczy. Siedziałem twarzą do słońca. Był dzień.

- Jak się czujesz?

Ten sam głos, co przed chwilą. Wysoki i napięty jak lina holownicza. Nie należał do Gummięgo. Podobnie jak męskie stopy w grubych papuciach, jakie ukazały się w moim polu widzenia. Mogłem dojrzeć jeszcze strzępy zwisające z nogawek spodni. Wyżej był już bandaż. Przełknąłem ślinę. W gardle tkwił mi kłęb suchej jak pieprz waty. Rozerwałem wargi i zwilżyłem je końcem języka, ale nie zdołałem wydobyć głosu.

Usłyszałem szelest. Stopy znikły. Coś zabrzęczało. Poczułem na brodzie zimno. Uderzył mnie ostry zapach jakby dzikiego zwierzęcia. Dotknięcie chłodnego metalu na wargach odczułem jak cios. Odruchowo szarpnąłem się do tyłu. Moja czaszka zareagowała na ten ruch jak dziecinna grzechotka, sporządzona z ołowiu. Pociemniało mi w oczach. Skuliłem się i czekałem.

- Pij!

Coś twardego ponownie przyłgnęło do moich warg. Pocięło mi po brodzie. Musiałem otworzyć usta. Przełknąłem raz i drugi. Ręka trzymająca kubek cofnęła się.

- Jeszcze - powiedziałem. Głos brzmiał jak mój własny. Wata w gardle zeszała odrobinę niżej. Nie stawiała już takiego oporu jak przed chwilą.

Piłem, dopóki ostatnie krople nie spłynęły mi kącikami ust. Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

- Taaak... - powiedziałem. - Proszę? Jak się czuję? To chyba nie ma znaczenia?

Nie odpowiedział. Odszedł kilka kroków. Przez moment znowu widziałem nogawki jego spodni. Potem usłyszałem go za sobą. Robił coś przy pniu, o który opierałem się plecami. Pewnie sprawdzał, czy może przyjąć do wiadomości, że czuję się lepiej.

- Gdzie Gummi? - spytałem. - Albo jak go tam nazywacie. Jeszcze śpi? Dlaczegożby nie? Teraz, kiedy zrobił swoje...

Kroki przybliżyły się.

Czekałem. Sekundy płynęły. Mało brakowało, a zacząłbym liczyć na głos.

- Podobno zaprogramowałeś automaty na hasło? - głos dobiegał z góry. Stał tuż obok i pochylał się nade mną.

Milczałem chwilę. W końcu ponownie spróbowałem podciągnąć nogi w kolanach. Bez powodzenia. Ale moja czaszka zaprotestowała 'odrobinę' mniej gwałtownie. To było już coś.

- Jesteś sam? - spytałem. - Zostawili cię? Dlatego nie mogę ruszyć ręką ani nogą? Musiałeś się naczać książek o dawnych policjantach. Swego czasu, oczywiście. O ile się nie przesłyszałem, napomknąłeś coś o moich automatach. Nie zdaje ci się, że to rozdział z innej epoki?

- Jakie to hasło?

Nie tracił czasu. Jego głos zabrzmiał o ton wyżej. Na to, co mówiłem, nie zwracał uwagi większej niż na swoje spodnie. Te ostatnie znowu ukazały się w sparzę pod bandażem. Ich nogawki wyglądały jak flagi na zdobytym szczycie. W dwudziestą rocznicę zwycięskiej ekspedycji.

Zastanowiłem się. Nie. Za wcześnie. Moje myśli przypominają żuczka, który próbuje wydostać się ze słoika. Pokonuje jakiś odcinek drogi, po czym spada i dłuższą chwilę przebiera łapkami. Wreszcie przewraca się na brzuszek i jest gotów do podjęcia następnej próby. Równie daremnej. To wina głowy. Zresztą, trudno powiedzieć: wina. Nie jest kowadłem. Nie jest nawet piłką do palanta.

Zgoda. Powinna mnie jednak ostrzec, że najlepiej poluje się z nagonką. Że ci, którzy za mną biegli, byli bardziej głośni niż szybcy. Po to, by jeden z nich zdążył dopaść starej przecinki na górze i poczekać na mnie opodal bazy. Tego nie wymagałbym od piłki ani kowadła. Co innego z głową.

- Tak - powiedziałem na głos. - To wina głowy. Co to było? Kawalek kabla? Czy zwykła łopata? Zdaje się, że uprawiacie tutaj jarzyny?

- Pytałem o hasło - powtórzył z naciskiem. Był spokojny. Może nazbyt spokojny. W jego głosie brzmiał fałszywy ton, który kazał mieć się na baczności.

Dopiero w tym momencie zaszumiło mi w skroniach. Z tyłu głowy obudziło się gorące źródło i zaczęło pulsować. Odzyskiwałem czucie. A z nim świadomość sytuacji.

Nie da się ukryć, że mogła być lepsza. Pomijam, że wylazłem pod drąg jak dobrze napędzona foka. Że leżę teraz z opaską na oczach przywiązany do drzewa i udaję wodza Apaczów, któremu w końcu podwinęła się noga. Nie jestem atletem, tylko pilotem. Ale popisałem się właśnie jako pilot. Cisza to mój żywioł. Więcej. Mój zawód.

Teraz muszę zaczynać od nowa. Naprawiać błąd. Jeśli oczywiście zostało coś do naprawienia.

Zaświtała mi pewna myśl. Uznałem ją za chytrą. Nawet przewrotną.

- Hasło? - zacząłem pojednawczym tonem. - Nic ci z tego nie przyjdzie. Automaty reagują na brzmienie mojego głosu. To kwestia modulacji. Tego nie potrafię nauczyć nikogo. A pomyłka będzie cię drogo kosztować. Nie wypłacisz się do końca życia. Nawet gdybyś potem miał żyć dłużej niż ułamek sekundy.

- Dobrze. Jak ono brzmi?

Umilkłem. Ale tylko na chwilę. I nie straciłem nic ze swego sprytu.

- Sądzisz, że ci powiem? - spytałem łagodnie. - Tak od razu? Posłuchaj. Należysz do ludzi, którzy nie istnieją. Zostawiono mnie, bym tego dopilnował. To znaczy, żebyś ty nie istniał, zanim biosfera nie wróci do równowagi, a z gwiazd nie nadejdą pierwsze meldunki. Mimo to zjawia się najpierw ktoś z rozczulającą historyjką o dziewczynie zajmującej hibernator. Potem przekonuję się, że nie jest sam. Wreszcie rozbijacie mi głowę, po czym żądacie, żebym oddał bazę. Nie sądzisz, że przedtem należy mi się mała zaliczka? Rozwiąż te idiotyczne liny. Popatrzmy sobie w oczy. Powiedz mi, o co ten cały kram. Potem zobaczymy.

Nie śpieszył się z odpowiedzią. Może zresztą powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Nie wiem. W uszach dźwięczały mi moje własne słowa. Wszystko się zgadza. To, że używam lekkiego tonu nie zwiedzie nikogo. A najmniej mnie. Nie kieruję się żadną myślą. Mój ton jest taki, ponieważ mam rozbitą głowę. I gram na zwłokę.

Raptownie, jak pod wpływem uderzenia prądu, nastąpiło przebudzenie. Żuczek rozwinął skrzydła i wyleciał ze słoja. Dla niego byłoby może lepiej, żeby tam został. Ale miał jakieś swoje sprawy do załatwienia. Mógł to zrobić tylko na wolności.

- Czekam - rzuciłem. - Jak długo będziecie mnie trzymać pod tym drzewem, nie usłyszysz ode mnie słowa.

Zaśmiał się. Przebiegł mnie dreszcz. Zrozumiałem nagle, co w jego głosie nie dawało mi spokoju. Musiałem dopiero usłyszeć jego śmiech.

To cisza. Nie dał jej rady. Pomimo że nie był sam. A może właśnie dlatego? Jeśli zbyt często o niej mówił? I słuchał ludzi, dotkniętych tą samą chorobą?

Profesor Marteau, Oneska, Tarrowsen. Oni wszyscy. Najedli się strachu, choć żadnemu z nich nie przyśnił się taki śmiech. Jednak mieli dość czasu do zastanowienia. Obliczyli prawdopodobieństwa aktywizacji atawizmów, które znali z historii procesów przystosowawczych. Okazało się, że te bez mała dwa wieki, dzielące nas od okresu, kiedy masy mieszkańców Ziemi ledwie nadążały, lub nie nadążały wcale, za ekspansją własnej cywilizacji, kiedy poszczególne gałęzie nauki strzelając bez ładu i składu daleko poza ramy epoki, sprowadzały na oślepionych, z konieczności biernych ludzi, lęki i neurozy, to diablo mało. Instynkt samozachowawczy kazał naszym przodkom szukać ocalenia w panicznej ucieczce od wszelkich aglomeracji. Jedynym możliwym do osiągnięcia azylem była wówczas pseudopierwotna natura i cisza. Zieleń. Taka, z jakiej kiedyś tu, w Parku świateł, wybiegło do mnie wołanie o pomoc. Od kogo? Czy też przeciw komu? I kto wystąpił w roli żandarma? Mężczyzna, którego miałem przed sobą? Gummi?

To są szczegóły. Drobiazgi. Istota gry, jaka toczyła się w tym lesie od dziesięcioleci; była już dla mnie jasna. Pionki stanęły w szyku. Właśnie, pionki.

Jak powiedział Gummi? "Minuty ciszy. To było moje życie"...

Już wtedy uderzył mnie w brzmieniu jego głosu fałsz, rozpaczliwie tajony przed samym sobą. To dawało mi szansę. Oczywiście, jeśli prawidłowo oceniam sytuację. Popełniłem błąd. Nie wolno mi było odkładać niczego na później. Nie byłem historykiem, ale czytałem kilka książek o świętej Inkwizycji. A także innych organizacjach, rządzących za pośrednictwem ślepo posłusznych funkcjonariuszy nie rozumiejących, że rozdęta do groteskowych rozmiarów idea, jaka kiedyś ich połączyła, dawno już zgubiła służebną funkcję społeczną i trwa jedynie jako Wyraz osobistych kompleksów jej kapłanów.

Fanatyzm potrzebuje przywódców. Te wystrzępione spodnie należą do jednego z nich. Lub jedyne. Także to dawało mi szansę. Jeśli tylko potrafię nawiązać kontakt z innymi. Znowu przyszedł mi na myśl Gummi. Ale był ktoś jeszcze, przynajmniej jeden. Ktoś, kto odważył się zaczepić mnie znieścacka i prosić o pomoc.

Zostawmy to na razie. Dość, że oprzytomniałem. Minie jeszcze kilka minut, zanim będę mógł powiedzieć, że wiem, czego chcę. A następnie, jak tego dopiąć.

Las stał bez ruchu. Od strony zabudowań nie dochodziły żadne dźwięki.

Nagle mężczyzna przemówił. W jego głosie nie pozostało już ani odrobiny śmiechu.

Zmatowił. Przycichł. Przechodził w syk, na krawędzi wybuchu. Brzmiała w nim tylko nienawiść. Wysublimowana i stężona jak paliwo raket. Równie czysta i równie mało ludzka.

- Oczekiwać, że cokolwiek zrozumiesz! Konstrukcje informatyczne, protezy, stymulatory, pola i prądy. To twój świat. Ty chcesz mi spojrzeć w oczy?! Wiesz, czym jesteś? Maszyną. Możesz tylko wykonywać rozkazy. Poruszać się od do. Jak każdy automat. J a reprezentuję tutaj życie. Jego prawdziwe wartości. Ciszę. Ciszę, rozumiesz?!

- To wszystko już słyszałem - powiedziałem spokojnie. - Nie wiem wprawdzie, o co tyle hałasu, skoro na całym kontynencie prócz was i mnie nie ma żywej duszy. Miasta milczą, ziemia porasta lasem. Rozumiem, że nie poszliście spać z innymi, żeby żyć w ciszy. Macie ją. Czego jeszcze chcecie?

- Twojej bazy.

- Tylko tyle?

- Staliśmy się napowrót ludźmi. Nie rezygnujemy z tego. Nikt z nas nie przeżyje powrotu do miasta. Ale nie chodzi tylko o życie. O coś więcej. O czas i przestrzeń dla dojrzewania. Twoja współczesność jest zielona i kwaśna. Jak ledwo zawiązane pomidory, pędzące na taśmie do przetwórci. Nie jesteście w stanie poczekać, aż cokolwiek dojrzeje. Las, pole, zwierzęta. Pragnienie lub głód. Myśl ludzka i człowiek.

- Dlatego - przerwałem - chcesz zniszczyć ten świat? Także w połowie drogi? Także niedojrzały i kwaśny, jak sam powiedziałeś?

- Nie chcę niczego niszczyć - w jego głosie zabrzmiało jakby zdziwienie. - Przeciwnie. Opanowałem się. Byłem rad, że nie może widzieć mojej twarzy.

- Rozumiem - powiedziałem. - Nie chcesz niszczyć Ziemi. Tylko ludzi, którzy nie potrafią czekać. Ależ oni teraz właśnie czekają. A poza tym, załóżmy, że zaczniesz od początku. Stworzysz nowy gatunek człowieka. Naprawdę myślisz, że będzie lepszy? Że sprawy potoczą się innym torem?

Nie odpowiedział od razu. Coś robił. Słyszałem szelest. Oddalił się. Kiedy przemówił, jego głos dobiegał jakby zza drewnianej ściany. I brzmiał głucho.

- Nic nie rozumiesz. Nie potrzebuję niczego niszczyć. Ziemi ani ludzi. Jest nas tutaj siedmioro. Nikt nie chce wracać do twojego świata. Nie damy odebrać sobie ciszy. Ani teraz, ani za sześćdziesiąt lat. Lub osiemdziesiąt. Dopóki będziemy żyć. Potem róbcie, co chcecie. Poruszyłem głową. Moje ciało przeszył bolesny prąd. Syknąłem i znieruchomiałem.

- Tylko od ciebie zależy - usłyszałem natychmiast - jak długo będziesz tak siedział. Wiesz, czego od ciebie chcemy.

Zaczerpnąłem powietrza. Ból ustępował powoli. Mogłem mówić.

- Bazy - wykrztusiłem. - Wiem. Choć nie rozumiem, po co. Znudziła wam się ta dolinka? Ciszej tu niż tam, na górze. Jeśli o to chodzi.

- Tym się nie kłopotz - głos mojego prześladowcy zbliżył się znowu. - Uważaj. To nie jest prośba. Masz mi dać hasło dla automatów. Nie bój się. Posprzątam po sobie. Wrócisz do swoich ukochanych maszyn i koncentratów, jakby prócz ciebie nikt tam nigdy nie zaglądał. A więc mam wrócić. Nic nie było mnie w stanie zdziwić. Poza tym jednym.

- Chcesz znać tylko hasło?

- Tak.

- Powiem ci, jak brzmi. "Cisza". Usłyszałem jak nabiera powietrza w płuca.

- Kłamiesz! - wybuchnął. - Ta zabawa może cię drogo kosztować. Pójdiesz z nami.

- Chętnie - odparłem. - Skoro raz znajdę się w pobliżu, bazy i podam prawdziwe hasło, automaty zrobią wszystko, co każę. I to będzie wasz koniec.

Skoczył. Usłyszałem go tuż przy sobie. Poczułem na twarzy jego oddech.

- Ty...! Będziesz mnie całował po rękach, jeśli wyjdiesz stąd żywy!

Odczekałem chwilę.

- Muszę wiedzieć - powiedziałem - dlaczego tak wam zależy, żeby wejść do bazy.

Jakiś czas wisił nade mną, nisko pochylony. Czułem na skórze bijące od niego ciepło. I zapach zgonionego zwierzęcia. Wreszcie wyprostował się.

- Powiem ci - zaczął zachrypniętym szeptem. - Nie ma najmniejszego znaczenia, czy będziesz wiedział, czy nie... - urwał. Uspokoił się. Jego głos odzyskał swoje matowe brzmienie. - Wprowadzimy małą poprawkę do programu, jaki przygotowano dla hibernatorów. Nie osiemdziesiąt, a sto dwadzieścia lat. To wszystko.

Zastanowiłem się. Tak. Tym razem to naprawdę wszystko. Przynajmniej z jego punktu widzenia. Obliczył sobie, że pożyje jeszcze te dziewięćdziesiąt, może sto lat. On i sześcioro pozostałych. Byli dzieciuchami, kiedy to się zaczęło. Pragną mieć spokój, dopóki żyją. Potem niech się dzieje, co chce.

Czy naprawdę tego pragną?

- Powiedziałeś, że potem zostawicie mnie w spokoju. A ja, naturalnie, natychmiast przeprogramuję automaty z powrotem. Więc jak to jest z twoimi obietnicami?

- Położymy cię spać w twoim hibernatorze. Na tyle, ile trzeba, abyś obudził się równocześnie ze wszystkimi. Nic ci się nie stanie. Przeciwnie. Skrócimy ci okres samotnego czatowania w tym kopulastym pudle.

- Powiedzmy, że to prawda - ustąpiłem. - Ale z mojej bazy nie da się przeprogramować automatów głównego hibernatora. Niedorzeczność. Mogę dać sygnał awaryjnego budzenia. Każda inna próba musi doprowadzić do obudzenia wszystkich śpiących ludzi. Albo do ich zagłady, w wypadku równoczesnego odcięcia źródeł zasilania. Do właściwej dyspozytorni, obok hibernatora, nie podejdziesz bliżej niż na trzy kroki. Pole siłowe. Osłona daleko pewniejsza, niż moje automaty.

Ponownie usłyszałem jego śmiech. Do wszystkich odcieni jego głosu dołączyła nutka tryumfu.

- Nie wysilaj się - rzucił, - Byliśmy w Centrali. Widziałem schematy. Możesz być pewny, że

poradzę sobie z twoją aparaturą.

To on był w pracowni Tarrowseña. Teraz to już i tak nie ma znaczenia.

- Nie - powiedziałem twardo. - Nie poradzisz sobie. Najwyżej ich zabijesz. Ale załóżmy przez chwilę, że jest inaczej. Przeprogramujesz ten jeden hibernator. A inne? Na łąkach i wyspach? Wiesz, ile ich jest?

- Wiem. Znam plany. O to niech cię głowa nie boli. Sześćdziesiąt lat to dosyć, żeby załatwić sprawę do końca. Każdą sprawę. Nie sądzisz?

Zamknąłem oczy. Poczułem, że tracę przytomność. Wziętem się w garść i przemogłem omdlenie. Nie mam zbyt wiele czasu. Bardzo niewiele, jeśli się zastanowić. W przeciwieństwie do niego. Do nich. Tym razem powiedział prawdę.

- Mogę się zgodzić, że nabierzecie wprawy - próbowałem mówić obojętnym tonem, chociaż każde słowo odbijało się głuchym, łupiącym echem w mojej czaszce. - Zastanawia mnie jedno - ciągnąłem. - Dlaczego wy nie użyjecie automatów? Czekają tylko w mieście, aż po nie przyjdziecie. Od robotów kuchennych do samobieżnych agregatów saperskich. Tymi możecie przejechać przez moją bazę tam i z powrotem. Po co ta cała komedia?

Nie ryzykowałem wiele. Domyślałem się, co odpowie. I nie pomyliłem się.

- Dla ciebie to komedia. Dla nas sprawa życia i jego wartości. Jesteś ślepcem. Kaleką. Nie masz oczu, nosa, warg, kory mózgowej, tylko protezy. Przekazniki i łącza aparatury informatycznej. Jedyne, co potrafią twoje palce, to przyciskać klawisze i przyzywać automaty. Nie czujesz, gdzie kończy się twoja skóra, a zaczyna powłoka skafandra. Od świtu do nocy pozostajesz pod działaniem ogłupiającego wrzasku tłumów, łoskotu maszyn, grzmotu rozrywanej atmosfery. Nie wiesz nic. Nic.

- Tak - zgodziłem się potulnie. - Nie wiem nic. Czuję, że za chwilę stracę przytomność. Młodzi ludzie, obciążeni defektami procesów przystosowawczych poprzednich pokoleń. Dobrali się w korcu maku. Ilu takich jak oni pozostało na świecie? Kto wie, może niemało? Może dawne czasy tkwią jeszcze w genach nas wszystkich, jak to ziarno, znalezione w starożytnym dzbanie, które wydało kiełki po tysiącach lat, gdy tylko trafiło na urodzajną glebę? Czy to nie tego właśnie najbardziej obawiali się Tarrowseñ i Oneska? Samotni strażnicy pokochają ciszę i nie obudzą cywilizacji. Ale ziarno musi przecież trafić na podatny grunt. Atawizmy nie zawładną dobrze wyszkolonym pilotem.

Temu w wyświechtanych portkach i jego towarzyszom pomogła okazja. Projekt "równowagi biologicznej" dał im szansę, o jakiej nie mogli nawet marzyć. Ale musiało być w nich coś takiego, że zechcieli lub, jeśli kto woli, musieli skorzystać z okazji.

Przypadek zrządził, że się spotkali. Kiedyś, dawno temu. Zapewne w jakimś rezerwacie, z plecakami i wodą w manierkach. Dobrze im było razem, w ciszy. Chłonęli pełnymi piersiami wiatr, ich oczy biegły do zielonej linii horyzontu i wydawało im się, że sięgają głębiej w sens własnego istnienia. Biedacy. Żaden z nich nie pomyślał, że źle znosi współczesną cywilizację, ale że mimo wszystko jest ona jego jedynym światem. Że odrzucenie go będzie czymś stokrotnie, tysiąckrotnie gorszym. Ich przodkowie, młodzież ery kryzysu cywilizacyjnego, palili marihuanę. Czasy się zmieniły. Przystosowanie jest procesem równie uporządkowanym i sterowanym, jak wychowanie. Widać współcześni nie przystosowani, dziewczęta i chłopcy z odchyleniami genetycznymi, narkotyzują się ciszą. Ci tutaj zrobili z niej coś w rodzaju bóstwa czy religii, kiedy wymknęła im się spod kontroli. Tak samo postępowali ich praprzodkowie. Wobec sił przyrody, chociażby. Żywiółów.

Tak. To tylko cisza.

Spróbowałem jeszcze jednego.

- A jelenie? - spytałem. - Precyzyjnie zaprogramowane automaty obleczone w skóry. Jeśli tak wzdrgacie się przed maszynami, to gdzie je umieścisz? Jakoś nie zauważyłem, żebyście ciągnęli je na sznurku. Nie mówiąc o produkcji. Więc jednak klawisze.

- Były ze złomu - warknął. - Robiliśmy je tutaj. Wszystkiego osiem egzemplarzy.

Zamaskowałeś bazę.

- Ja?

Tak, baza była zamaskowana. Należało ją wytropić. Pierwsze sztuki wypróbowali na moim poprzedniku. Ale nie zdążyli przed upływem jego kadencji. Zniszczył dwa lub trzy. Zostało w sarn raz tyle, żeby uporać się ze mną.

- Dlaczego właśnie jelenie? - wykrztusiłem.

To głowa - pomyślałem. Nie obeszlę się z nią zbyt łagodnie. Dlaczego stawiam pytania godne pięcioletniego dziecka. Po pierwsze, cóż mnie mogą obchodzić powody, dla których swoim automatom nadawali kształt jeleni, a nie, powiedzmy, dzików. Po drugie to musiało być zwierzę. Dostatecznie duże, aby mnie przestraszyć' kiedy szarżowało. Zmusić do ucieczki.

Dokąd? Do bazy. Na oczach ciekawskich, którzy dotąd nie wiedzieli, gdzie jej szukać.

Jakakolwiek inna konstrukcja uprzedziłaby mnie od razu, że nie jestem sam. Wtedy zacząłbym działać. Skuteczniej niż po wizycie Gummięgo. No a potem nie zależało im już na

dyskrecji. Przestała być potrzebna. Stąd właśnie wziął się Gummi. Zabrali z Centrali nadajnik dużej mocy. Było ich tam mnóstwo. U uruchomili go. Wiedzieli, że zakłócą pracę moich odbiorników, że zażądają wyjaśnień od komputera i że je otrzymam. "Obcy sygnał". To był ich ostatni krok. Skuteczny. Wyszedłem z bazy i podążyłem prosto w stronę Gummi, który zmierzał na spotkanie ze mną, pewny już swego. Zaufał moim szarym komórkom. I nie zawiódł się. Nic innego nie mogłoby im dać pewności, że wyjdę właśnie w tym kierunku, gdzie będzie czekać Gummi. Że zawrzemy znajomość. Że, tym samym, odkryję przed nim lokalizację bazy. Tak, oni nie zawiedli się na moich szarych komórkach. Ale ja także nie. Bo i ja musiałem ich spotkać. Czyli wszyscy mamy powody do zadowolenia. Gdybym tylko jeszcze nie siedział przywiązany do pnia. Z rozbitą głową.

- Muszę przyznać - szepnąłem - że to trzyma się kupy. Przynajmniej do pewnego momentu. Zachichotał. W jego głosie znowu zabrzmiała tryumfalna nutka. - Tak - rzucił. - Do momentu, kiedy zmienimy program hibernatorów. Jak brzmi hasło?

Chwilę poruszałem wargami. Próbowałem zacisnąć pięści, ale straciłem czucie w dłoniach. Poczułem, że spadam. Ziemia zakręciła się podę mną.

- Tego jednego - zdołałem jeszcze wyszeptać - nie mogę ci powiedzieć. Wierz mi, nie mogę. Naprawdę.

Pień za moimi plecami zniknął. Znalazłem się w powietrzu. Szpara pod bandażem ściemniała. Nie był to już upadek, ale lot. Dostatecznie daleki, żeby nie mieć do czego wracać.

Rozdział 9

Szedłem przecinką w górę zbocza. Wiedziałem, że nie mam sekundy do stracenia.

Postanowiłem puścić się biegiem do widocznej przede mną gałęzi, zwisającej nad drogą jak przełamany szlaban.. Poprzednio były to pnie buków, kępy paproci, wystające z ziemi kamienie.

Minąłem gałąź i szedłem dalej równym, wydłużonym krokiem, jak automat. Ból przycichł, pod czaszką czułem tylko tępe, powolne pulsowanie.

Nie mogłem biec. Jeszcze nie. Od czasu do czasu odwracałem głowę i nasłuchiwałem. Cisza. W gruncie rzeczy nie obchodziło mnie to, co dzieje się za moimi plecami. Jeśli nogi niosą mnie zwolnionym rytmem, to nie dlatego, że bym nie mógł zmusić ich do posłuszeństwa. Nie chcę biec. Nie potrzebuję.

Od pierwszej chwili, kiedy odzyskałem przytomność, oładnęło mną poczucie bezpieczeństwa. Może przyczyna tkwiła w tym, co usłyszałem od mężczyzny w spodniach z wystrzępionymi nogawkami. Może cisza objawiła mi nagle swoją nową twarz, budzącą już nie lęk czy choćby napięcie, ale jedynie współczucie? Zabawne. Bo przecież pozornie nic się nie zmieniło. Nadal stanowiąłem zwierzynę. Kiedy mnie wreszcie dopadną, nie powstrzymam ich dłużej niż dwie minuty. Tym razem nie będą czekać, aż ulotnią się bez pożegnania. Choć właściwie pożegnanie było.

Szedłem. Krok za krokiem, nisko pochylony, jak turysta dźwigający ciężki plecak.

Skalne ospyisko na szczycie było już niedaleko. Miałem mnóstwo czasu.

Myśląc o tym, co naszło, nie potrafiłem przypomnieć sobie chwili, kiedy zorientowałem się, że człowiek opętany ciszą przyniósł nosze czy łóżko polowe i zachodzi od tyłu, żeby rozwiązać mi ręce. To był czysty, niczym nie poprzedzony odruch, że odzyskawszy przytomność nie poruszyłem się. Byłem najdalszy od snucia planów. A jednak wyczekałem, aż przyszła odpowiednia chwila. Nie mógł mnie przenieść razem z tym pniem. O reszcie nie warto wspominać. Moja rozbita głowa nie przestała być głową pilota. Podobnie moje mięśnie. Tak samo czystemu już nie odruchowi, ale przypadkowi, zawdzięczam to, że kiedy go

powaliłem, byliśmy w dolince sami. Nie wiem, dokąd wyprawili się jego kompani. Dość, że gdy zerwałem z oczu opaskę, nie było nikogo. To znaczy nikogo zdolnego do zastąpienia mi drogi. Mimo to moment powrotu świadomości pozostał rozciągnięty w czasie do paradoksalnych rozmiarów. Tak naprawdę, do tej pory zachowuję się jak we śnie. Wystarczy pomyśleć, co ze mną robią moje własne nogi.

Wreszcie zacząłem biec. Niemal równocześnie usłyszałem ich za sobą. Nie tak daleko, jak mógłbym sobie tego życzyć. Byłem ciekaw, czy są w komplecie. Raczej nie. W każdym razie ten, który ze mną rozmawiał, nie może narzekać, że pozostałem mu dłużny.

Podeszwy butów przywierają do gruntu jak magnesy. Ich odrywanie staje się niemożliwe. Przy każdym kolejnym kroku zatrzymuję się na ułamek sekundy. Ale przede mną ciemnieje już masyw kopuły, obrzuconej nie istniejącymi głazami. Wyżej czyste, niemal granatowe niebo i pierwsze gwiazdy. Zapada zmrok. Ci z tyłu są tuż.

Rzuciłem się głową naprzód. Ból spod czaszki przenikał kręgosłup, ogarnął całe ciało.

Zrobiłem jeszcze dwa kroki i znalazłem się w płytkim zagłębieniu przed wejściem. Namacałem zamek, wtoczyłem się do środka, zatrzasnąłem drzwi i po raz trzeci tego dnia straciłem przytomność.

To nie tylko głowa - przebiegło mi przez myśl, kiedy się zbudziłem po kilku, najwyżej kilkunastu sekundach nieobecności. Także cisza. Nerwy. Wiem o tym. Rozumuję jasno, jak nigdy.

Jeśli tak, nie muszę czekać, aż przyjdą.

Uśmiechnąłem się. W kącikach ust poczułem smak krwi. Podniosłem się i sięgnąłem do kieszeni na piersi. Moje palce wykonały kilka szybkich, gorączkowych ruchów i zamarły.

Kieszeń była pusta. Mój podręczny nadajnik, jedyne ogniwo, zapewniające mi łączność z automatami, pozostał w krzakach.

Oprzytomniałem natychmiast. Rzuciłem się do wyjścia. Szarpnąłem drzwi. W twarz uderzył mnie snop białego światła. Jakby jeszcze w swojej lejkowatej dolince przygotowali reflektor na tę właśnie chwilę.

Cofnąłem się. Bez automatów nie znałyem nic. Niewiele więcej niż dwie godziny temu, przywiązany do pnia. Co innego, gdybym naprawdę zaprogramował je na hasło. Ale nawet w tym momencie nie mógłbym pomyśleć o tym serio.

Coś wyrznęło w ziemię koło mnie. Zaczynają raczej prymitywnie - pomyślałem. Można powiedzieć: łagodnie. Jednak prędko tracą cierpliwość. Nie wiem, czy konstruktorzy sztucznych jeleni potrafią sforsować bazę. Otóż to: nie wiem. Pozbawiona osłony, innej niż tylko optyczna, moja forteca nie jest niezdobyta. Ale kiedy się dowiem, może być za późno. W każdym razie cokolwiek zechcą zrobić, w tym stanie rzeczy nie zdołam im przeszkodzić.

Zamknąłem drzwi. Nie spuszczać z nich oczu wycofałem się na środek kabiny.

Chwileczkę. Nie jest ważne, jak naprawdę zaprogramowałem automaty. Liczy się jedynie, co oni o tym myślą. Hasło, to dobry pomysł. Daje mi szansę. W końcu potrzebuję tylko trochę czasu. Nawiązanie kontaktu z automatami nie stanowi problemu. Zajmie mi to jednak co najmniej pół godziny.

Nie wiedzą o tym, że posługiwałem się jedynie kieszonkowym nadajniczkiem. Gdyby się zastanowili, mogli na to wpaść. Zbyt często opuszczałem bazę, abym tylko za pośrednictwem jej łączy porozumiewał się z moim martwym orszakiem. Ale nie zrobili tego. Nie zastanowili się. W przeciwnym razie nikt nie rozmawiałby ze mną tam, pod tym pnem. I teraz nikt nie czekałby cierpliwie, w ciemności, aż zechcę się pokazać.

Skoczyłem ponownie w stronę wyjścia. Stałem w otwartych drzwiach i czekałem, aż skierują na mnie światło. Wtedy zawołałem głośno:

- Automaty!

Odpowiedziało milczenie. Ale światło zgasło. Las ogarnęła cisza.

- Automaty! - powtórzyłem. Powinny już być. Jeśli mam ich przekonać, że wprowadziłem bezpośrednie sprzężenie.

- Pełna blokada - mówiłem głośno i wyraźnie, żeby nie uronili ani jednego słowa. - Rażenie celów ruchomych w promieniu pięćdziesięciu metrów od bazy - wyskandowałem. - Kasuję blokadę bezpieczeństwa - to ostatnie powiedziałem dwa razy. Umilkłem i zrobiłem dwa kroki do przodu. Więcej wołałem nie ryzykować.

W zaroślach nie trzasnęła jedna gałązka.

Postałem ze dwie minuty. Gdybym wiedział, gdzie ich szukać, mógłbym teraz spróbować załatwić rzecz od razu. Cóż, skoro nie miałem nawet pewności, gdzie stoją automaty. To byłoby doprawdy zabawne, gdybym zamiast namacać wysięgnik z anteną, złapał za brodeę któregoś z nich. Zabawa w ciuciubabkę mogła mnie drogo kosztować. I nie tylko mnie.

Wróciłem do przedsionka. Zamknąłem za sobą drzwi i dopiero od tego momentu zacząłem się śpieszyć.

Do świtu dadzą mi spokój. Nawet jeśli coś podejrzewają, nie będą sprawdzać. Ich także nie

stać na pomyłki.

W niszy narzędziowej znalazłem wszystko, czego potrzebowałem. Rozebrałem się i zacząłem dłubać przy rezerwowym nadajniku. Poruszałem palcami jak neurochirurg. Musiałem odtworzyć z pamięci strojenie pierwowzoru. Najmniejsza niedokładność groziła klęską. Nie tak łatwo oszukać automaty.

Kiedy skończyłem, dochodziła druga. Będę ich miał, tych leśnych ludzi, którzy nie byli dość śpiący, żeby zdobyć się na lojalność wobec Ziemi.

Odetchnąłem, uniosłem głowę i ujrzałem nad pulpitem pulsujące światło wezwania.

Czekałem na ten sygnał. A że przyszedł akurat w takiej chwili? Ślepy traf.

Poderwałem się, dopadłem pulpitu i wrzuciłem fonię.

Przestrzeń. Trzaski, zmieszane z pikaniem krzyżujących się namiarów. W końcu coś chrupnęło i nastąpiła cisza. Sekundę później w kabinie zabrzmiał męski głos. Wypełnił sobą kopułę- jakby mówił ktoś wewnątrz, używając ulicznego wzmacniacza.

- "Genotyp" i "Fotosfera" do wszystkich statków Centrali. Piloci Monk i Rodin na bezpośrednim kursie obcego obiektu. Odległość: dwadzieścia miliparseków. Skład chemiczny: lit, krzem, glin, chlor...

Lista była długa. Po znanych nazwach następowały opisy numeryczne. To dla specjalistów. "Fotosfera" i "Genotyp". Nie znałem tych statków. Podobnie jak większości pozostałych. Nie było mnie tutaj, kiedy przygotowywali flotę. Z Rodinem kończyłem ostatni kurs. Starałem się przypomnieć sobie jego twarz. Zamyśliłem się i... oprzytomniałem.

Przebyli trzy czwarte drogi. I znaleźli. Mają to, o czym marzył każdy z nas, od kiedy zaczął czytać. To, co sprawiło, że wszyscy, ilu nas było, wybraliśmy pracę w Centrali Lotów Pozaukładowych.

Nieważne, czy chodzi o stacje załogową, czy sondę. Owszem. To także jest ważne. A raczej będzie ważne później. Teraz potrafiłem myśleć tylko o jednym. Znaleźli. Nie jesteśmy sami... Ja także nie jestem sam.

Obejrzałem się... Antenki nadajnika leżały na podłodze, tam gdzie je zostawiłem.

Zakląłem. W tej samej chwili głos z przestrzeni przestał podawać wyniki analizy chemicznej.

Urwał na chwilę, po czym mówił dalej:

- Dane uzyskane za pośrednictwem sondy są zbyt skąpe, by można stwierdzić, czy obiekt jest uszkodzony. Nie emituje sygnałów. Zgodnie z poleceniem delegatury Centrali na pokładzie "Fotosfery" piloci Monk i Rodin kontynuują lot w kierunku obiektu.

Nastąpiła sekundowa przerwa, po czym głos zabrzmiał znowu:

- "Genotyp" i "Fotosfera" do wszystkich statków Centrali Piloci Monk i Rodin na bezpośrednim kursie obcego obiektu...

Powtórka. Zapis. Rzut oka na ekran przekonał mnie, że dwie nitki, które zboczyły z drogi, zmierzają prosto do nowego celu.

Stałem jak zahipnotyzowany.

Skąd właściwie bierze się w nas ta tęsknota do kosmicznych pobratymców? Po co nam oni?

Czy podświadomie liczymy na to, że ułatwią ludziom uporanie się z ich własnymi sprawami?

Może kiedyś tak było. Dziś, jako ogół, jesteśmy na to za mądrzy. Wiemy aż nadto dobrze, że procesami naszego społecznego dojrzewania musimy kierować sami. Tylko sami. Nie cierpimy głodu, nie walczymy ze sobą, niemal nie chorujemy. Obecnie zaaplikowaliśmy naszej planecie bezprecedensową, kto wie czy nie w skali kosmicznej, kurację oczyszczającą. Dlaczego wciąż myślimy o istotach spod obcych słońc?

A może wcale ich nie potrzebujemy? Może samotność człowieka we wszechświecie to tylko wyświechtana poetycka fraza? Tani sentymentalizm zaspokojonego sybaryty?

Niewykluczone. W takim razie jesteśmy samowystarczalni. Jako zbiorowość... chociaż

właściwie, dlaczego? Dlaczego akurat zbiorowość? Czy związki ze społecznością są

niezbędne, powiedzmy, licznej, kochającej się rodzinie? Rodzinie? Ciasnota myślowa.

Człowiek, jednostka, jest najdoskonalszym homeostatem stworzonym przez naturę. Sam dla

siebie stanowi zespół zagadek i pytań, na które nie odpowie do końca życia. Na co mu

rodzina? Przyjaciele? Drugi człowiek?

Samotny pilot.

Tylko że gdybym mógł rzeczywiście wystarczyć sam sobie, przenigdy nie poznałbym uczuć, których właśnie doznaję. Zatem mój rozwlekły przewód myślowy, to nic innego jak reductio ad absurdum. Zatem, udowodniłem sobie coś, co było dla mnie oczywiste od dziecka. Co jest oczywiste dla każdego Ziemiańszaka. Potrzebujemy przyjaciół, rodziny, społeczności i, tym samym, kosmitów.

Dość. Straciłem kilka minut. Może kilkanaście. Na więcej mnie nie stać. Świt przyjdzie o zwykłej porze, niezależnie od wieści z gwiazd.

Spojrzałem odruchowo na zegarek i wróciłem do nadajnika... Ukląknąłem i wtedy dopiero znieruchomiałem. Bardzo powoli jeszcze raz podsunąłem sobie pod oczy tarczę zegarka.

Za dwie minuty piąta. Zaczai się dzień.
Przeszło dwie godziny tkwiłem przed ekranem. Nie wiedziałem, tak mnie to wzięło. Winien jest ten bieg. Głowa. I kilka lat z ciszą.
Nie. Po cóż się okłamywać? To ten głos z przestrzeni.
Uspokoilem się. Skończyłem z nadajnikiem, włożyłem skafander i podszedłem do drzwi.
Nic. Czekają. Wystawię głowę i nie zobaczę żadnego z nich. Siedzą w krzakach i obserwują bazę.
Zawahałem się. Mogłem już wezwać automaty. Ale musi upłynąć jakiś czas, zanim zdąży nadejść. Ja tymczasem wyjdę im na strzał tak akuratnie, jak to się nigdy nie przytrafiło żadnemu z ich jeleni.
Odruchowo powędrowałem wzrokiem ku niszy z hibernatorem. Prostokątny otwór w ścianie był szczelnie zamknięty. Widoczna pozostawała jedynie czerwona plomba.
Wyprostowałem się i bez zastanowienia ruszyłem w stronę tej niszy. Stałem przed klapą awaryjnego wyłącznika pola i jednym ruchem ręki rozprawiłem się z plombą. Zakryłem lewą dłonią fotokomórkę, po czym otworzyłem drzwiczki. Błysnęły światła. Rączka wyłącznika lśniła krwistą czerwienią. Rubin, w który wprawiono lampkę. Spoza mnie dobiegł dźwięk pochodzący z głośnika. Zaraz potem odezwał się męski głos:
- Czekamy na ludzi, którzy wyruszyli do gwiazd - mówił ktoś tonem perswazji. - Czekamy na pełną regenerację biosfery. Nigdy w historii ludzkość nie zdobyła się na czyn o podobnym rozmachu. Ofiaruj mi kilka sekund. Pomyśl. Jeśli ludziom w hibernatorach nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, wstrzymaj się. Oczywiście, nie wiem, dlaczego chcesz zerwać bezpiecznik. Ale baliśmy się tego. Baliśmy się, jak poradzisz sobie z samotnością i ciszą. Może to tylko nerwy. Może...
Z rozmachem zatrasnąłem klapę. Wszystko, byle nie to. Nagrał kazanie i poszedł do łóżka. Z czystym sumieniem, że zrobił, co do niego należało. Przemówił do półobłąkanego pilota, któremu wydawało się, że nie znieśie dłużej dzwonów.
Tak naprawdę, to nie przyszło mi nawet do głowy, żeby ich budzić. Aby to zrobić, potrzebowałbym czegoś więcej niż paru pomyłków, głosów ciszy i żelaznych zwierząt. Po co w takim razie zrywałem plombę? Nie wiem. Być może dlatego, że potrzebowałem jakiegoś wrażenia, jakiejś czynności, której w tej bazie jeszcze bym nie doświadczył. Ta była ostatnia. Chwila psychicznego relaksu. Po prostu.
A plombę założę jutro z powrotem.
Odwrociłem się i ujrzałem miasto. A raczej jego rozplywające się już w powietrzu zarysy. W głębi majaczyła niebieskawa czapa hibernatora.
W pierwszej chwili przebiegło mi przez myśl, że Gummi i kto tam z nim był, sforsowali ściany bazy. Ale wtedy ujrzałbym ich na tle tego miasta. Z kolei pomyślałem o bałaganie w pomieszczeniach Centrali. Jeśli złożyli wizytę w gabinecie Tarrowsena i ukryli duży nadajnik, równie dobrze mogli splądrować laboratoria i magazyny.
Na przykład instytut neurotyki, z jego zakładem programowania aparatury fantomatycznej. Albo chociażby wytwórnię projektorów. Stałem bez ruchu wpatrując się w ostatnie pozostałe w powietrzu ślady miasta. Widziałem je jeszcze przez moment, kiedy już na pewno nie było nic, poza tłem, jakie stanowiła matowa powłoka ściany, przypominająca taflę zmarłego mleka.
Wtedy zrozumiałem. Ci z zewnątrz nie mieli z tym nic wspólnego. Przestrzenny wizerunek miasta i hibernatora był po prostu ilustracją kazania, którego musiałem wysłuchać po otwarciu pokrywy aparatury alarmowej. Chcieli, abym się przyjrzał temu, co miałem unicestwić. Były tam zapewne uśmiechnięte twarze, krystaliczne powietrze nad dachami, soczysta zieleń i inne przyjemne rzeczy. Może nawet grupy ludzi otaczające pilotów, po ich powrocie z gwiazd.
Szkoda, że spóźniłem się na spektakl.
W tym momencie doznałem olśnienia. Spektakl. Fantomatyka. Że też dotąd na to nie wpadłem. Z wdzięcznością spojrzełem w perspektywę kabiny, gdzie jeszcze przed chwilą widniało miasto rozpięte między łukami kopuły. Oczywiście, nie ma mowy o instalowaniu projektorów fantomatycznych z prawdziwego zdarzenia. Ale wystarczy to, co przychodzącym z zewnątrz każe wierzyć, że mają przed sobą kupę kamieni.
Na dworze jest jasno. Jeszcze mi wierzą. Minie godzina, może mniej i zaczną mieć wątpliwości. Zadadzą sobie pytanie, czemu siedzę cicho i nie próbuję rozprawić się z nimi, jak przystało komuś, kto dysponuje pełnym zestawem automatów. Zaprogramowanych na hasło. Podszedłem do pulpitu i wyświetliłem na ekranie schemat instalacji. Projekторы znajdowały się na szczycie bazy. Całą aparaturę, sprzężoną z zespołem awaryjnego budzenia i, jak się okazało, stymulatorem, wbudowano w płytką komorę, pod podłogą niszy.
Jej wymontowanie zajęło mi dziesięć minut. Znacznie więcej czasu poświęciłem blokom programowym. Nanosiłem wszystkie możliwe bryły, krzywe, stożki i zygzaki - co tylko przyszło mi do głowy. Jeszcze kable, które musiałem przeciąć i połączyć ponownie, zestaw wzmacniaczy, i już stałem na ostatnim szczeblu drabinki ustawionej za ciągiem ekranów, a

wiodącej do maleńkiej platformy pod szczytem bazy. Otworzyłem dwie prostokątne pokrywy, podobne do archaicznych dymników, i wysunąłem na zewnątrz końcówki emitorów. Przymocowałem je zwykłym drutem i zsunąłem się na podłogę. Połączyłem projektory z blokiem programowym i zastanowiłem się.

Gaz obezwładniający. Miałem go dość, żeby uśpić stado słoni. Ale jeśli nawet zdążę użyć nadajnika, z pewnością zabraknie mi czasu na przeprogramowanie miotaczy automatów. Czyli, przynajmniej w pierwszej fazie starcia, muszę poradzić sobie bez nich.

Wytaszczyłem z narzędziowni znaną w najdalszym kącie wyrzutnię, służącą zazwyczaj do wystrzeliwania liny asekuracyjnej wraz z zaczepem. Przysunąłem ją do drzwi. Założyłem naboje z gazem i posłuchałem chwilę. Czekają. Ciągłe jeszcze czekają. Uśmiechnąłem się i przeszedłem do przedsionka. Prawą ręką chwyciłem wylot wyrzutni, lewą otworzyłem drzwi. Jeśli moja przemyślna instalacja chociażby w jednym punkcie nie kontaktuje...

Szarpnąłem spust. Usłyszałem głuchy stuk, a następnie oddalający się świst, jakby krojonego szkła. Uderzenie. Teraz powinienem ujrzeć rozbrzgującą się na wszystkie strony chmurę białawego gazu. Nie zobaczyłem jej. Miejsce, w którym stałem, przypominało senną zjawę plastyka futurysty. Nieopisana, niemożliwa kombinacja spiętrzonych brył. Nad moją głową śmigał w górę komin stożka przebity w połowie zakrzywioną, znikającą w przestrzeni rurą. Jego kontury przecinały w kilku miejscach płaszczyzny najnieudacniejszych wielościanów. Przypominało to nawet moje skalne rumowisko, tyle że oglądane od wewnątrz. Usypane z fantazyjnie obrobionych głazów, dokładnie wydrążonych. Cała ta kompozycyjna improwizacja rozciągała się na boki i w górę na dobre kilkadziesiąt metrów. Mogłem sobie pogratulować. Nic dziwnego, że zgłupieli, kiedy coś takiego wyrosło im nagle przed oczami. W każdym razie na tyle, że pozwolili mi wyjść. Chociaż musieli pozwolić. Musieli stracić orientację. Wrażenie było zbyt silne.

Co do mnie, nie potrzebowałem niczego więcej. Wezwałem automaty. Natychmiast połączyłem się z nimi ponownie i zablokowałem ich miotacze. Następnie posłałem w las drugą pigułę z gazem. Coś wyrznęło w ścianę bazy. Na zdrowie. Teraz byłem już spokojny. Nie widząc mnie, nie mieli najmniejszych szans.

Odruchowo sprawdziłem szczelność kasku i wróciłem do kabiny. Włączyłem projektory. Wyszedłem na zewnątrz.

Las zasnuwał mętnawy dym. Pod okapem kasku zapaliło się ostrzegawcze światełko. Gdzieś niedaleko raz trzasnęła gałązka i znowu zapanowała cisza.

Wokół zagłębienia przed wejściem czerniało nieruchome półkole automatów. Przyszły, naturalnie. Ale nie będą już potrzebne.

Raz jeszcze wróciłem do składowiska po kable. Potem wyszedłem kilka metrów przed bazę i rozejrzałem się.

Trzech, a raczej troje, leżało na wprost mnie, w przecince. Na ich twarzach malował się wyraz zupełnego zubożenia.

Obie kobiety miały jasne włosy. Były mniej więcej w tym samym wieku, około czterdziestki. Podobnie leżący obok nich mężczyzna, w zniszczonej drelichowej bluzie, takiej, jaką zakłada się w chłodniejsze dni do pielienia ogródka. Obok niego spoczywał metalowy przedmiot. Miotacz, gdyby nie to, że jego spłaszczona kolba żadną miarą nie mogłaby pomieścić najmniejszego ogniwa energetycznego. A jednak była to broń.

Podszedłem i z całym spokojem związałem całej trójce ręce i nogi. Następnie poszukałem pozostałych.

Nietrudno było ich znaleźć. Musieli rozluźnić wokół siebie poszycie, czekając, aż wystawię głowę z fałszywej skały, która tam, gdzie się przyczaili, odstawiała od bazy zaledwie o milimetry. Gummi dobrze to sobie obejrzał.

Po upływie dwudziestu minut miałem ich sześcioro. Do trójki znalezionej w przecince przybyła jeszcze jedna kobieta, tym razem brunetka, z brzydką ciętą raną pod okiem, oraz dwóch mężczyzn. Drugi z nich, kiedy go wiązałem, zaczął się budzić. Bok jego twarzy, od brody aż do skroni znaczyła świeża, czerwona pręga. Rzuciłem okiem na jego spodnie. Kolor się zgadzał. Jeśli w ogóle można mówić o kolorze.

Szukałem jeszcze kogoś. W coraz mniej prawdopodobnych miejscach i z coraz mniejszą nadzieją.

Gummiego nie było. Czyli, nie koniec zabawy. Muszę się liczyć z niespodziankami. Jeśli ci tutaj, to jeszcze nie wszyscy wyznawcy ciszy, do których mógł pójść.

Z przecinki zaczęły dochodzić westchnienia i postękiwania. Usłyszałem głos kobiety. Ktoś jej odpowiedział.

Nie patrzyłem w ich stronę. Kończyłem zmieniać programy automatów. Rażenie celów ruchomych w promieniu stu metrów. Miotacze zastąpiłem ładunkami gazu. Dwa aparaty, uzbrojone jak dotychczas, zostały przy wejściu. Te miały być dalej sterowane za

pośrednictwem nadajnika. Wołałem nie ryzykować.

Teraz dopiero zająłem się ludźmi.

Leżeli spokojnie. Jeśli nawet któryś z nich zbadał ukradkiem wytrzymałość krępującego go kabla, zrobił to tak, że tego nie zauważyłem.

Podchodziłem do nich powoli, pokonując zmęczenie. W powietrzu panował spokój. Wróciła cisza. Czułem w sobie jej obecność, pomimo że las milczał. Dzisiaj nie było dzwoniów ani piszczalek. Zerwał się lekki wiatr i przepędził resztki odurzającej substancji.

Stałem. Dwa kroki przede mną leżał mężczyzna w drelichowej bluzie. Był brudny. Cerę miał ciemną, jakby długo trzymał twarz nad świecą. Podbródek sterczał mu do przodu jak rogalik. Gdyby był różą, jego włosy zapewniałyby mu skuteczną osłonę przed najsroższym mrozem. Oczy miał zapadnięte. I nie patrzył na mnie.

- Co teraz? - spytałem.

Nie poruszył się. Tylko skóra na policzku zaczęła mu drgać jak u psa, który ma zamiar powarczeć.

- Nic nie mów - zabrzmiał nagle znany mi aż za dobrze głos - zanim nas nie uwolni.

Przeniósłem spojrzenie na mężczyznę, który wymówił te słowa. Strzępy wisały nie tylko z jego spodni. Także koszula, która sto lat temu mogła być żółta, znajdowała się w opłakanym stanie. Wyglądał na starszego od pozostałych. I nie uważał sprawy za zamkniętą. Świadczył o tym zarówno ton jego głosu, jak i błysk przymrużonych, bladoniebieskich oczu. Ten nie bał się patrzeć tam, gdzie miał ochotę.

- Dobrze - powiedziałem, podchodząc bliżej. Chwyciłem go za węzeł, na jaki związałem kabel i podniosłem. Następnie uwolniłem mu nogi.

- Idź tam, gdzie cię zaprowadzę. Na dziś mam was dosyć - rzuciłem. - Do tego stopnia, że jestem gotów obciążyć sobie sumienie. Zrozumiałeś?

Nie odpowiedział. Posłusznie wszedł do kabiny, pozwolił sobie ponownie związać nogi i z obojętną miną pozostał pod ścianą, gdzie go rzuciłem.

Wróciłem po człowieka w bluzie i jego dwóch kompanów. Jeden z nich miał na sobie kurtkę taką jak Gummi i ja. Ale bez aparatury łączności i ogniwi energetycznych. Nawet bez zaczepów na drobny sprzęt osobisty.

Teraz kobiety. Stałem nad pierwszą i spytałem:

- Pójdziecie spokojnie? Jeśli tak, zdejmę wam z nóg kable. Brunetka z podrapaną twarzą uniosła głowę i potrząsnęła nią, jakby chciała poprawić włosy.

- O toalecie pomówimy później - mruknąłem. - Dotychczas nie obchodziło was, jak wyglądacie. Stare, niechlujne wiedźmy.

To je wzięło. Uniosły się jak na komendę. Trzy pary oczu spojrzały na mnie, jakbym właśnie rzucił starą, suchą skórę ozdobioną czarnym zygzakiem.

Brunetka westchnęła. Znowu potrząsnęła głową. Zauważyłem, że jej zadrapanie krwawi.

Przemyłem jej twarz i założyłem opatrunek. Przez cały ten czas nie spojrzała na mnie ani razu.

- Jak ci na imię? - spytałem, prostując się.

- Tia - odpowiedziała niechętnie. Zabrzmiało to jak szcęk nożyczek, przecinających wstęgę.

Zaprowadziłem je do bazy. Szły bez oporu. Nie wiązałem im już nóg, jednak na wszelki wypadek posadziłem w przyzwoitej odległości od mężczyzn. Może się zdarzyć, że będę musiał wyjść.

Przysunąłem stół do pulpitu, fotel ustawiłem tak, żebym mógł mieć wszystkich na oku, po czym napiłem się wody i rozsiadłem wygodnie. Założyłem lewą nogę na prawą i przez chwilę obserwowałem własną stopę, która wykonywała jakiś obłąkany taniec. Nerwy. Czułem, że gdybym teraz zamknął oczy, nie otworzyłbym ich przed upływem tygodnia. Dwadzieścia sześć godzin na nogach. I to jakich godzin.

Powoli chłodno lustrowałem twarze ludzi, którzy sądzili, że udało im się pozbyć konkurencji w rządzeniu Ziemią.

Mężczyzna w bluzie poruszył się. Wciągnął głęboko powietrze i potrzymał je chwilę w płucach.

- Jak się nazywasz? - spytałem, patrząc mu w oczy.

Odwrocił głowę. Zakaszał sucho, po czym powiedział:

- Bohr. Jestem studentem...

- Co studiujesz?

- Biochemię. To znaczy...

- Studiowałeś - podsunałem. - Trzydzieści lat temu. A co będziesz robił... potem?

Przełknął z wysiłkiem ślinę. Wstałem i dałem mu się napić. Zakrztusił się i chwilę walczył o zaczerpnięcie powietrza. Wreszcie odzyskał oddech i wychrypiął:

- Nic...

Rozumiem. Nic, to nic. Rozejrzałem się po pozostałych, podnosząc zapraszająco kubek.

Pili kolejno wszyscy, poza mężczyzną w żółtej koszuli. Ten był nieprzejednany. Przypominał

kapłana starodawnego szczepu, który wpadł w ręce czcicieli wrogiego bóstwa. Kiedy spytałem o jego nazwisko, zamknął oczy i zamarł w bezruchu, jakby czekając na cios topora. Wzruszyłem ramionami i wróciłem na fotel.

- Kombinowaliście dobrze - powiedziałem. - Gdybym choć raz zauważył człowieka, zabawa nie potrwałaby długo. Ja nie odzegnałem się od automatów. Nie ślubowałem, że będę się żywił korzonkami. Błazeństwo.

Byłem zły. Teraz mogłem ich już tylko żałować. Nie potrafiłem jednak opanować narastającego rozdrażnienia.

- Mieliśmy - odezwał się nagle Bohr - pewne sygnały. Dość wyraźnie dawałeś znać o sobie... Uspokoilem się. Zapewne. Przypomniałem sobie moje wyprawy w okolice hibernatora. "Lalkę". Otwierałem usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążyłem. Zmroził mnie przepojony nienawiścią głos "żółtego".

- Nie gadać! - wysyczał. - Mało wam, że siedzimy powiązani jak barany?! Niech robi, co chce. Ma swoje automaty, bez których jest zerem. Ale nie musicie dawać mu satysfakcji. Ani słował - zakończył, tracąc oddech.

Chciałem mu powiedzieć, żeby się nie wysilał. Sam nie bywam rozmowny. A już na pewno nie w jego towarzystwie. Przeszkodziło mi głośne wołanie, które nagle dobiegło z zewnątrz. Zerwałem się na równe nogi.

Krzyk zabrzmiał powtórnie. Tym razem poznałem go od razu.

Wybiegłem z bazy i zablokowałem automaty. Potem powiedziałem, że może przyjść.

Zaczekałem, dopóki nie stanął przede mną. Wtedy sięgnąłem po kabel.

- Nie trzeba - mruknął, kiedy kazałem mu założyć ruce do tyłu.

- Nie wiem, Gummi - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Nie chcę już więcej żadnej szarpaniny.

Wprowadziłem go do bazy, posadziłem obok kobiet i związałem nogi. Niezbyt silnie, żeby nie sprawiać mu bólu.

- Nie chce ci się pić?

Spojrzał na mnie, jakby nie zrozumiał. Po chwili skinął głową. Kiedy skończył, ulokowałem się znowu w fotelu i bawiąc się kubkiem spytałem:

- Ilu was jeszcze jest w tym lesie?

- Nie ma nikogo - odpowiedział ponuro Gummi. Przyjrzałem mu się. Mogłem uwierzyć albo nie. Jednak gdyby ktoś pozostał w parku, a postanowił siedzieć odtąd jak trusia, to znaczy zrezygnować z następnych kadencji ciszy, i tak nie potrafiłbym takiego kogoś odnaleźć. Poza tym oni trzymali się razem. Kiedy odkryłem ich obozowisko, razem puścili się w pogoń za mną. "Żółty" także mówił o siódemce. Należało wątpić, czy kiedy już doszło do oblegania mojej bazy; któryś z nich zechciałby pozostać w lejkowatej dolince.

Zdecydowałem, że Gummi nie kłamie. Nie wyglądał najlepiej. Był cieniem "pilota", którego spotkałem kiedyś pod szczytem sąsiedniego wzgórza.

- Oczywiście, nigdy nie miałeś nic wspólnego z Centralą - stwierdziłem, nie spytałem.

- Oczywiście.

- Jeśli nie liczyć twojej bluzy... wolę nie dochodzić, skąd ją wzięłeś. To znaczy, wołałbym...

- Tak - rzekł bardzo cicho. - Byłem tam... Westchnąłem.

- Właśnie. Czy chcesz mówić?

Rozejrzał się po pozostałych. Nie wiem, czy mi się wydało, czy naprawdę unikał wzroku mężczyzny w żółtej koszuli. Wreszcie spojrzał na mnie i nieznacznie skinął głową.

- Tak minęły pierwsze tygodnie - powtórzył kilkanaście minut później. W jego głosie pochwyciłem nutkę zdziwienia. Jakby nie dowierzał, że wszystko to mogło zdarzyć się naprawdę.

- Krótko mówiąc - podjął po chwili - byliśmy szczęśliwi. Wiem, że to nie brzmi poważnie - poruszył ramionami. Kable musiały dać znać o sobie, bo przez twarz przebiegł mu grymas. - Nic na to nie poradzę - syknął. - Nie wiem jak inni, ale ja czułem się po prostu sobą. Nareszcie nie musiałem walczyć o czas, wydzierać go przemyślnymi manewrami z trybów maszynierii, jaka uzależnia ludzi od siebie. I nie tylko od siebie. Mniejsza z tym. Chodziłem nocami po parku, bo wtedy to był jeszcze park, i myślałem o ciszy, tylko o ciszy. Mówiłem sobie, że tak samo będzie jutro, pojutrze, za dziesięć lat, i chciało mi się wyc ze szczęścia. Patrzyłem na drzewa i miałem ochotę opowiadać im, jak będą wyglądać, kiedy ten park stanie się lasem. Rozmawiałem z ptakami.

Umilkł. Chwilę poruszał bezgłośnie wargami, jakby w tym miejscu należało powiedzieć coś, co nie powinno dotrzeć do uszu obecnych. Na jego czole ukazały się kropelki potu. Westchnął i pokręcił głową.

Spojrzałem na moich więźniów. Siedzieli spokojnie. Na twarzy jednej z kobiet błąkał się uśmiešek. Jej szeroko otwarte oczy nie wyrażały nic. Tia utkwiała wzrok w podłodze, przed własnymi stopami. Nie wiem, co rozpamiętywała, ale nie było to nic takiego, co chciałaby

przeżyć raz jeszcze.

Co do mężczyzn, wystarczało mi, że nie próbują się wtrącać. Milczeli, odkąd osadziłem "zółtego", kiedy ten nazwał Gummiego pętakiem i zdrajcą. Powiedział to tonem proroka, rzucającego klątwę. Zagroziłem, że zamknę go w niszy. Samego.

- Możesz się domyślić, co było potem - zabrzmiał znowu przytłumiony głos Gummiego. - Zresztą ty pewnie jesteś za pan brat z ciszą. Służba w bazach kosmicznych, loty do gwiazd i tak dalej. No więc... cisza zaczęła mówić.

- Dzwonić - podsunąłem.

Przez jego twarz przebiegł ślad uśmiechu.

- Naturalnie, dzwonić. Zresztą, mówiliśmy już o tym, pamiętasz? No, a my wtedy zaczęliśmy uciekać od siebie. Skończyły się sympatie, które... no, dzięki którym zostaliśmy akurat my i one. Mijały dni, tygodnie, potem lata. Było wciąż gorzej. Mówiłeś o nieprzystosowaniu. Stanowiliśmy bandę smarkaczy, kiedy umawialiśmy się, że zostaniemy poza hibernatorem. Przekonaliśmy się o tym dość szybko. Przekonaliśmy się, że jeśli bywają ludzie nie przystosowani do tempa swojej cywilizacji, to w każdym razie wszyscy jesteśmy nie przystosowani do jego braku. Tego, co to tempo z sobą niesie. Na przykład tła akustycznego. Tak powiedzieliby fachowcy. Nie życzę nikomu, żeby tak jak my sprawdził na sobie, co to znaczy. No dobrze. Nie będą się rozwodził. Rzecz jest i tak dostatecznie żałosna. Muszę tylko powiedzieć o... samotności. Bo najgorsze nie było to, co działo się z naszym słuchem. I nerwami. Nie. Wracaliśmy półprzytomni do obozu i natychmiast zaczynaliśmy zachłystywać się urokami ciszy. Im było gorzej, tym głośniejsi pialiśmy na cześć zieleni, barwy nieba, rzek i licho wie, czego jeszcze. Dzielił się swoim "szczęściem". Wymyślaliśmy wciąż nowe przymiotniki. Oczywiście, każde z nas zdawało sobie sprawę nie tylko z własnego zakłamania, ale i z tego, że pozostali prowadzą grę kubek w kubek taką samą. Tylko że zapominaliśmy o tym będąc razem. Brnęliśmy coraz dalej i głębiej. To dopiero była prawdziwa samotność. Do kwadratu. Nie. Do siódmej potęgi. Prawdziwa samotność, w pustce, to próba. Wśród innych - to nieustający koszmar. Tego spośród nas, kto by powiedział, że pomyliliśmy się, że ma dość i idzie sobie w diabły, byliśmy gotowi rozerwać na strzępy. Tak właśnie, jak to przed chwilą obiecywał mi Fuster. On wcale nie jest gorszy od nas. Tylko trochę bardziej skołowany. Ufundowaliśmy sobie z tego ideologię. Może coś więcej. Zresztą, mniejsza o słowa. Myślę, że wiesz dość, aby zrozumieć. W końcu któreś z nas, nie pamiętam kto, zaczęło mówić o przyszłości. Ale nie o powrocie do normalnego świata. O pozostaniu. Podchwyciliśmy tę myśl. Wmówiliśmy w siebie, że nie przeżyjemy pierwszej minuty, kiedy otworzą się hibernatory. Że nasze organizmy po prostu tego nie wytrzymają. Ruchu, hałasu, ścisku. Postanowiliśmy walczyć o życie. W końcu, byliśmy młodzi. Kiedy to się zaczęło, żadne z nas nie miało dwudziestu lat. Po osiemdziesięcioletnim biwaku mieliśmy szansę pożyć bez mała drugie tyle. Pod warunkiem, że wszyscy inni pozostaną tam, gdzie są. Uśpieni. Urwał. Rozkaszał się i dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Z oczu puściły mu się łzy. Był wykończony.

Poczekaj, aż przyjdzie do siebie, po czym wstałem. Niewiele brakowało. Powiedzmy, kilkadziesiąt sekund. A może się mylę? Może ani przez moment nie groziło ludziom nic poza przedwczesną pobudką?

- Powiem ci tylko - powiedziałem - co zrobiłbyś teraz, gdyby wam się udało. Gdybym to ja leżał pod ścianą związany jak stary worek. Nie wiem, czy próbowałbyś uzasadnić swoją rację, w którą nie wierzysz. Może wygłosiłbyś mówkę. O baśniowym pięknie ciszy i tak dalej. Ale wiem, co byś zrobił. Stanąłbyś, o tutaj - podszedłem do niszy, gdzie znajdowała się pokrywa bezpiecznika. - Powtórzyłbyś kilka razy, jaka to piękna rzecz zostać na Ziemi sam na sam z trawą, drzewami i czystym powietrzem. A także milczeniem. Po czym trzasnąłbyś pięścią w tę klapę, wyszarpnął plombę i włączył system alarmowy. Wtedy udałbyś sam przed sobą, że oprzytomniałeś. Zacząłbyś rwać włosy z głowy. Krzycheć, że zaprzepaściłeś swoją szansę. Że nie chcesz żyć. I byłbyś szczęśliwy. Rozumiesz, człowieku? Byłbyś szczęśliwy jak dziecko, które zabrano do cyrku. Po raz pierwszy od lat. Mógłbyś wycić z radości na widok ludzi wchodzących do miasta. Mam rację? Pociągnąłbyś za tę rączkę?

- Nie wiem - wyszeptał po dłuższej chwili milczenia. - Teraz, kiedy tak o tym mówisz... ale nie wiem. Byliśmy uwikłani we własną grę...

- We własne kłamstwa.

- Nazywaj to, jak chcesz.

- Nie jak chcę. Naprawdę, to się nazywa terror. Ani gra, ani kłamstwo tylko terror.

- Możliwe... co z nami zrobisz? Pomyślałem chwilę. Ale nie miałem wyboru.

- Zostaniecie u mnie... - zacząłem i urwałem. W pulpicie znowu błysnęła lampka wezwania. Wolałbym zająć się gwiazdami bez świadków. Trudno.

Włączyłem fonię. Głośnik ożył. Odezwał się ten sam głos, który mówił o zmianie kursu dwóch statków i o obcych obiekcie.

- ...Procjona jedną kierunkową wiązką o rozproszeniu równym, praktycznie zeru. Przestrajamy nadajniki i rozpoczynamy emisję kodu kontaktowego. Obydwa statki pozostają przy obecnym obiekcie i będą oczekiwać potwierdzenia odbioru.

Głośnik umilkł na kilkanaście sekund. Następnie rozległ się charakterystyczny stuk przekaźnika i utrwalony na taśmie głos pilota zabrzmiał ponownie:

- "Genotyp" i "Fotosfera" zastopowały przy obecnym obiekcie. Piloci Monk i Rodin powrócili ze wstępnego zwiadu. Obiekt jest bezzałogową stacją, prawdopodobnie komunikacyjną. Kieszeń włązu prowadzi do śluzy, hermetycznie zamkniętej. Jak dotąd nie udało się sforsować klapy. Wbrew poprzednim obserwacjom obiekt jednak nadaje przerywane sygnały. Pomiary wykazują, że promieniowanie o nie zidentyfikowanej w razie charakterystyce biegnie w stronę Procjona jedną kierunkową wiązką o rozproszeniu równym praktycznie zeru. Przestrajamy nadajniki i rozpoczynamy emisję kodu kontaktowego...

Wyłączyłem głośnik. Chwilę manipulowałem przy pulpicie, po czym przerzuciłem sygnał na wizję. Myślałem, że będę musiał poczekać przynajmniej kilka godzin. Myliłem się. Na ekranie zarysował się kształt walca. Po prostu kawał rury zaślepiony z obu stron płaskimi tarczami. Nie wysilili się ci obcy konstruktorzy. Ale nie miałem im tego za złe...

Wpatrywałem się w ten niejasny kształt o zatartych konturach znacznie dłużej, niż było trzeba. Tyle, żeby uporać się z własnymi oczami. Byłem naprawdę zmęczony. Wreszcie ekran rozmazał się przede mną, jakby otoczył go obłok pary.

Przez cały ten czas nikt z obecnych nie zająknął się słowem. Gdy wyłączyłem fonię, w kabinie zapanowała cisza nie dająca się porównać z niczym, czego doświadczyłem dotychczas.

Tia poruszyła się. Uniosła głowę i utkwiała we mnie wzrok. Jej twarz wyrażała smutek. Może także zadumę. W kącikach jej ust pojawił się melancholijny uśmiezek.

- Powiedz, pilocie - odezwała się - czy nie wolałbyś być tam z nimi...?

Minął jakiś czas, zanim mogłem wymówić słowo.

- Pytałeś, co z wami zrobię - zwróciłem się do Gummięgo. - Zostaniecie tu ze mną. Pójdziecie spać. Przejdziecie po kolei przez aparaturę diagnostyczną. Nakarmię was pigułkami i położę w niszy. Tam jest mój hibernator. Będzie trochę ciasno, ale w stanie anabiozy to nie ma większego znaczenia. Chodź pierwsza - spojrzałem na Tię. Podszedłem i pomogłem jej wstać. Nie opierała się.

- A ty? - spytała.

- O mnie się nie martw - rzuciłem sucho. - Teraz nic mi już nie grozi. - Położyłem nacisk na słowo: "teraz".

Nie rozmawialiśmy więcej.

Ostatni raz sprawdziłem zamknięcie niszy, przeszedłem na środek kabiny i utkwiałem wzrok w ekranach. Paciorkowate szlaki rozwijały się. Tylko dwie tasiemki trwały w bezruchu. Dwa statki, których załogi czekały na kogoś, o kim wiedziały tyle tylko, że istnieje. Chociaż i tego nie wiedziały na pewno. Adresaci sygnałów, emitowanych przez obcy obiekt, mogli przestać istnieć już dawno. Zależy, kiedy wyprawili w drogę ten swój walec i jak daleka miała to być droga. Ale i tak było to więcej, niż wszystko, co dotąd osiągnął człowiek, posłuszny żyjącemu w nim duchowi eksploracji. Więcej niż takim jak Rodin, Monk, Haleb, ja i wielu innym obiecywała codzienna służba w Centrali.

- No więc jak, pilocie - powiedziałem na głos. - Wolałbyś być tam z nimi...?

Stałem długo. Mijały minuty, aż wreszcie usłyszałem pierwszy nadbiegający głos ciszy. Dzwony.

- Jestem tutaj - powiedziałem. Dzwonienie przycichło, ale tylko na moment. - Jestem tutaj - powtórzyłem. Cisza zagrała. Odezwały się organy. Nie "odezwały". To były otwarte pizszczalki, przez które przechodziło powietrze, zanim wciągnąłem je w płuca.

Przebiegłem wzrokiem wskaźniki. Generatory pracowały bez zakłóceń. Linia poboru mocy przecinała ekran jak ślad po błyskawicznym cięciu szpicem ostrego noża. Ludzie mieli przed sobą spokojną pięćdziesięcioletnią noc. Plomba na pokrywie sygnalizacji alarmowej lśniła świeżą czerwienią.

- Jestem tutaj - mruknąłem raz jeszcze, zrzuciłem bluzę, ustawiłem rączkę klimatyzatora i ułożyłem się w fotelu.

W taką pogodę - pomyślałem - zasypiają drzewa. Nie wiem, dlaczego ta myśl sprawiła mi przyjemność. Naciągnąłem głębiej kaptur i przyśpieszyłem. Jeden z człapiących za mną automatów ugrzązł w korzeniach. Poradzi sobie - beztróska machnąłem ręką.

Nawet w tym wietrze, który kładł pnie i targał grubymi konarami buków, huczały dzwony.

Pochyliłem się nad aparatem obserwacyjnym. Był w porządku. Wstałem i pociemniało mi w oczach. Zatoczyłem się i musiałem usiąść. Ostatni rok. Ostatnia jesień. Ostatni dzień.

Czułem się tak, jakbym tydzień nie jadł. Chwytały mnie mdłości. Tkwiałem w pokrowcu uszytym z grubej warstwy waty, przez którą przenikały tylko wiatr i dzwony.

Zacisnąłem zęby i wstałem. Nie miałem nic do powiedzenia. Ani sobie, ani temu, kto

odziedziczy po mnie tę ciszę.

To był już ostatni z posterunków. Automat zabrał bęben przystawki rejestrującej i poszedł z nim w kierunku bazy. Konstrukcję nośną spotkał ten sam los. Za kilka dni wyrosnie tutaj trawa.

Mój martwy orszak zniknął już w gładzi. Zatrzymałem się pod drzewem i rozejrzałem. Dzień miał się ku końcowi. Chmury dotykały niemal wierzchołka bazy. Nie było za nimi słońca. Wiatr niósł drobne rozpryski mgły.

Stałem tak jakieś dwadzieścia minut. Nie myślałem o niczym.

Nawet o tym, że to już koniec.

Zamknąłem starannie drzwi i poleciłem automatowi, żeby je uszczelnił. Z trudem przeszedłem przedsiónek, zawalony ściągniętymi z zewnątrz urządzeniami i zająłem się izolacją kabiny. Jakby za kilka minut z planety miało ulecieć powietrze. Przeszedłem na środek i rozebrałem się do naga.

Główny ekran przekazywał mi teraz obraz miasta. Trwało białe i nierzeczywiste, jak rysunek z książki dla dzieci. Nie zaszła w nim najmniejsza zmiana. Te same wypiętrzone bryły, jakby zawieszane nad ziemią.

Nie zmieniło się nic. Poza jednym. Pewnością, że ktokolwiek się tam wybierze, nie zastanie żadnych obłąkańców, szukających w Centrali planów baz strażniczych ani nadajników.

Które z nich miało już tak bardzo dosyć, że zaryzykowało i zaczepiło mnie wtedy pod tym miastem? "Jest ktoś, kto potrzebuje twojej pomocy..." Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Pamiętam, że ja także potrzebowałem pomocy. Pomogła mi myśl o innych ludziach.

Przeniósłem spojrzenie na boczny ekran. Obraz głównego hibernatora był również taki sam, jak pierwszego dnia mojej służby. Niebieskawa półkula, przypominająca chmurę.

Wygasiłem ekrany.

Północ. Dokładnie środek nocy. Dla mnie jest już po wszystkim.

Powoli podszedłem do dobudowanego przez automaty małego hibernatora. Po wszystkim.

Już jestem starszy od Avii o te kilkanaście lat. Teraz dopiero uprzytomniłem sobie, że przez cały czas nie pomyślałem o niej i o sobie. Nie dlatego, żebym musiał się przed tym bronić. Po prostu nie pomyślałem. A jeśli chodzi o rodziców... no cóż, może rzeczywiście będziemy teraz bardziej razem. Nie dłużej, jak mówili, tylko właśnie bardziej. Od jutra.

Tak, to już jutro. Odetchnąłem głęboko. Rozłożyłem fotel i sprawdziłem przekaźniki. Wszystko tylko czekało.

Zgasiłem światło.

Wydało mi się, że nade mną nie ma nic, tylko przestrzeń. Że słyszę tamte obce przerywane sygnały, tkwiąc w nieruchomym statku obok innych pilotów i wraz z nimi odmierzając czas do możliwego spotkania i nieco bardziej możliwego powrotu.

Czterdzieści lat. Jutro.

Ręka opadła mi na przycisk. Wszystkie czujniki przygasły, chwilę jeszcze ich wskazówki, okienka z cyframi, wykresy rozplywały się w ciemności, po czym zniknęły.

Położyłem się w fotelu. Ręce wyciągnąłem wzdłuż bioder. W prawej dłoni zaciskałem ostatni, jajowaty przekaźnik. Czułem ciężar wybiegających z niego pajęczych kabli. Dotknąłem przełącznika i rozwarłem palce. Usłyszałem głuchy stuk. Przekaźnik zsunął się z fotela i upadł na podłogę. Ale odgłos jego upadku pozostał. Stopniowo stawał się wyższy, bardziej metaliczny. Zamknąłem powieki. Próżnia dokoła stała się głębsza, ale tuż nade mną zawisł wielki dzwon, w który trącają promienie gwiazd.

Uśmiechnąłem się.

- To tylko cisza - powiedziałem.

W twarz uderzył mnie pierwszy lodowaty podmuch gazu usypiającego. Nie przestałem się uśmiechać.

- To tylko cisza - powtórzyłem i zasnąłem.